

SIECI

**AMERYKA NA NOWO!
DONALD TRUMP
SZYKUJE
REWOLUCYJNE
ZMIANY!**

**DLACZEGO TUSK
ORDYNARNIE KŁAMIE
NA OCZACH
CAŁEJ POLSKI?**

**GROZI NAM
TOTALITARYZM
- OSTRZEGA
PROF. RYSZARD
LEGUTKO**

**„KRÓL OLCH”:
MAGDA OGÓREK
NIE ODPUSZCZA!
WCIAŻ SZUKA
ZAGRABIONYCH
POLSKICH DZIEŁ SZTUKI**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

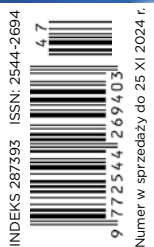
47 (625) 2024
18-24 listopada 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI

KULISY ZACIĘTEJ WALKI

PRAWICA WYBIERA PREZYDENTA

WSPÓLNIE Z TV **wPolsce 24**
GODZIENNIE O 20.15 RELACJONUJEMY
TE PASJONUJĄCE, NIEFORMALNE WYBORY



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 25 XI 2024 r.

Prawdziwy
polityczny
show

niedziela
21:30

wPolsce 24



strefa
STARCIA
Michała Adamczyka

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

65
PLAY
dawniej UPC

W co ugryźć polskiego żubra?

Nie ma dziś ani jednego rządowego resortu, w którym działałoby się dobrze. Gospodarka spowolniła, a ORLEN, do niedawna kura znosząca złote jaja, ma toporem podcinane skrzydła. W edukacji nawet najwierniejsi fani minister Nowackiej widzą spustoszenie spowodowane takimi decyzjami, jak zakaz prac domowych czy cięcia w szkolnych lekturach. Kontrahenci zbrojący polską armię są zaniepokojeni ospałością resortu obrony, w dyplomacji szykuje się dla Ukrainy nowa Jałta, w której Polska nie będzie nawet kelnerem przy stoliku. A do tego rosnące ceny zaczynają nas coraz mocniej skrobać po portfelach. Jak długo Polacy będą to jeszcze tolerować?

W niektórych sondażach Koalicja Obywatelska prowadzi niewielką przewagę poparcia społecznego, ale jednak prowadzi. Milionów Polaków nadal nie oburza fakt, że ich premier może jawnie skłamać przed kamerami, że nigdy nie sugerował powiązań Trumpa z rosyjskimi służbami. Sam widziałem powodzian, którzy na gruzach swoich domów dziękowali Tuskowi za to, że „państwo działa”, a winą za zły los obarczali zmiany klimatyczne lub urzędników z pobliskiego samorządu. My sami zaś mamy przecież w pamięci, że rząd partaczy sprawował już władzę przez dwie kadencje i nawet tragedia smoleńska nie obudziła wówczas Polaków.

Bo Polacy to naród, który lubi święty spokój i czasem nazbyt fatalistycznie godzi się ze swoim losem. A jednak zniecała potrafimy się zerwać i wyrzucić stół do gry. Poeta Jarosław Marek Rymkiewicz uznał nawet, że cechuje nas ospałość masywnego żubra i trzeba było Jarosława Kaczyńskiego, który „nagle ugryzł go w dupę”, by ludzie nad Wisłą zabrali się do prawdziwej polityki. Tymczasem wyrwanie Polaków z marazmu to niebagatelna sztuka, wszak zmęczeni brutalnymi naciskami historii często odpuszczamy rozliczenia, porządki i reformy. Kiedyś z największej apatii wyciągnął nas zniecała Jan Paweł II, bo władza Gierka nad Polakami radującymi się fiatem 126p i kolorowym telewizorem wydawała się stabilna i trwała. Czyż dziś nie jest podobnie, skoro Platforma potrafi dać tylko brzydkie Muzeum Sztuki Nowoczesnej i unijne pieniądze z KPO?

Nie należy się jednak załamywać – żubra trudno obudzić, ale jego gniew jest wielki. Nie wiemy, kiedy dokładnie i co przeleje czarę goryczy i znowu rozsiedzi Polaków, nie sposób tego odgadnąć. Czasem zadziała marzenie o Centralnym Porcie Komunikacyjnym, innym razem skrzywdzenie niewinnego człowieka lub świństwo jakiegoś funkcjonariusza władzy, ale w końcu coś zadziała. My zaś musimy tego ospałego żubra szturchać, szczypać i gryźć, żeby się nie ludził, iż zapadnie w wygodny letarg. Sami siebie też musimy szturchać i szczypać, bo przecież w bezmiarze kłamstwa i dyktantwa obecnego rządu niejednego może ogarnąć zniechęcenie i rezygnacja. Nie dajmy się jednak omamić – ich siła to tylko pozory, to tylko mętna kołysanka dla żubra. Nikt nie dawał Polakom szans na taki zryw jak Solidarność czy na podwójne zwycięstwa obozu niepodległościowego w 2005 albo 2015 r. Po tragedii smoleńskiej prawica miała się nie podnieść, miał być „koniec PiS” i ciepła woda w kranie. A potem budził się żubr ugryziony w nieoczekiwanym miejscu. Teraz też się znajdzie takie miejsce.

Jakub Augustyn Maciejewski





33

Z Markiem Sawickim
rozmawia Dorota
Łosiewicz



41

Jak Trump chce
zakończyć wojnę
na Ukrainie?
Marek Budzisz



52

Bruksela chce
podwyżkę cen energii
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

- 5 **PRECZ Z DYKTATURĄ FAKTÓW!**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **BITWA O ŻYRANDOL**
Krzysztof Feusette
- 9 **ZŁOŚĆ PIĘKNOŚCI SZKODZI**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziej
- 12 **WYBORY, WYBORY...
I ICH KONSEKWENCJE**
Daniel Obajtek
- 13 **KRES ERY MANIPULACJI ELIT?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA ANNY PAWEŁC**
Michał Korsun
- 16 **TO MASZEROWAŁA NASZA
NIEPODLEGŁOŚĆ**
Jan Pietrzak
- 16 **APPLEBAUM POGRZEBIE
SZANSE SIKORSKIEGO**
Arkadiusz Mularczyk
- 17 **O WYŻSZOŚCI POLITYKI
NAD OBYWATELEM**
Samuel Pereira
- 18 **SAMOZAORANIE**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 19 **PRAWYBORY W PiS**
Marek Pyza
- 23 **FABRYCZNIE WADLIWI PRETENDENCI**
Stanisław Janecki

KRAJ

- 26 **Z RYSZARDEM LEGUTKO**
rozmawia Maciej Walaszczyk
- 29 **KŁAMIE, BO MOŻE**
Piotr Gursztyn
- 33 **Z MARKIEM SAWICKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 36 **SPÓR O SZUBIENICE**
Jerzy Szmit
- 38 **IDZIE CHŁÓD**
Konrad Kołodziej

ŚWIAT

- 41 **JAK TRUMP CHCE ZAKOŃCZYĆ
WOJNĘ NA UKRAINIE?**
Marek Budzisz
- 44 **JAKIEJ AMERYKI CHCE TRUMP?**
Goran Andrijanić

47 **ELON MUSK: NAJBOGATSZY
POLITYK ŚWIATA**

Dariusz Matuszak

50 **SCHOLZ, CZYLI KULAWA KACZKA**

Aleksandra Rybińska

52 **BRUKSELA CHCE PODWYŻEK
CEN ENERGII**

Jan Rokita

HISTORIA

56 **NA TROPIE ZAGRABIONYCH
POLSKICH DZIEŁ SZTUKI**

Z dr Magdaleną Ogórek
rozmawia Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

59 **PIĘKNA I BESTIA**

Jolanta Gajda-Zadworna

62 **PRAWDA BOLI**

Robert Tekieli

63 **WOJNA CYWILIZACJI**

Robert Tekieli

64 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**

Maciej Walaszczyk

66 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**

Piotr Zaremba

NATURA DLA LUDZI

67 **NAJSTARSZA PRZYGODA Z PSEM**

Przemysław Barszcz

KUCHNIA

70 **MOJE SMAKI: EWA SZCZĘSNA**

Jolanta Gajda-Zadworna

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**

Andrzej Rafał Potocki

73 **NAIM SÜLEYMANOĞLU
I ADAM MUSIAŁ...**

Ryszard Czarnecki

74 **DOROSŁY DZIENNIKARZ?**

Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Precz z dyktaturą faktów!

Przez ostatnich osiem lat państwo byliście poddani obrzydliwej ideologicznej opresji, z cenzurą, z kryptką, z biczem. To samo widać w szkole. Niepokorny nauczyciel ponosił tego konsekwencje” – ogłosiła na WspółKongresie Kultury minister edukacji Barbara Nowacka. Nie wyjaśniła jednak, na czym polegała owa opresja, bicz i cenzura, natomiast opisała terror w oświacie: „Małopolska kurator oświaty zajmowała się recenzjami kulturalnymi, do czego kompetencje miała jeszcze mniejsze niż do bycia kuratorem”.

Własne kompetencje recenzyjne ocenia wysoko, skoro tak uzasadnia cenzurowanie lektur szkolnych: „Były pewne pomysły indoktrynacyjne, np. w ostatnich latach powkładano poezję niejakiego Rymkiewicza. Eksperci bardzo rekomendowali usunięcie. Podpisałam dokument, gdzie pan Rymkiewicz czy pan (Jacek Józef) Dukaj się nie pojawiają”.

Ciekawe jacy to „eksperci”, bo Rymkiewicz mimo swojej postawy politycznej jako poeta był oceniany wysoko. Otrzymał m.in.: nagrodę Nike, której patronuje „GW”. W nowej dobie w imię pluralizmu, tolerancji i otwartości jego poezję „ministra” od edukacji uznaje za indoktrynację.

Wystąpienie Nowackiej tylko do pewnego stopnia oddaje aurę WspółKongresu, który był przede wszystkim emanacją biurokratyczno-ideologicznej nudy. Wprawdzie słyszeliśmy o ośmiu „ciemnych latach” polskiej kultury – nikt nie pokusił się o bliższe wyjaśnienie, na czym ich mrok polegał – ale można było odnieść wrażenie, że uczestnicy sami są znużeni tą rytualną frazą. Tylko niektórych stać było na wykrzesanie z siebie zapалу. Reżyser Jakub Skrzywanek, wspominając ośmioletnią wojnę z PiS, do której nawiązywali kulturalni kombataneci, opowiadał, jak częstokroć „dosłownie” walczył na barykadach, a mówiąc o swoim bólu z tamtych czasów, powtarzał: „Nigdy więcej”. Rozszerzył wiedzę o epoce, opowiadając o „realnej, fizycznej” obronie Teatru Współczesnego przed szturmem „faszystów”, którzy najprawdopodobniej chcieli wymordować pracowników placówki, ale ci wspólnie z Skrzywankiem dzielnie stawili im czoło. Niemniej reżyser znużony jest swoim heroizmem i „nie chce już tego więcej”.

Na tle bredni o przesładowaniu i walce konkretem okazał się sprzeciw filmowców wobec odwołania przez minister Wróblewską nowej, wyłonionej w konkursie dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej Karoliny Rozwód.

Ze środowiskową naiwnością ujął to Jan Dybczyński z Fundacji Kino Dostępne: „Karolina Rozwód nie jest znikąd, jest jedną z nas, ma dokonania, 15 lat zarządzała Teatrem Starym w Lublinie, a po 4 miesiącach pracy w ministerstwie w ciągu kilku dni została malwersantką z wilczym biletem, bez prawa do wnikliwej procedury wyjaśniającej oraz zarzutami prokuratorskimi, z którymi będzie mierzyła się samotnie przez kilka najbliższych lat”.

Pierwszym argumentem na rzecz Rozwód jest więc to, że: „Jest jedną z nas”. Niech władza rozprawia się z przeciwnikami politycznymi, oskarżając ich o przestępstwa pospolite, ale kogoś z naszego środowiska... To skandal! – oburzają się filmowcy.

Naiwnością jest jednak wyobrażać sobie, że ekipa Tuska stosowała będzie takie metody wyłącznie przeciw ludziom poprzedniej władzy. Jeśli okazały się bezkarne, praktykować je będzie przeciw wszystkim, którzy się jej sprzeciwią. A Rozwód beczelnie nie chciała podać się do dymisji.

Naturalnie mimo wezwań środowiska minister Wróblewska nie wytłumaczyła sprawy.

Co jakiś czas uczestnicy WspółKongresu mówili o potrzebie odbudowy wspólnoty. Trudno zgadnąć, o jaką chodziło, gdyż wystąpienia ich i reakcje z wzorcowym oburzeniem na wybór Trumpa były spod jednej sztancy. Ktoś nawet napomknął o budującej jedności światopoglądowej zebranych, w kolejnym zdaniu narzekając na kłopoty z integracją społeczną. Widocznie ideowo-moralna jedność współkongresmenów musi wreszcie zostać oficjalnie nakazana. Inaczej trafiają się takie ekscesy, jak wystąpienie byłego ministra kultury Piotra Glińskiego, który wykorzystując oficjalne deklaracje o otwartości, zaproponował WspółKongresowi dwa panele. Minister Wróblewska osobiście musiała je zablokować, demonstrując, że nie o taką otwartość chodzi.

Przy okazji WspółKongresu dowiedziałem się z PAP, że po przerwie w latach 2015–2023 przywrócona zostanie Nagroda im. Ryszarda Kapuścińskiego.

„Laureatami Nagrody są twórcy, którzy nie tylko opisują fakty, ale też umieją dostrzec w nich szersze zjawiska i mechanizmy, tak jak czytnił to najsłynniejszy PAP-owiec” – oświadczył szef agencji.

Nawet Artur Domosławski, broniąc Kapuścińskiego w książkowej biografii, nie mógł nie zauważyć, że dowolnie przetwarzał on wydarzenia, aby pasowały do założonej tezy non-fiction, przekształcając w fiction. To pewnie oznacza dostrzeganie owych „szerszych zjawisk”, których nie przesłaniają już faki. I za taką metodę będzie nagroda.

Twórcy mogą się cieszyć. Odszedł straszny PiS, wróciła nagroda gwiazdy peerelowskiego dziennikarstwa. Koniec z tyranią faktów.



Sygnalista nadaje

🔊 Pan Donek był chory i leżał w łóżeczku... To znaczy nie jest pewne, czy leżał, ale wiadomo, że zrobił sobie wolne. Dłuższe niż zazwyczaj. A to z powodu planowanego wcześniej zabiegu. Jakiego? Nieważne, grunt, że dzięki temu sprytnemu wybiegowi **Donald Tusk**, ostatnia nadzieja liberalizmu, nie musiał uczestniczyć w tym okropnym listopadowym święcie, które celebrytuje polski ciemnogród. Nie po to król Europy spędził tyle czasu w Brukseli, aby narażać się na kontakt z tłuszczą, która nawet nie słyszała, że istnieje coś takiego jak brunello di montalcino. Tak więc znów się udało. Udało się już nie być na święcie 3 Maja. Niby wiosna, ale też straszna nuda. Tak okropna, że można nawet zachorować na pogłos, jak zdarzyło się to wtedy Marcinowi Kierwińskiemu.

🔊 Czy ta wcześniej planowana absencja oznacza, że Donald Tusk nie chce być Donaldem wszystkich Polaków? Wiadomo, że głowa państwa musi przemawiać w takie święta, jak 11 listopada albo 3 maja. Ten obowiązek chyba nie jest zresztą bardzo niemiły, bo np. pan prezydent Duda lubi przemawiać w ładnym odświeżonym entourage'u.

🔊 Dzięki temu, że pan Donek był chory, udało się też wymiksować z imprezy otwarcia tarczy rakietowej w Redzikowie. Była to ciężka praca premiera Tuska jeszcze za jego młodszych lat, aby jej nie wybudować. Udało się wyrolować prezydenta Busha młodszego. Na szczęście potem przyszedł prezydent Obama, który również docenił uroki resetu. I wydawało się, że ta

rusofobiczna instalacja zwiędła w zarodku, ale wszystko popsuło dorwanie się PiS do władzy. Ci jako agentura Kremla i Putinowska międzynarodówka, w ramach tego, co lubią najbardziej, czyli wymachiwania szabelką, znów zwąchali się z Jankesami i ich militarno-wojskowym kompleksem. Zatem niech nikt nie oczekuje, że premier Tusk będzie przecinał tam wstęgę i uśmiechał się, gdy nie jest mu do śmiechu.

🔊 „Chłopaki, nie kłóćcie się!” – taki apel musi wystosować cała uśmiechnięta Polska. Ku ucieście tej nieuśmiechniętej, kaczystowsko-faszystowskiej, doszło do pewnych nieporozumień między **Radosławem Sikorskim** i Rafałem Trzaskowskim. Obaj chcą zostać prezydentem Polski. Niestety obecna konstytucja przewiduje, że może tylko jeden. To niedobra sytuacja. Proponujemy następujące rozwiązania, stosowne do dzisiejszych czasów. 1. uchwała Sejmu i tweet premiera Tuska postanawiające, że od tej pory w Polsce jest dwóch prezydentów RP (albo trzech, bo pan Donald też mógłby nim być). 2. ustanowienie funkcji prezydenta rotacyjnego wzorem umowy między panami Hołownią i Czarzastym. Rzut monetą (1 euro) ustali, kto będzie nim pierwszy. Powyższe rozwiązania mają dodatkową zaletę – nie trzeba będzie organizować prawyborów ani tym bardziej wyborów. Jest bowiem ryzyko, że roznamietniona sukcesem faszystów zza oceanu pisowska biomasa może je wygrać. Zatem uchwała tak, wybory nie.

🔊 Uśmiechnięta Polska musi to załatwić, bo już teraz robi się trochę niemiło. Niektórzy demokratyczni

Do zdementowania tej pisowskiej prowokatorce nie doszło nawet wtedy, gdy zaprosiła kolejnego agenta wpływu sterowanego z Nowogrodzkiej, czyli Grzegorza Rzeczkowskiego. To prowokator kompromitujący idee antykacyzmu w szczególnie bezczelny sposób. W tym przypadku było to tak oczywiste, że z jego wypowiedziami polemizowała „Gazeta Wyborcza”. Była to właściwa reakcja, bo coraz więcej ludzi – nawet wrogich prawicy – zaczyna ulegać podprogowej perswazji Wysockiej-Schnepfowej, że anty-PiS równa się choroba psychiczna. A przynajmniej zwykła szurina.

malkontenci narzekają, że nie może być tak, iż to Liga Polskich Rodzin i Narodowe Odrodzenie Polski wybierają Platformie kandydata na prezydenta. Bo co z tego, że Anne od Radka ma dobre korzenie, kiedy pochodzenie jego dwóch największych przyjaciół i pomocników jest całkowicie niekoszerne? Chodzi oczywiście o Romka Giertycha i Miśka Kamińskiego. Obaj to dzisiaj spin doktorzy Radka. No i trochę przesadzają z tym podgryzaniem Rafała. Niech więc się potem nie dziwią temu, że jego przyjaciele troszczą się o to, jak Polacy zareagują na Anne Applebaum jako kandydatkę na pierwszą damę.

🔊 A teraz wiadomość dla nostalgików i miłośników mody retro. Znowu pokłócili się natolińczycy i puławianie. Reprezentantka tych pierwszych – towarzyszył redaktor Monika Olejnik – postawiła zagadnienie przed towarzyszem od puławian, czyli Radosławem Sikorskim. Pytanie było o to, czy małżonka towarzysza Sikorskiego będzie działała po linii i na bazie. To ważne pytanie zepsuło jednak atmosferę wzajemnego zrozumienia w całym obozie demokratycznym. Aby to naprawić, towarzysz redaktor Monika Olejnik wydała oświadczenie zawierające ubolewanie i samokrytykę.

🔊 Przejdźmy zatem do analizy tego zdarzenia. Redaktor Olejnik to mistrzyni przetrwania w zawodzie. Niedługo będziemy świętować półwiecze jej nieprzerwanej kariery na odcinku środków masowego przekazu. Przyjaciele powiadają, że katastrofę nuklearną przetrwają tylko karaluchy i Monika. Podstawą tego niewątpliwego sukcesu jest dar wyczuwania, skąd wieje wiatr historii. Zatem po pierwsze, Sikorski nie będzie kandydatem na prezydenta, więc można go trochę poszczypać. A po drugie, zakład pracy zatrudniający redaktor Olejnik wkrótce ma zmienić właściciela. A co będzie, jeśli obecny – skądinąd to obywateli amerykańscy o korzeniach podobnych do pochodzenia małżonki ministra Sikorskiego – sprzeda redaktor Olejnik wraz z całym zakładem jakiemuś inwestorowi znad Zatoki Perskiej? A jeśli się jeszcze okaże, że bliskowschodni inwestor jest zaprzyjaźniony z Grzegorzem Braunem?

🔊 Trzeba być mięczakiem, aby ekscytować się twórczością Quentina Tarantino i filmami gangsterskimi. Tak uważa posłanka Kinga Gajewska. Dla niej nawet „Wściekle psy” to nudna usypiająca bajeczka. Tak to jest, gdy dobrze zna się prawdziwych chłopaków z ferajny. Tata Piotrek, git facet. Stryjek Paweł, jeszcze większy kozak. Autor skoku stulecia na ciężarówkę z wedlowską czekoladą. Prawdziwy gangsta's paradise, ale taki



fajniejszy, swojski, z Błonia pod Warszawą. I lepszy od amerykańskiego, bo przypomnijcie sobie, o czym marzył Don Vito Corleone – o tym, aby jego dzieci zostały senatorami albo doktorami. Tam to się nie udało, a u nas dziewczyna już trzecią kadencję siedzi w Sejmie. Zięć także poseł, a na dodatek załatwił sobie doktorat i został wiceministrem. Sprawiedliwości! I kto jest lepszy? Corleone czy Gajewscy? Jeszcze tylko moral dla dzieci: pamiętajcie, drogie dziatki, że chytry traci dwa razy. Nie bierzcie jakichś zakichanych zasiłków na mieszkanie, bo pismacy zaczną węszyć przy prawdziwie wielkich interesach. Jak kraść, to tylko miliony.

🔊 Z cyklu „Demaskujemy agentów PiS”: Dorota Wysocka-Schnepf. To, co robi w „Czysta Woda TV”, jest jawnym sabotażem. Nieustannie zaprasza gości, którzy swoimi wypowiedziami kompromitują szczytną ideę walki z kacyzmem. Jej metoda to doprowadzanie postulatów i hasel demokracji walczącej do groteski i absurdu. A działa tak perfidnie, że sporo osób uważa, iż ona to robi na poważnie.

🔊 Nie może też zabraknąć doniesień z życia i twórczości ministra Dariusza Wierzbickiego. Otóż ten mąż stanu jest też mistrzem PR oraz lakonicznych odpowiedzi. Zapytany o to, czy hasło wyborcze o akademikach za złotówkę było ściemną, odpowiedział „aaa”, a nie „tak”, jak insynuują prawicy. Nie wiemy, co znaczy odpowiedź „aaa”, ale to dlatego, że lewica używa dużo mądrych i skomplikowanych słów. Jesteśmy za to pewni, że studenci to rozumieją, cieszą się i doceniają.

🔊 Na koniec kącik humorystyczny: **Szymon Hołownia** ogłosił, że startuje w wyborach prezydenckich (śmiech). Jako kandydat niezależny (burza śmiechu). Ostatnio mówił o niezależności także **Adam Bodnar**. Mówił o niezależnej prokuraturze (gwałtowna burza śmiechu). I pomyśleć, że człowiek, który wygląda na typowego prawnika, czyli kompletnego nudziarza, jest aż tak wielkim zgrywusem.

🔊 A tak na poważnie – wiadomość o starcie Hołowni niezmiernie ucieszyła Sławomira Mentzena, który dzięki temu liczy na ciekawy i emocjonujący pojedynek w lidze okręgowej kandydatów na prezydenta. My też będziemy pilnie śledzić, gdyż jesteśmy fanami wiecowych wypowiedzi Szymona. Ostatnio spodobało nam się jego wytłumaczenie tego, że to dobrze, iż ORLEN zarabia mniej niż za czasów PiS. Po co zyski w Polsce, jak powinny być w Niemczech?

Bitwa o żyrandol



KRZYSZTOF FEUSETTE

Sikorski: Dzień dobry, witamy państwa na przedwyborczej debacie prezydentów na kandydata Koalicji Obywatelskiej w wyborach prezydenckich. Może zacznę od przedstawienia uczestników. Kolega jest prezydentem Warszawy, a ja, proszę bardzo, były minister obrony narodowej, były minister spraw zagranicznych, obecny minister spraw zagranicznych...

Trzaskowski: Chwileczkę, ja też byłem wiceministrem spraw zagranicznych...

Sikorski: Tak, tak, wiem. No, ale jednak przy dwukrotnym szefie dyplomacji, do tego kandydacie na szefa NATO...

Trzaskowski: Słucham? Co pan brał?

Sikorski: Nic nie brałem. To ja byłem brany – pod uwagę...

Trzaskowski: Chyba w prawyborach z Bronkiem. I potem, jak się Małgosia na amen zbojkotowała. No ale partia wtedy zdecydowała, że startuję ja.

Sikorski: Nie partia, tylko przewodniczący Budka, i to niedemokratycznie, bo w gacie narobił, jak Kidawa do 2 proc. zjechała. A z Bronkiem była ustawka.

Trzaskowski: Tak, tak, zawsze coś koledze nie sprzyja...

Sikorski: Czyli limit pecha wyczerpany. Za to w samych wyborach jestem nowy, w przeciwieństwie do kolegi, który chyba już startował, co?

Trzaskowski: Zdarzyło się.

Sikorski: I z jakim rezultatem?

Trzaskowski: Moralny zwycięzca. Premier twierdzi, że wygrałem.

Sikorski: Rozumiem. Przykra sprawa.

Trzaskowski: Ale co?

Sikorski: No, że nie udało się objąć urzędu.

Trzaskowski: Teraz się uda.

Sikorski: Ale komu?

Trzaskowski: Kandydatowi Koalicji Obywatelskiej. Czyli...

Sikorski: Młodszy jesteś, odpuść...

Trzaskowski: Sam odpuść. Za stary jesteś, nie ogarniasz aborcji na życzenie, hosteli tęczyowych, planeta płonie i co masz na to?

Sikorski: Wodę. A ty też uważasz, że dla przyszłych pokoleń nie wolno mieć dzieci?

Trzaskowski: Jak ich LGBT+ nie może adoptować, to może lepiej nie mieć?

Sikorski: Krzyże ścigałeś...

Trzaskowski: Ale jestem wyższy...

Sikorski: Jasne. Po Polsce jeździsz zamiast w Warszawie siedzieć. Ludzi miałeś słuchać, a sam półtorej godziny nawijasz...

Trzaskowski: Pierogami mnie częstują.

Sikorski: Dobra, to teraz szczerze...

Trzaskowski: Ty ruski pacholku...

Sikorski: Uspokój się! Czy ja cię od „dupiarzy” wyzywam? Zapytam tylko raz: ty na mnie Olejnikową nasłałeś?

Trzaskowski: A po co? Przecież ona wie, że to ustawka.

Sikorski: Żonę mi zaatakowała.

Trzaskowski: Jak?

Sikorski: Że Żydówka!

Trzaskowski: Jezus Maria, że tak powiem! Radku, ja jestem z tobą całym sercem. Nie wierz w to, no, k...a, przecież byś wiedział!

Sikorski: Nie o to chodzi...

Trzaskowski: No nie wiem. Wiesz, jak taka plotka mogłaby zostać przyjęta przez członków naszej partii...

Sikorski: Olejnik to samo powiedziała. Że niby w „Tygodniku Powszechnym” tak napisali. A mów...o prawdę, bo w „Gazecie Wyborczej”!

Trzaskowski: Jak w „Wyborczej” to wiadomo że mów...o prawdę. Czyli nie masz się czym przejmować.

Sikorski: Ale Polska nie jest antysemicka!

Trzaskowski: Za PiS inaczej śpiewałeś. A ta twoja ży...żonka, to już w ogóle. Jak ona mogła nazwać Trumpa Hitlerem? Co mają młodzi wiedzieć o wojnie?

Sikorski: A ty niby co wiesz?

Trzaskowski: Znowu zaczynasz?

Ja akurat w sytuacjach kryzysowych jestem już wyspecjalizowany. W Warszawie mieliśmy nawet pandemię.

Sikorski: Kierowcy do dziś wspominają, że nie zawiesiłeś opłat parkingowych. Czyszców też nie. No, ale najważniejsze, żeby budować hostele dla LGBT+...

Trzaskowski: Mogłbyś powtórzyć? Ty masz coś przeciwko gejom?

Sikorski: A ty z szafy wychodzisz teraz? Wyluzuj, Rafał.

Trzaskowski: Tak ci Bronek w prawyborach powiedział i tyle cię widzieli. Teraz też przerzkniesz.

Sikorski: Chyba że w ustawce. Ale Donald mi przyrzekł, że nie.

Trzaskowski: Kto?

Sikorski: Donald. Mały, oczywiście. Bo do dużego to teraz strach dzwonić.

Trzaskowski: Aha, to gratuluję. Jak Donald coś powie, to na pewno tak będzie, he he. Myślisz, że ja nie miałem obiecanego startu? A teraz muszę się z tobą użerać.

Sikorski: Rafał, ja na wojnie byłem...

Trzaskowski: A ja prowadziłem tramwaj. Młodszy jestem. I wyższy.

Sikorski: Chyba jak na krzesło wejdiesz.

Trzaskowski: Coś ty powiedział, konusie?!

Sikorski: Konusie? Konusie?! Ty paleciarzu taśmą klejony, jak ci zrobię z czajki zrzut niekontrolowany, to cię Rada Miasta nie pozna. Czekać, będziesz mieć rycerski pojedynek...

Trzaskowski: Tylko uważaj, żebyś zbroi nie osr...ł. Jak się Donald dowie, co o nim mówiłeś, zrobi ci taką rekonstrukcję, że Olejnikowa to były pieszczoty...

Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły nie składa broni i prowadzi działania, których celem jest ograniczenie (bo nie da się całkiem zahamować) negatywnych skutków kolejnych działań MEN. Jedną z ostatnich inicjatyw KROPS była konferencja prasowa w KAI.

Jakie to działania resortu Barbary Nowackiej wzięto na celownik? M.in. zmianę zasad dotyczących zadawania i oceniania prac domowych, likwidację przedmiotu historia i te-
rażniejszość, tendencyjne i radykalne ograniczenie podstawy programowej o 20 proc. z 18 przedmiotów, zmianę zasad oceniania i organizacji nauczania religii w szkołach w sposób dyskryminujący uczniów uczęszczających na te lekcje. Zdaniem organizatorów konferencji wszystkie te zmiany w znacznym stopniu pozbawiły komponentu narodowego podstawy programowej przedmiotów historia i język polski, skonfliktowały środowisko szkolne, osłabiły autorytet nauczycieli, a uczniów oderwały od nauki i samokształcenia na rzecz postępującego smartfonizmu. Zdaniem przedstawicieli KROPS spadek wymagań skutkuje obniżeniem poziomu kształcenia na wszystkich poziomach nauczania, a kolejne zapowiedzi zmian ogłoszone przez MEN idą w tym samym fatalnym kierunku. W tym ogłoszony 31 października projekt rozporządzenia, które likwiduje dobrowolne wychowanie do życia w rodzinie (WDŻ) i wprowadza obowiązkowy przedmiot edukacja zdrowotna. Pisałam o tym w poprzednim numerze tygodnika „Sieci” wartykule pt. „Programowa demoralizacja”. Przypomnijmy, że w ramach nowego przedmiotu resort edukacji zaproponował permissywną edukację seksualną, która będzie prowadzić do deprawacji młodego pokolenia.

Zdaniem przedstawicieli KROPS niezwykle niepokojąca jest też zapowiedź szerokich zmian podstaw programowych, jakie mają zostać wprowadzone w latach 2026–2031. Wobec ogłoszonego przez Unię Europejską planu stworzenia od 2025 r. Europejskiego Obszaru Edukacyjnego jawią się one jako element realizacji ideologicznego zamierzenia sprzecznego z polskim modelem edukacji. Stanowi to poważne zagrożenie dla suwerenności polskiej oświaty.

Złość piękności szkodzi

*KROPS wzywa wszystkie
środowiska zatroskane o dobro
polskich uczniów do sprzeciwu
wprowadzenia obowiązkowej
edukacji zdrowotnej*

oceniamy nowy przedmiot, czyli edukację zdrowotną? Oto końcowy wniosek opracowania na ten temat: „Projekt MEN to prze-
ramowanie edukacji seksualnej, systemowa zmiana wzor-
ców normatywnych dotyczących ludzkiej seksualności, przymus uczestnictwa dzieci i młodzieży – odebranie rodzicom prawa decyzji w tej sprawie. Ten projekt trzeba zdecydowanie i bezdyskusyjnie odrzucić w całości. Należy to zrobić w imię obrony dzieci i młodzieży, w imię obrony rodziny, w imię obrony dobrej przyszłości narodu i państwa!”. KROPS i wzywa wszystkie środowiska zatroskane o dobro polskich uczniów do sprzeciwu wobec tych zagrożeń.

Koalicja przypomina, że 21 listopada br. każdy obywatel może wysłać swoją opinię w kwestii planów wprowadzenia obowiązkowej edukacji zdrowotnej do MEN na adres mailowy: sekretariat.dko@men.gov.pl. Apeluje też do podmiotów z listy ministerialnej o negatywne zaopiniowanie projektu, który narusza konstytucyjne prawa rodziców i szkodzi dzieciom przez swój deprawacyjny oraz antyzdrowotny charakter. KROPS liczy szczególnie na głos strony kościelnej i związki zawodowe.

Trudno się dziwić, że w obliczu tych działań KROPS Barbara Nowacka się wścieka, bo ktoś chce popsuć jej misternie budowany plan. I nie są to żadni ortodoksi, tylko eksperci, którzy o edukacji i wychowaniu wiedzą tyle, ile nigdy nie będzie wiedzieć pani Nowacka. A złość piękności szkodzi.

Dorota Łosiewicz





to do zanieczyszczenia gruntów, które zostaną trwale wyłączone z produkcji rolnej. Straty będą zatem nieodwracalne.

Krajowy Związek Rolników (NFU) określił plany rządu jako „katastrofalne” dla branży. Rząd stwierdził jednak, że zmiana wpłynie tylko na ok. 2 tys. majątków rocznie. Rolnicy nie zgadzają się z wyliczeniami rządu, zauważając przy tym, że w wieloletniej perspektywie podatek uderzy w znacznie większą liczbę gospodarstw, co doprowadzi ostatecznie do przymusowego wywłaszczenia farmerów i upadku brytyjskiego rolnictwa. Niewykluczone zresztą, że taki jest cel polityki laburzystów. Wielka Brytania podobnie jak duża część Europy stopniowo rezygnuje z krajowej produkcji rolnej na rzecz szerokiego importu żywności. Zarabiają na tym przede wszystkim międzynarodowe korporacje mające udziały w branży żywnościowej na całym świecie i sprowadzające swoją produkcję do Europy. Brytyjscy farmerzy zwracają uwagę, że taka polityka zagraża jednak bezpieczeństwu żywnościowemu kontynentu.

Wielka Brytania już kiedyś (w latach 80. ub.w.) zrezygnowała ze swojego przemysłu, stawiając na sektor finansowy. Dziś niepomna konsekwencji tamtej polityki wkracza w kolejny niebezpieczny zaulek, likwidując własne rolnictwo.

Konrad Kolodziejski

Wielkie wywłaszczenie

Decyzja rządu o podatku spadkowym dla farmerów może doprowadzić do upadku rolnictwa – alarmują brytyjscy rolnicy. Ich zdaniem zagrożone jest bezpieczeństwo żywnościowe państwa, które wskutek polityki Partii Pracy będzie w przyszłości skazane na import produktów rolnych. „To zdrada” – twierdzą farmerzy.

Zmagający się z trudnościami budżetowymi rząd Keira Starmera postanowił poszukać pieniędzy w kieszeniach rolników. Od kwietnia 2026 r. farmy i nieruchomości biznesowe będą podlegać podatkowi od spadków (IHT). Spadkobiercy zapłacą 20 proc. wartości odziedziczonego ma-

jątku powyżej 1 mln funtów. W przypadku farmy o wartości 5 mln funtów podatek wyniesie zatem 800 tys. funtów.

Problem w tym, że dużej liczby farmerów nie stać na opłacenie tak wysokich podatków. Wielu z nich zarabia bowiem wyłącznie na własne utrzymanie i nie ma zysków. Wprowadzenie podatku zmusi ich zatem do sprzedaży ziemi, co, jak twierdzą, zdziesiątkuje brytyjskie rolnictwo i doprowadzi do zagłady rodzinnych gospodarstw rolnych.

Miejsce brytyjskich rolników zajmie ktoś inny – głównie duże korporacje z branży żywnościowej oraz firmy energetyczne, które od dawna poszukują ziemi pod wielkie farmy wiatrowe i słoneczne. Może się zatem okazać, że za kilka lat zamiast pastwisk i pól dostarczających dziś żywność Brytyjczykom całą wyspę pokryją panele fotowoltaiczne. Doprowadzi

Na Uniwersytecie Wisconsin w Milwaukee przeprowadzono badania dotyczące przestępczości w Stanach Zjednoczonych. Wyniki były zdumiewające. Opublikowano je w raporcie zatytułowanym „Nadreprezentacja osób identyfikujących się jako LGBTQ+ w systemie prawa karnego”.

Okazuje się, że w 2022 r. (czyli ostatnim roku, z którego dostępne są oficjalne dane ogólnokrajowe) 9 proc. wszystkich więźniów w USA stanowiły „osoby LGBT+”. Według statystyk ludzi, którzy deklarują swą tożsamość płciową jako LGBT+, jest w Ameryce 4,5 proc. Oznacza to, że osoby deklarujące się jako LGBT+ popełniają proporcjonalnie dwa razy więcej przestępstw niż przedstawiciele heteroseksualnej populacji.

Jeszcze bardziej zastanawiają dane dotyczące młodocianych przestępców. Wśród młodzieży odsiadującej wyroki w zakładach karnych aż 20 proc. określa się mianem LGBT+, chociaż odsetek młodych ludzi deklarujących taką właśnie tożsamość płciową w amerykańskim społeczeństwie wynosi 9,5 proc. W przypadku młodocianych kategorii wiekowych ryzyko

Uwięziona tęcza



popadnięcia w kolizję z prawem jest więc także dwukrotnie większe wśród osób „nieheteronormatywnych”.

Szczególną grupę stanowią przestępcy transseksualni, głównie mężczyźni, którzy twierdzą, że czują się kobietami. Aż 16 proc. z nich odsiadywało karę w więzieniach, podczas gdy ich odsetek w amerykańskiej populacji wynosi 5 proc. Także w tym przypadku mamy nadreprezentację osób tej kategorii wśród więźniów, tym razem ponadtrzykrotną.

Jeszcze bardziej zatrważające wyniki przyniosły statystyki dotyczące bezdomności wśród młodzieży. Aż 40 proc. ludzi pozbawionych dachu nad głową w tej grupie

wiekowej stanowiły osoby deklarujące się jako LGBT+.

Dlaczego przedstawiciele tego środowiska częściej trafiają do więzień lub na ulicę? Nie wynika to ani z dyskryminacji, ani marginalizacji społecznej mniejszości seksualnych. Jaka jest więc przyczyna? Na to pytanie autorzy raportu nie byli w stanie odpowiedzieć, a jest to kluczowa sprawa.

Grzegorz Górny



Australia

Smartfony tylko dla dorosłych

Rząd Australii ogłosił, że wprowadzi „najnowocześniejsze na świecie” przepisy zakazujące korzystania z mediów społecznościowych osobom poniżej 16. roku życia. Chodzi oczywiście o złagodzenie negatywnego wpływu, jaki wywołują one u dzieci.

„Chcę, żeby australijskie rodziny wiedziały, że rząd je wspiera” – wyjaśniał premier Anthony Albanese, przyznając, że po drugiej stronie sporu znajdują się potężne firmy technologiczne, których aplikacje generują algorytmy kierujące ludzi w stronę określonych zachowań. Choć wiele szczegółów pozostaje jeszcze przedmiotem debaty, rząd zapowiedział, że zakaz obejmie wszystkich nastolatków bez wyjątku. Przepisy wejdą w życie 12 miesięcy po ich uchwaleniu, ewentualni użytkownicy łamiący zakaz nie będą jednak karani, a cały ciężar weryfikacji będzie spoczywać na firmach technologicznych. Egzekwowanie przepisów będzie natomiast leżało w gestii australijskiego regulatora rynku internetowego.

Choć większość ekspertów zgadza się, że media społecznościowe mogą szkodzić zdrowiu psychicznemu dzieci, niektórzy twierdzą, że zakaz jedynie opóźni ich kontakt z aplikacjami. Nie wiadomo również, czy rzeczywi-

ście będzie skuteczny. Wielu specjalistów przekonuje jednak, że nie ma już innego wyjścia, bo media niszczą młodych ludzi szkodliwymi treściami, dezinformacją, zastraszaniem i innymi formami presji społecznej. Według nich nadmierne korzystanie z mediów społecznościowych źle wpływa na rozwój umysłowy i psychologiczny dzieci w krytycznym dla nich okresie, powodując epidemię takich chorób psychicznych, jak lęki i depresja.

Zgodnie z badaniami już sama bliskość smartfonu wywołuje brak koncentracji, a rozproszona uwaga może utrudnić robienie czegokolwiek innego. W jednym z raportów stwierdzono, że w USA dorośli sprawdzają swoje telefony średnio 344 razy dziennie – raz na cztery minuty – i spędzają przy swoich urządzeniach łącznie prawie trzy godziny dziennie. Jedną czynność związaną z telefonem prowadzi do szybkiego sprawdzenia poczty e-mail lub kanałów społecznościowych, wciągając w niekończące się przewijanie informacji i tworząc błędne koło. Bo im częściej to robimy, tym bardziej odczuwamy potrzebę ponownego sprawdzenia telefonu nawet wtedy, gdy tego nie potrzebujemy.

Maciej Walaszczyk

Brazylia

Nie tak blisko z Pekinem

Brazylia nie przyłączy się do chińskiej Inicjatywy Pasa i Szlaku. To spore zaskoczenie, bo w związku ze zbliżającą się wizytą Xi Jinpinga spodziewano się zupełnie innej decyzji.

Jak jednak zapewnił doradca brazylijskiego prezydenta Celso Amorim, nie ma mowy o kryzysie we wzajemnych relacjach. Chodzi raczej o zachowanie kontroli nad kształtem i finansowaniem inwestycji w Brazylii. Gdyby bowiem Brazylia zdecydowała się na wejście do chińskiego projektu, to decyzje w tych kwestiach zapadałyby w Pekinie, co nie odpowiada oczekiwaniom prezydenta Luli da Silvy. Chodzi też o warunki współpracy, bo te, które narzucają chińscy inwestorzy, są uważane za nierównoprawne.

W Ameryce Łacińskiej do Inicjatywy Pasa i Szlaku należą 22 państwa. W skali globu już 150 krajów uczestniczy w projektach objętych tą nazwą, a łączna wartość chińskich inwestycji infrastrukturalnych przekroczyła 1 bln dol. Obecnie Chiny są największym partnerem handlowym Brazylii, która dzięki eksportowi soi, ropy naftowej i żelaza ma dużą nadwyżkę w handlu z Pekinem. Presja Chin, aby dzięki wejściu do Inicjatywy Pasa i Szlaku zmienić te niekorzystne dla Pekinu relacje, jest równoważona obawami brazylijskiej klasy politycznej w związku z ewentualną reakcją Waszyngtonu.

Prezydenta Lulę da Silvę uważa się za zwolennika pogłębiania współpracy Brazylii z Chinami. W czasie jego ubiegłorocznej podróży do Pekinu podpisano 22 dwustronne umowy, ale jednocześnie Brazylia dba o to, aby bilateralne relacje miały charakter partnerski i nie ograniczyły zdolności do geostrategicznego manewru. Decyzja o nieprzystępowaniu Brazylii do inicjatywy Pasa i Szlaku jest drugą (po Indiach) wskazującą na to, że stolice głównych państw światowego Południa nie mają ochoty na wejście do umownego „bloku chińskiego” i będą blokowały ściślejszą integrację.

Zdaniem komentatorów tego rodzaju kierunek był też czytelny w czasie niedawnego szczytu państw BRICS, który odbywał się w Kazaniu. Mimo presji Rosji, aby przyjąć system wzajemnych rozliczeń i odejść od dolara, żaden z krajów tego formatu, w tym Brazylia, nie poparł tego rodzaju projektów. Brazylia nałożyła też ostatnio cła na wiele towarów sprowadzanych z państw azjatyckich, m.in. z Chin, pokazując w ten sposób, iż deklaracje o współpracy nie oznaczają zaniechania polityki ochrony własnych producentów.

Marek Budzisz



Wybory, wybory... i ich konsekwencje

Pisałem ostatnio o trwającym procesie wyboru nowego składu Komisji Europejskiej i związanych z tym wysłuchaniach przyszłych komisarzy. Proces ważny, ale zwykle przewidywalny, bo politycznie uzgodniony. Od lat parlament tradycyjnie odrzuca jednego czy dwóch pomniejszych kandydatów i po niewielkiej zwłoce zatwierdza ostateczny skład Komisji. Nie tym razem. Wysłuchania się skończyły, decyzje jednak nie zapadły – i wcale nie z powodu mniej znaczących kandydatów. Najważniejsi dla gospodarki kandydaci na wiceprzewodniczących nie zostali jeszcze bowiem oficjalnie zatwierdzeni – natychmiast po ich wysłuchaniach zgodnie odłożono ich ocenę. Proces się przedłuża i nie wiadomo, kiedy się skończy.

W oczywisty sposób ma na to wpływ spodziewany zwrot w kursie gospodarczym USA i konieczność szybkiego dostosowania europejskich strategii. Niestety wysłuchania potwierdziły, że Europa nie odrobiła lekcji i kandydaci na najważniejszych decydentów dalej snują oderwane od realiów opowieści o przyszłej powszechnej szczęśliwości zielonej bezemisyjnej krainy, w której wszyscy żyją długo, zdrowo i szczęśliwie, zapominając przy tym o drobnym szczególe – za co i z czego żyją. Okrągłe zdania, brak konkretów. Tymczasem nowo wybrany amerykański prezydent pod hasłem „Drill baby, drill” wrzuca gospodarce Stanów Zjednoczonych przyspieszony bieg. Europejscy politycy chwilowo zaciągnęli zatem hamulec ręczny i najwyraźniej jeszcze raz rozważają, czy np. turbozielona socjalistka niechętna atomowi to najlepszy wybór na komisarza odpowiedzialnego za wewnątrzunijną konkurencję i transformację. Jak się to skończy – zobaczymy niebawem. Oby pobudką, bo to naprawdę ostatni moment.



*Amerykańskie wybory
wpłynęły na światowe
procesy polityczne
i gospodarcze z siłą filmów
Hitchcocka – najpierw
trzęsienie ziemi, potem
napięcie ma rosnąć.
Wstrząsy tektoniczne po
miażdżącym zwycięstwie
prezydenta Trumpa
dopiero nabierają rozpędu*

Na poziomie państw członkowskich amerykańskie wybory też przyniosły znaczące zmiany – chociażby w Niemczech ostatecznie rozpadła się rządząca koalicja i w lutym czekają ich przyspieszone wybory. Przyspieszone wybory zapowiedziała też Irlandia. W Polsce zaś, słuchając wypowiedzi obecnie rządzących, można pomyśleć, że albo dostali amnezji, albo zostali podmienieni – ci sami politycy, którzy jeszcze kilka miesięcy temu ochoczo głosowali w Brukseli za każdym absurdem Zielonego Ładu (panowie i panie, są protokoły – tego się nie da wymazać), dziś grzmia, że zielona polityka to zagrożenie i trzeba ją zrewidować, a pseudoekologiczne szaleństwo ETS zabija polskie rolnictwo i przemysł. Po powrocie z Budapesztu premier Tusk (gdzie jego wielkie europejskie znaczenie podkreślało miejsce na family foto – w ostatnim rządzie, zaraz obok wielkiego balona) grzmiał o wysokich cenach energii oraz konieczności rewizji ETS i tak bardzo się tym przejął, że się pochorował, omijając dzięki temu zgrabnie konieczność świętowania polskiej niepodległości.

Przed nami ostatnia prosta europejskich procesów wyborczych i jeszcze w listopadzie powinniśmy się ostatecznie przekonać, jaki kształt będzie mieć nowa Komisja Europejska. W grudniu zaplanowana jest Rada Europejska – pierwsza po wszystkich politycznych wyborach. Przekonamy się, czy europejskie stolice rzeczywiście zrozumiały amerykańską lekcję i mieszkańcy Unii dostaną pod choinkę realny i konkretny plan ratunkowy, czy skończy się na kolejnym nietrafionym prezencie z przeceny. Na szczęście w Europie

rozsałek rośnie w siłę i jest nadzieja, że poglądy reprezentowane przez prawicę, jeszcze niedawno traktowane jako niebezpieczne ekstremum, zdominują europejskie salony.

Daniel Obajtek

Kres ery manipulacji elit?



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Ojkofobia promowana w ostatnich latach przez międzynarodowe elity, w szczególności te akademickie i polityczne, stanowi ideologię instytucji międzynarodowych, w tym Unii Europejskiej.

Wedle słownikowej wykładni ta postawa niechęci, odrzucenia bądź nienawiści w stosunku do rodzimej kultury, tradycji lub cywilizacji po 1989 r. była i wciąż pozostaje postawą popularyzowaną w Polsce wśród dorastającej młodzieży i dorosłych poprzez różnego rodzaju media, a także, i przede wszystkim, przez swego czasu najbardziej poczytny dziennik. Roger Scruton definiował ojkofobie jako zjawisko głębokiego kryzysu tożsamości, zarówno indywidualnej, jak i społecznej, typowe dla schyłkowej fazy rozwoju danej kultury, cechujące przede wszystkim środowiska lewicowe, (neo)liberalne, kosmopolityczne i nihilistyczne, które usiłują tłumaczyć swoją postawę obroną przed wszelkimi przejawami ksenofobii.

W ramach agendy ojkofobow poza próbami odrywania społeczeństwa od tożsamości narodowej mieszczą się także działania uderzające i marginalizujące chrześcijaństwo, zniechęcające do zakładania rodziny, antagonizujące mężczyznę i kobietę, a wreszcie podważające jeden z najbardziej podstawowych wymiarów tożsamości, czyli pleć. Celem przekonania społeczeństwa o prawdziwości nawet najbardziej absurdalnych postaw manipuluje się językiem, wprowadzając do niego nowe pojęcia mające służyć określeniu nowo wygenerowanych odmian płci czy też zaimków, rozbija się tkankę językową, narzucając używanie nierzadko pokracznie brzmiących feminatywów.

Konsekwencją wdrożenia opisanych mechanizmów jest w istocie ograniczenie wolności jednostki w imię poprawności politycznej i dewaluacja instytucji państwa prowadząca do utraty jego suwerenności rozumianej jako samostanowienie narodu.

Modelowym przykładem efektów wdrażania ojkofobiczych postaw były Stany Zjednoczone. W ostatnich latach, patrząc na pogrążających się w niedostatku Amerykanów zapadających się w tzw. pasie rdzy, mamionych Green Dealem, parytetami i inkluzyjnością, trawionych nielegalną imigracją, narkomanią, inflacją, aborcją, można było odnieść wrażenie, że USA chył się ku upadkowi. W Stanach Zjednoczonych widać zatem, do jakich fatalnych skutków w sferze wolności, bezpieczeństwa i gospodarki prowadzi podporządkowanie instytucji państwa ideologii, która jest zwyczajnie sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem i szkodliwa dla społeczeństwa i każdego człowieka z osobna.

W ostatnich wyborach prezydenckich Amerykanie nie posłuchali głosu swoich elit, nie chcieli kopiować poglądów wyrażanych przez różnej maści celebrytów i nie nabrali się na uspakajającą narrację mainstreamu. Uwierzyli, że propagowane przez Donalda Trumpa konserwatywne wartości przyniosą zamożność i bezpieczeństwo. Amerykanie chcieli powrotu do samostanowienia – ponownego upodmiotowienia obywateli przygniecionych przez polityczną poprawność i parytety, stabilizacji, bezpieczeństwa i dobrobytu.

Polskojęzyczne elity ustami celebrytów i kodowców owinętych siatką na jednym (jedynym skądinąd) balkonie próbowały

nam wmówić, że ci, którzy odważą się pójść na Marsz Niepodległości, są faszystami. Rozpaczliwie sięgają po najmocniejsze oskarżenia, kopiując retorykę zwolenników Kamali Harris i wiedząc, że wygrana PiS w 2015 r. udowodniła, iż „moherowe berety” i tym podobne określenia nie mogą być już skuteczne. Sens patriotyzmu doskonale rozumiem bowiem coraz większa rzesza najmłodszych wyborców. 11 listopada 2024 r. frekwencja na Marszu Niepodległości była podobno największa w historii tych patriotycznych pochodów. W centrum Warszawy zgromadził się cały przekrój społeczeństwa: od zupełnie małych dzieci po dojrzałych ludzi pamiętających najgorsze czasy powojenne i mroczny czas komunizmu, wykonujących najróżniejsze zawody i niekoniecznie podzielających takie same poglądy na wszystko. Polacy nie dadzą sobie wmówić, że miłość do ojczyzny jest złem, które należy zwalczać. Polacy są dumni ze swojej tożsamości patriotami, nawet gdy dominujące środki masowego przekazu chcą, abyśmy ulegali mikromanii. Polacy są przekonani, że tak jak mawiał śp. prezydent Lech Kaczyński, warto być Polakiem.

REKLAMA

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolice"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

27/1024/F



Walizka Anny Parwelec

*żony, mamy dwójki dzieci, dziennikarki telewizji
wPolsce24, prowadzącej rozmowy w PRZEkanale*

Praca dziennikarki jest związana z wyjazdami. Wiadomość o wyjeździe na drugi koniec Polski albo nawet Europy można dostać w każdej chwili, dlatego najważniejsza jest sprawna organizacja, czyli dobrze spakowana walizka. Tak było w przypadku mojego wyjazdu do Gruzji. Telefon z informacją dostałam o godz. 13.00, a o 22.00 byłam już w samolocie. Tam robiłam relację przy granicy z terenami okupowanymi przez Rosję. Ujęło mnie spotkanie z gruzińską staruszką, która mimo okupacji została w swoim domu, by strzec rodzinnej ziemi. Innym razem Portugalia i wylot na Światowe Dni Młodzieży, a tam spotkania z pielgrzymami z całego globu. I w końcu wyjazd na Litwę. Odwiedziłam tam gminę Dziewieniszki – jest niemal w całości otoczona przez Białoruś, a tym samym przez kolczasty drut. To miejsce, gdzie Polacy stanowią ok. 80 proc. mieszkańców. Najbardziej poruszył mnie ich patriotyzm. Społeczność z dumą pielęgnuje polski język, kulturę i zwyczaje, które jednoczą całą wspólnotę. Jednak najważniejszą podróżą jest po prostu moje życie i droga, którą pokonuję, by budować kochającą rodzinę i angażować się w pracę mającą znaczenie.



BIOGRAFIA ELONA MUSKA

Szczególnie interesuje mnie literatura faktu czy reportaże, dlatego zaczytuję się w znakomitej biografii Elona Muska autorstwa Waltera Isaacsona. To fascynująca opowieść o tym, jak wbrew wszelkim przeciwnościom losu ukształtował się człowiek, który zmienia rzeczywistość. Realnie wpływa na otaczającą nas świat.



SŁUCHAWKI

Pozwalają na harmonijną równowagę między chwilami relaksu a potrzebą bycia na bieżąco z informacjami. W słuchawce słyszę też „uspokajający” głos wydawcy podczas relacji na żywo w telewizji.



PRZEKANAL

Oprócz pracy jako dziennikarka i prezenterka telewizji w Polsce24 prowadzę rozmowy w PRZEkanale na YouTube. To wyjątkowa okazja do pogłębionych wywiadów z nieszampowymi gośćmi o ich przemianach, wartościach i wpływie Boga na ich życie.



TENIS

Choć od najmłodszych lat trenowałam piłkę ręczną, to moje serce ostatecznie skradł tenis ziemny. Może dlatego, że grając w pojedynkę, mam większy wpływ na przebieg rozgrywki. W bagażniku mojego auta zawsze jest torba ze sprzętem. Nigdy nie wiesz, kiedy rozegrasz mecz swojego życia albo po prostu zobaczysz wolny kort.



„CZUŁE STRUNY”

To jedna z moich ulubionych płyt, której słucham w zapętleniu, a teksty utworów znam na pamięć. To klasyczne kompozycje Fryderyka Chopina w nowoczesnych aranżacjach wzbogacone o warstwę wokalną, co pokazuje, jak ponadczasowa jest muzyka mistrza.



LUDZIKI LEGO

Dzieci nie pozwalają o sobie zapomnieć nawet w pracy. Jestem mamą dwójki przedszkolaków, więc moja torbka to prawdziwa skarbnica niespodzianek. Ostatnio najczęściej lądują w niej ludziki Lego, które wywołują uśmiech na mojej twarzy.



BALSAM DO UST I PERFUMY

Nieodłączne atrybuty kobiety. Flakonik perfum w każdej torebce, a balsam do ust nawet w każdej kieszeni.



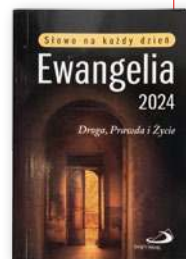
SZPILKI

Jako mama i dziennikarka muszę przyznać, iż rzadko mam okazję nosić wysokie buty, ponieważ na co dzień priorytetem jest dla mnie wygoda. Dlatego najczęściej można mnie zobaczyć w kolorowych sportowych trampkach. Jednak w studiu telewizyjnym to właśnie niewygodne, wysokie szpilki są pożądane, a nawet niezbędne.



EWANGELIA: SŁOWO NA KAŻDY DZIEŃ

„Tak się módl, jakby wszystko zależało od Boga, i tak pracuj, jakby wszystko zależało od ciebie” – mawiał św. Ignacy Loyola. Sporo pracuję, muszę się zatem też sporo modlić, dlatego jadąc do pracy, bardzo często wykorzystuję ten czas na modlitwę. Ta mała książeczka sporo ułatwia.



RODZINNE STRONY

Bez względu na to, gdzie jestem, moje korzenie mają dla mnie ogromne znaczenie. Pochodzę z Podkarpacia i spędziłam tam całe dzieciństwo, pomagając w pracy w gospodarstwie. Zdobyłam też kilka praktycznych umiejętności: jeżdżę traktem, sprawnie wymienię koło w przyczepie, a nawet potrafię wydoić krowy.



KSIAŻKA „ZAGOŃCZYK” MARIANA WAŻNEGO

Historia mojego regionu jest trudna, ponieważ dotyczy tragicznych

wydarzeń z 1944 r., kiedy bandy UPA

doszczętnie spaliły Rudkę, miejscowość mojej babci. Ta książka pozwala mi dzielić się tą historią z innymi. Aby upamiętnić żołnierza AK „Zagończyka”, razem z tatą postawiliśmy drewniany krzyż i cały czas dbamy o pamięć lokalnego bohatera.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**



**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

To maszerowała nasza niepodległość

Trudno było nie zauważyć nieobecności premiera Polski na uroczystościach związanych z 106. rocznicą niepodległości. Można by powiedzieć za Jacques'em Chirakiem: skorzystał z okazji, by siedzieć cicho, albo trawestując klasyka: taki premier, jaka niepodległość. A jest ona ulomna, byle jaka, ponadgryzana przez sąsiadów... Bardziej chora od służby zdrowia, która popiskuje w leszczynie. Stąd właśnie absencja pierwszego ministra. Musiał długo czekać w kolejce do lekarza domowego, by dostać skierowanie na badanie u specjalisty, który wyznaczył dodatkowe prześwietlenia w odległym terminie, co spowodowało przesunięcie miejsca w kolejce do rejestracji na konsylium przyznające szpitalne łóżko o właściwym standardzie...

Ale zostawmy na boku spekulacje. W gruncie rzeczy wiemy, że on się leczy zupełnie gdzie indziej z powodu innej choroby. Nie bez przyczyny rozchodzą się plotki od radców dworu i służby domowej, że się wściekł! A wściekizna miewa zaskakujące objawy. Ok. 20 lat temu gnębiła planetę choroba szalonych krów. Okazało się ostatnio, przepraszam... naukowcy ogłosili ostatnio (bez „naukowców” ani rusz!), że po długim cyklu mutacji ta choroba przeskoczyła na ludzi, m.in. ugodziła zapomnianą już posłankę Sylwię S. Szkoda, że biedaczka wypadła z obiegu, bo

dostarczała gawiedzi dużą porcję radosnej pożywki. Z zabawnych krętaństw premiera też niby można się uśmieć, ale są jednak słabsze niż obrazki z Partii Gwałconych Krów. Naturalnie każdemu z wymienianych tu modeli życzymy zdrowia, zwłaszcza psychicznego... bo jesteśmy wielce humanitarni i empatyczni. Mówiłem przed laty taki żarcik o ministrze lustrującym psychiatry. Ściśkał ręce, przedstawiał się: „Jestem ministrem”. Któryś z pensjonariuszy mówi: „A ja byłem premierem i patrz, co ze mnie zrobili!”. Jeszcze jeden z tego cyklu... Pacjent w ramach terapii pracuje w szpitalnym ogródku. Minister pyta: „Co pan tam robi?”. „Pracuję przy truskawkach” – odpowiada pacjent. „Posypuje pan nawozem?” – dopytuje minister. „Nie, cukrem, ale ja jestem wariat” – mówi pacjent.

A na poważnie – wracając do niepodległości, gnębionej, spychanej na margines, chorobliwie nielubianej przez niektórych polityków, zrobiła nam niespodziankę! Chyba się odradza! Zaskoczyła biało-czerwonym entuzjazmem! 11 listopada Al. Jerozolimskimi maszerowała nasza niepodległość – wesola, dynamiczna, młoda i stara, pokrzykująca, śpiewająca: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”... Serce rosło na widok demonstracji wspólnoty i tożsamości. Listopadowa aura dookoła, a mnie z żoną zrobiło się jakoś wiosennie... Może tym razem wiosna będzie wreszcie nasza! Wybory prezydenckie już w maju!

Applebaum pogrzebie szanse Sikorskiego

Debatę nad kandydatami na urząd prezydenta RP już teraz można podzielić na tę sprzed wygranej Trumpa i na tę po wygranej. I jak w Platformie widać nerwowość od tego momentu, tak dla Prawa i Sprawiedliwości ten scenariusz jest niemal naturalny – z republikanami mamy przecież wiele wspólnych punktów, zarówno w polityce zagranicznej, jak i w kwestiach wartości. Dla Koalicji Obywatelskiej jest to jednak ogromny kłopot. Przez lata wyśmiewali Trumpa, nazywając go zagrożeniem, a teraz muszą się zmierzyć z jego reelekcją i własnymi słowami. Wpisy pełne pogardy w pośpiechu znikają z internetu, jakby mieli nadzieję, że internetowa pamięć jest równie ulotna, jak ich obietnice wyborcze.

W PO po ogłoszeniu prawyborów trwa więc bratobójcza walka, a w jednym z programów, emitowanym przez stację, której skrócił niektórzy rozwijają jako „Tusk Vision

Network”, padło pytanie o pochodzenie żony Sikorskiego Anne Applebaum. Jest ona bowiem Amerykanką o żydowskich korzeniach. Pytanie wywołało burzę, bo przecież jak można tak pytać i do tego jeszcze głosy krytyczne co do jej pochodzenia pochodzą od członków tak bardzo tolerancyjnej formacji.

Ale, drodzy państwo, dyskusja nad potencjalną polską pierwszą damą nie powinna się koncentrować wokół jej pochodzenia, a tego, jak Applebaum przez lata pisała o Trumpie. Jeszcze niedawno porównywała go do Stalina i Hitlera. To nie była jednorazowa krytyka – przez lata napisała wiele obraźliwych tekstów wymierzonych w Trumpa i republikanów. Jak więc duet Sikorski–Applebaum chciałby zbudować relacje z amerykańską parą prezydencką, którą przez lata demonizowała?

Dla porównania Andrzej Duda wraz z małżonką Agatą doskonale budowali

relacje z Trumpem. Ich spotkania opierały się na wzajemnym

szacunku i pragmatyzmie, co miało realny wpływ na wzmocnienie więzi polsko-amerykańskich. Dzięki tym relacjom Polska rozwijała strategiczny sojusz w NATO, osiągając wiele korzyści politycznych, gospodarczych i szczególnie teraz ważne wsparcie w zapewnieniu bezpieczeństwa.

Sikorski i Applebaum to zupełnie inna historia. Zamiast budować mosty, ich obecność w pałacu prezydenckim mogłaby je skutecznie zniszczyć i poważnie skomplikować relacje Polski z USA. Zamiast budować zaufanie i współpracę, mogłoby tylko pogłębiać podziały. Polska stojąc przed geopolitycznymi wyzwaniami, nie może sobie pozwolić na ryzyko zniszczenia relacji z najpotężniejszym sojusznikiem. 

Arkadiusz Mularczyk



O wyższości polityki nad obywatelem



**Samuel
Pereira**

Czyż może być bardziej obywatelska postawa władzy niż decyzja o tym, żeby to, co uważa się za najlepsze i najważniejsze, dać sobie, a pozbawić tego obywateli? Widocznie nie, bo właśnie taka jest kwintesencja wytycznych ministerstwa sprawiedliwości Adama Bodnara, który jak powszechnie wiadomo jest krynicą demokracji i praworządności. Nie żartuję.

„Prokuratura raczej będzie uznawać wadliwych neosędziów w procesach karnych. Zwyciężyła pragmatyka i interes obywateli. Prokuratura nie chce bowiem do końca sparaliżować pracy sądów i narażać obywateli na jeszcze dłuższe procesy” – donosi OKO.press, przedstawiając wytyczne ministra Bodnara dla prokuratorów. W skrócie: zachęca do negowania statusu nieuznawanych przez władzę sędziów, ale nie nakazuje tego, wskazując, żeby skupić się na sprawach głośnych politycznie, nie zaś tych dotyczących tzw. zwykłych obywateli. Innymi słowy z ich perspektywy rzekomo sprawa jest poważna, bo narusza prawo do niezależnego sądu,

a więc jedną z podstaw państwa prawa, ale jednak po cichutku przyznają, że w większości przypadków nie będą się przejmować, bo to są ich sprawy, „na górze”, a nie jakichś maluczkich, jakiś obywateli. „Praworządność tak, ale nie dla wszystkich, dla was neosędziowie i bezprawne wyroki” – tak można podsumować tę logikę.

Można by powiedzieć, że wybiórcze stosowanie zasad praworządności podporządkowane politycznym kalkulacjom podważa jej fundamenty, ale przecież to jest taka gra, gdzie jedna i druga strona wie, że to przedstawienie, a prawdziwym źródłem problemu jest zerowa tolerancja i akceptacja dla jakichkolwiek zmian, których w polskim sądownictwie nigdy nie było od czasów komuny. Trójpodział władz tak, ale bez przesady, o sądach mamy decydować sami, bez żadnej zewnętrznej, czyli suwerena, kontroli. Obywatele znów stają się jedynie biernymi obserwatorami, którym mówi się, że „praworządność tak, ale taka, jak my ją rozumiemy, a wam nic do tego”. Demokracja tak, ale bez przesady. 

Nie walczę z przyjaciółmi na śmierć i życie

**Z aktorem *Kamilem Szklanym*
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

W „Koronie królów. Jagiellonowie” gra pan postać zarówno skrojoną pod swoją aparycję, jak i umożliwiającą szybkie wizerunkowe odcięcie się od niej. Golimy zarost, zmieniamy ucieszenie i mało kto rozpoznaje w panu serialowego rycerza. To plus?

Kamil Szklany: W niektórych sytuacjach tak.

Co poza fizyczną metamorfozą przejął pan od Jana Hińcza? Za co go pan ceni?

Najbardziej chyba za to, że jest o wiele bardziej poważnym i odpowiedzialnym osobnikiem niż ja. To rycerz i zachowuje się po rycersku. Jest oddany Jagielle, jego żonie królowej Zofii i ich synom.

Niektórzy doszukują się też innych związków Hińcza z rodziną królewską.

Młodzi Jagiellonowie przedstawieni w serialu „Królowie”, kontynuacji „Korony Królów. Jagiellonowie”, nie są do mnie podobni. Za to na pewno do Marii [Pawłowskiej, grającej królową Zofię – przyp. red.].

Czego doświadczył pan dzięki Hińczy?

Wielu rzeczy, które robi Jan Hińcza, ja w życiu prywatnym nie robię. No może poza jazdą konną, która już ze mną zostanie, a uczyłem się jej od zera. Ale nie podkochuję się w zamężnych kobietach i nie walczę z przyjaciółmi na śmierć i życie.

Sporo się dzieje u pańskiego bohatera. Jak się pan resetuje po zdjęciach?

Trenuję crossfit i boks. Mam też psa, buldoga francuskiego. Można powiedzieć, że wyprowadzamy się nawzajem. Raz ja jego, raz on mnie. I to, podobnie jak treningi, zarówno mnie ładuje, jak i odstresowuje. 



Samozaoranie

Polaków trudno było pokonać. Spajały nas język, wiara i patriotyczne wychowanie w rodzinach. Prześladowania i represje zaborców zderzały się z żarliwymi ripostami poetów, pisarzy, malarzy, muzyków. Rząd dusz sprawowany przez polskich twórców był paliwem kolejnych powstańczych zrywów, krwawo tłumionych przez naszych wrogów. Przed totalną zagładą ocaliła nas niesamowita vitalność naszych przodków i zdolność do odradzania się tożsamościowych elit. Kanclerz Bismarck alarmował, że w Wielkopolsce Niemcy zdecydowanie przegrywają z Polakami w wyścigu o liczbę dzieci w rodzinie (8:5). Adolf Hitler ograniczał populację „podludzi”, wdrażając ludobójstwo (fabryki śmierci) i wspierając aborcję tubylców. Tymczasem dla „narodu panów” wznoszono liczne domy Lebensborn („źródło życia”). Po wojnie „odreagowaliśmy” hekatombę kolejnym wyżem demograficznym.



XXI w. przyniósł Rzeczypospolitej nowe, hybrydowe zagrożenia. Popkulturowe „pranie mózgu” (artyści, celebryci, pożyteczni idioci) okazało się nader skuteczne w demoralizacji młodzieży. Podważając prawa boskie i naturalne zachowania, globalni neomarksieści wyeliminowali moralność i zaburzyli (skutecznie!) płciowość społeczeństwa. Ze współczynnikami dzietności 1,16 jesteśmy dziś na ostatnim miejscu w Europie. Jeśli posiadanie dzieci kojarzy się z „udręką” (Donald Tusk), to przyklejające się do asfaltu „ostatnie pokolenie” odkleja się jednocześnie od rozumu. Rodzinnej pustki nie wypełni adopcja psów czy kotów. Wnuków i tak z tego nie będzie, każde „psiecko” jest bowiem, tak na wszelki wypadek, sterylizowane.

W nieodległej przyszłości pojawi się pytanie: co zrobić z tymi wszystkimi wytatuowanymi, zakolczykowanymi, nikomu niepotrzebnymi śmiesznymi staruszkami, którzy jakimś cudem dożyli podeszłego wieku? Ostatni etap rozwiązania naszego problemu już zaplanowano: to eutanazja.

PS Jeśli w wiosennych wyborach objawi się polski Donald Trump, może unikniemy samozaorania.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SYMON HOŁOWNIA TO JUŻ NIE TRZECIA DROGA ANI POLSKA 2050, TYLKO KANDYDAT NIEZALEŻNY NA PREZYDENTA! PYTANIE OD CZEGO?



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA
AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ (LESZEK DELIGOSZ), KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 99 33

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT.: ANDRZEJ WIKTOR X3, PIOTR MOŁĘK/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE WPŁSCEZA, SHUTTERSTOCK/ANNA MONEYMAKER, FREDERIC LEGRAND - COMEO

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Prawybyory w PiS

Zjednoczona Prawica naprawdę chce wygrać wybory prezydenckie. I wie, jak to zrobić. Z powodu wagi decyzji, której stawką jest przyszłość Polski, proces wyboru kandydata trwa tak długo i jest tak dla niektórych bolesny. Poznaliśmy jego kulisy



MAREK PYZA

W tym tygodniu wszystko będzie już jasne. Nie obiecuję, że od razu po otrzymaniu ostatnich badań zakomunikujemy naszą decyzję, bo analizy naukowe mają być pomocą przy jej podejmowaniu, a nie obligatoryjnym wskazaniem. Pewnych zmiennych nie da się przebiadać, np. gotowości kandydatów do ciężkiej pracy w kampanii czy ich odporności na trudne sytuacje – mówi nam członek Komitetu Politycznego PiS. Anonimowo – jak pozostali – bo w partii rozstrzyga się najważniejsza kwestia od lat, a opowiadanie o jej sekretach mediom nie jest zbyt dobrze widziane.

Badania nad tym, kogo wystawić w przyszłorocznych wyborach, obrosły już legendą. Ale nie ma się co dziwić. Formacja Jarosława Kaczyńskiego nie może sobie pozwolić na błąd, bo będzie on oznaczać domknięcie systemu Donalda Tuska i przejście przezeń do dalszej fazy autorytaryzmu oznaczającej jeszcze brutalniejszą rozprawę z opozycją i zupełne pogrzebanie demokracji.

Jak to uniemożliwić? Jak przekonać Polaków, by zablokowali jednolądytstwo ekipy, która w ciągu 12 miesięcy swoich rządów pokazała, że nie zamierza się przejmować obowiązującym prawem? W PiS znają odpowiedź.

PRZEDBIEGI

W chwili zamykania tego numeru „Sieci” sytuacja w prezydenckich przedbiegach wygląda następująco: w najbliższych dniach Platforma Obywatelska ma rozstrzygnąć, czy jej kandydatem będzie Rafał Trzaskowski, czy Radosław Sikorski. Konfederację będzie reprezentował Sławomir Mentzen. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia startuje jako kandydat niezależny. Wolni Republikanie (w tym Kukiz’15) stawiają na Marka Jakubiaka. Lewica jeszcze nie wie, czy wystawić kobietę, czy mężczyznę. Uszczuplona niedawno Partia Razem zapewne wysła do boju Adriana Zandberga, choć apetyt na start ma także Paulina Matysiak. PSL, tradycyjnie słabe w wyborach prezydenckich, w pierwszej turze poprze zapewne Szymona Hołownię, a przed drugą stanie przed wyzwaniem: jak nie poprzeć kandydata KO.

Lista branych pod uwagę kandydatów na prezydenta RP ostatecznie skurczyła się do trzech nazwisk. Obejmuje prezesa IPN Karola Nawrockiego, byłego ministra edukacji Przemysława Czarnka oraz europoła Tobiasza Bocheńskiego

Niewiadomych jest więc sporo. Ale jedyną liczącą się – zupełnie inną: na kogo postawi PiS? Nikt nie ma bowiem wątpliwości, że starcie w drugiej turze odbędzie się pomiędzy reprezentantami Zjednoczonej Prawicy i Koalicji Obywatelskiej.

Na prawicy panuje satysfakcja, że jednak nie zorganizowano oficjalnych prawyborów, bo na przykładzie Platformy widać, jak bardzo mogą być ryzykowne. Pomiędzy prezydentem Warszawy a szefem MSZ narasta coraz większe napięcie, a ich stronnicy sięgają po coraz ostrzejsze środki walki. W obozie patriotycznym zacierają na to ręce, bo amunicja, którą dziś strzelają do siebie w PO, będzie świstać również w zasadniczej kampanii i działać na niekorzyść kandydata Tuska.

Mimo wszystko można jednak postawić tezę, że również w PiS trwają prawybyory. Nieco inne, nieformalne – bez głosowania, ale z nieustającym wazieniem szans i aktywną kampanią pretendentów. To pokazuje, że zależy wszystkim liczącym się jeszcze w grze. Wszystkim, czyli komu?

Lista branych pod uwagę kandydatów na prezydenta RP ostatecznie skurczyła się do trzech nazwisk. Obejmuje prezesa IPN Karola Nawrockiego, byłego ministra edukacji Przemysława Czarnka oraz europoła Tobiasza Bocheńskiego.

W ostatnich dniach można było co prawda odnieść wrażenie, że opcji jest więcej, ale to złudzenie.

Mateusz Morawiecki działa w podobnym trybie jak w czasach premierostwa: terminatora (jego

współpracownicy często narzekali, że tempo i liczba zadań podejmowanych przez szefa każdego dnia przerasta możliwości zwykłego człowieka). Morawiecki a to więc jedzie do studentów na MIT w Cambridge, a to kilka dni później do tych z warszawskiej SGH. Spotyka się z internautami na sesjach Q&A, udziela wywiadów mediom polskim i amerykańskim, wypełnia obowiązki poselskie. Jednocześnie stawia na gęsty przekaz merytoryczny: punktuje rząd w sprawie niewystarczającej pomocy po powodzi, zapaści w systemie ochrony zdrowia, polityki energetycznej czy łamania prawa.

O swojej obecności przypomina też europoseł Dominik Tarczyński, będący w minionych tygodniach wyjątkowo blisko sztabu Donalda Trumpa. Ale tej kandydatury nie ma w kluczowych badaniach.

Również Mariusz Błaszczak pogodził się z faktem, że prezydenckie ambicje musi na razie odłożyć i skupił się na obowiązkach w partii oraz klubie parlamentarnym.

Pozostali walczą. 13 listopada Tobiasz Bocheński opublikował swoje zdjęcie stylizowane na format prezydencki z komentarzem: „Trawestując Marka Twaina: pogłoski o śmierci mojej kandydatury są mocno przesadzone”.

Karol Nawrocki po Marszu Niepodległości zamieścił w mediach społecznościowych film, który mógłby być gotowym spotem w kampanii. Ostatnio coraz częściej publikuje multimedia ewidentnie skrojone pod kampanię – obfitujące w podniosłą muzykę czy zwolnione ujęcia eksponujące głównego bohatera.

– Na korytarzach widać autentyczne emocje, czym jestem zaskoczony. Myślałem, że wszyscy podchodzą do tego wyboru z pewnym dystansem. Bardzo zmieniło się podejście Przemka Czarnka, z którym rozmawiałem z 1,5 miesiąca temu. Albo wyjątkowo sprawnie się wtedy krygował, albo naprawdę pod-

chodził bez większego zaangażowania do swojej kandydatury. A dziś jest w nim mnóstwo determinacji. Podobnie w Karolu Nawrockim – gdy rozmawialiśmy niedawno przez telefon, to aż z niego kipiało – słyszymy od byłego ministra w rządzie Mateusza Morawieckiego.



Karol Nawrocki

Prof. Czarnek też jest aktywny. Spotyka się z pielęgniarkami (co jak się okaże niżej pokazuje, że zna badania prowadzone w partii), regularnie nagrywa wystąpienia na YouTube, często gości w mediach i nie stroni od konkurentów – w czasie Marszu Niepodległości fotografował się z Dominikiem Tarczyńskim, a w Chełmie wspólnie z Karolem Nawrockim wizytował budowę Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej Centrum Prawdy i Pojednania.

To też pokazuje, że gdy kandydat zostanie wybrany, nawet wewnętrzni rywale będą pracować na jego sukces – podkreśla nasz rozmówca.

5 MIESIĘCY POSZUKIWAŃ

Badania, które zleciło Prawo i Sprawiedliwość, zaczęły się już w czerwcu.

Najpierw tworzono profil prezydenta oczekiwanego przez Polaków. – Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie, co sądzą o kohabitacji, czyli głowie państwa wywodzącej się z innego obozu niż rząd. Okazało się, że przychylność wobec takiej sytuacji znacząco wzrosła. Ludzie nie chcą nieograniczonej władzy. Żle wspominają, gdy PiS miało niemal wszystkie sznurki w swoich rękach, ale też nie chcą tego ze względu na sposób sprawowania rządów przez nowe władze.

Oczekują prezydenta z jednej strony twardego, blokującego niekorzystne dla nich rozwiązania, ale z drugiej – takiego, który z rządem się dogada w sytuacji fundamentalnego interesu kraju – relacjonuje nam osoba dobrze zorientowana w partyjnych przymiarkach do kampanii.

Ten etap badań zakończył się latem. Wtedy rozpoczęła się dyskusja o nazwiskach i kilkanaście osób poddano badaniom, m.in. na okoliczność przypisywanych im cech. Do ostatecznego etapu przeszło wspomnianych trzech. Przy

czyż Przemysław Czarnek jeszcze dwa tygodnie temu w zasadzie był już poza wyścigiem, jego kandydatura wróciła na fali zwycięstwa Donalda Trumpa w USA.

Co miało przekreślić szanse profesora z Lublina? Opowiada polityk z Nowogrodzkiej: – Dramatycznie wypada w bilansie zaufania, dużo więcej osób mu nie ufa niż darzy zaufaniem. To powoduje, że jest kandydatem praktycznie niewybieralnym w drugiej turze. Porównywaliśmy tę kwestię z sytuacją Donalda Trumpa – w najgorszym momencie, czyli po zamieszczeniu 6 stycznia 2021 r., jego najgorszy ujemny bilans zaufania wynosił 20 punktów. A Przemek ma ponad 30.

Nasz rozmówca wskazuje tu na ciekawe wnioski, które wylaniają się z najświeższych sondaży: – Gdyby w najbliższą niedzielę odbyły się wybory, bez żadnej kampanii, to najlepsze wyniki z PiS mieliby, w takiej kolejności: Morawiecki, Błaszczak, Kaczyński i Czarnek, a potem długo nic. Niedawny premier czy szef MON budzą zaufanie, ale jednak ciągną za sobą bagaż wspomnień o zdemonizowanych rządach PiS, dlatego ciężko by było zrobić z nimi kampanię skierowaną do przodu. Jeżeli natomiast ktoś mniej znany – jak Nawrocki – stanie się już oficjalnym kandydatem Prawa i Sprawiedliwości, jego notowania natychmiast podskoczą.

W partii nie boją się też o aktywność swojego elektoratu. Okazuje się bowiem, że największym mobilizatorem jest dla niego... Donald Tusk, nawet bardziej niż Trzaskowski.

Nie za bardzo zastanawiają się także nad tym, co się wydarzy w pierwszej turze. – Porównałbym to do silnej drużyny, która ma pewność, że wyjdzie z grupy na mundialu, więc szykuje taktykę na rundę play-off. W największym uproszczeniu: chodzi o to, by wybrać osobę, która w starciu z Trzaskowskim między pierwszą a drugą turą zwiększy stan posiadania z trzydziestu kilku procent do wymarzonego 50 proc. +1. Zakładamy, że druga tura może być nawet bardziej wyrównana niż w 2020 r. – wyjaśnia polityk z doświadczeniem w wielu kampaniach wyborczych.

Dodaje, że w PiS w zasadzie od miesięcy szykują się na jeden scenariusz – starcie z prezydentem Warszawy

i znalezienie kogoś, kto nie zmobilizuje przeciwników, jak miało to miejsce w ostatnich wyborach parlamentarnych czy w 2018 r. w Warszawie, gdzie Trzaskowski wygrał w pierwszej turze.

WYNIKI BADAŃ

Analizy zamawiane przez Prawo i Sprawiedliwość dzielą się na ilościowe i jakościowe. Te pierwsze mają pokazać m.in. możliwe przepływy między elektoratami Konfederacji czy PSL a PiS. Drugie, tzw. focusy, pokazują reakcje uczestników na wystąpienia kandydatów, na ich życiorys (zwłaszcza w przypadku mniej znanych osób).

Czy zatem decyzję ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego można sprowadzić do dylematu: czy pójść po głosy wyborców środka, czy też postawić na skrajną polaryzację i szukać wsparcia tylko w elektoracie Konfederacji lub PSL?

– To za duże uproszczenie. W tych wyborach będziemy mieć znacznie silniejszego przedstawiciela Konfederacji niż poprzednio. Musimy mieć kandydata, który uzyska jak największą grupę wyborców formacji Mentzena, a ta przecież jest podzielona na różne frakcje – od narodowej po libertariańską. Do wzięcia będą wyborcy PSL, raczej niechętni Trzaskowskiemu. To nie są duże liczby (2–3 pp.), ale jeśli zakładamy, że rozstrzygną setki czy nawet dziesiątki tysięcy głosów – to może być grupa, która zdecyduje. Jest wreszcie elektorat nazywany przez nas aspirującym – ludzie, którzy mają wysokie aspiracje osobiste, ale też oczekiwania wobec państwa większe niż tuż po wejściu do UE, którzy np. organizują się w akcje typu TAK Dla CPK, na co dzień nie śledzą międzypartyjnej nawałanki, a uaktywniają się przy ważnych wyborach.

Co konkretnie wynika z najważniejszych obecnie badań w polskiej polityce?

– Tobiasz Bocheński to mocny kandydat, ale na nieszczęście dla siebie dość blado wypadł w wyborach prezydenckich w Warszawie. W europejskich poszło mu lepiej, ale był już wypromowany, płynął na fali kampanii samorządowej. W stolicy miał jednak o 11 pp. mniej niż PiS w całym kraju, a to bardzo duża różnica. Patryk Jaki miał wynik o 6 pkt słabszy niż ogólnopolski partyjny, a wcześniej nasi kandydaci zawsze mieli podobne rezultaty w Warszawie jak partia w skali Polski. Jest też traktowany w focusach jako nieco zdystansowany do ludzi. Nad tym trzeba by popracować – mówi nam osoba znajdująca się w ścisłym gronie decyzyjnym.



Tobiasz Bocheński i Przemysław Czarnek

Były wojewoda pokonuje jednak swoich rywali w kwestiach wizerunkowych. Na dowód jeden z posłów opowiada: – No cóż, mówię to jako facet, ale to obiektywny fakt: Tobiasz po prostu bardzo dobrze wygląda. W czasie kampanii do Parlamentu Europejskiego chodził po warszawskich bazarach razem z kilkoma znanymi posłami, w tym z Mateuszem Morawieckim. I wie pan, z kim najwięcej osób robiło sobie zdjęcia? Właśnie z Tobiaszem. Panie były w niego wpatrzone, jak w gwiazdę pop. To nasz polski Kennedy! – kończy z entuzjazmem jeden z wiceministrów w rządzie Zjednoczonej Prawicy. Jednak kwestie estetyczne to za mało.

Oddajmy znów głos tym, którzy znają badania: – Gdy patrzyliśmy na cyferki pokazujące charakterystykę wyborców Konfederacji, aż się złapaliśmy za głowy. Byliśmy przekonani, że w tym środowisku Przemek Czarnek ma niesamowite wzięcie. A okazało się, że to nieprawda. Nieufność sięga 50 proc., a zaufanie – kilkunastu. Zbadaliśmy więc tych wyborców jakościowo i okazało się, że Czarnek kojarzy im się z meblowaniem życia, a Konfederaci tego nie lubią. Dobrze wypada tylko w oczach narodowej części Konfederacji. Inaczej niż Karol Nawrocki. Choć ma on rozpoznawalność wśród wyborców partii Mentzena na poziomie 30 proc., to posiada więcej zaufania niż nieufności. Podsumowując, musimy mieć „Dudę 2.0”, ale takiego, który będzie trochę centrowy, jednak z silną kotwicą tożsamościową. I tu Nawrocki wypada lepiej od Bocheńskiego. Ma też największy potencjał wzrostu, co może się okazać kluczowe.

Na koniec słyszymy: – Nie ma się co martwić o słabą popularność prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. W ostatnich tygodniach Karol przyzwyczaja się do kampanijnego tempa. Ma mnóstwo spotkań, nawet kilka wystąpień jednego dnia. Dba też o formę fizyczną.

To ostatnie w jego przypadku jest normą – wszak prezes IPN od lat trenuje boks.

JAKA KAMPANIA?

Obóz PiS szykuje się do trudnego boju i to na nierównym boisku, bo partia w nielegalny sposób jest pozbawiana subwencji budżetowych. Czy może to zdecydować o wyniku wyborów? – Jedną z lekcji z USA jest dla nas fakt, że pieniądze są w kampanii ważne, lecz nie najważniejsze. Kamala Harris miała olbrzymią przewagę finansową, a przegrała. Staniała też reklama – na tę w mediach społecznościowych wydaje się znacznie mniej niż w tradycyjnych, a niekiedy działa ona lepiej. Musimy zakładać, iż będziemy dalej bezprawnie prześladowani przez ministra finansów,

Musimy mieć „Dudę 2.0”, ale takiego, który będzie trochę centrowy, jednak z silną kotwicą tożsamościową. I tu Nawrocki wypada lepiej od Bocheńskiego. Ma też największy potencjał wzrostu, co może się okazać kluczowe

więc praktycznie cały fundusz wyborczy pozyskamy ze zbiorów. Biorąc pod uwagę liczbę osób, która wpłacała na nas w pierwszych dniach od uruchomienia zbiórki, uważam, że nawet przy znacznie wolniejszym tempie w ciągu 3–4 miesięcy kampanii jesteśmy w stanie zebrać pełny limit, który wynosi ok. 25 mln zł.

Kto byłby dla PiS trudniejszym przeciwnikiem w drugiej turze? Tu częściej pada nazwisko Radosława Sikorskiego. – Jest cwany. Spala wszystko, co mogłoby mu zaszkodzić w kampanii. Skandaliczne słowa o Trumpie? Ten temat już się przewalił. Pochodzenie żony i jej publicystyka – też przewalkowane. Trump rozgrywał to podobnie. W marcu wygasł wszystkie kontrowersje, odpowiednio opowiedział o nich swoim przeciwnikom i zamknął temat.

Kamala Harris próbowała do tego wracać, ale media się tym nie interesowały, bo uznały, że w tych sprawach wszystko zostało już powiedziane – mówi nam jeden z kampanijnych strategów Zjednoczonej Prawicy.

Inny dopowiada: – Sikorski potrafi pozować na konserwatystę. Będzie umiał przedstawić jakąś wizję Polski, a od Trzaskowskiego nie należy tego oczekiwać. Szef MSZ będzie się kreował na silnego faceta, który może się uniezależnić od Tuska, a Trzaskowski nie. Trudniej byłoby znaleźć okazje do neutralizacji tego rywala w środku polaryzacji, choć i na to mamy pomysły.

Natrafiamy jednak i na taki głos:

– Czy wolelibyśmy rywalizować z Trzaskowskim? To druga strona tak myśli i niech tak pozostanie. Mogą się zdziwić, co dla nich szykujemy.

Nasi rozmówcy więcej nie zdradzają. Wiemy za to, na jakich polach rozegra się walka o prezydenturę. To też decyzja, która wynika z badań.

– Najpierwsze miejsce najważniejszych spraw dla Polaków po wielu latach powróciła ochrona zdrowia, dalej mamy szeroko rozumiane bezpieczeństwo (obrona granic, imigracja, zbrojenia) oraz kwestie ekonomiczne. Przy czym jeśli zsumujemy te ostatnie – wskazania dotyczące statusu życia codziennego, inflacji, zarobków – okazują się one tematem numer jeden. Trzeba pamiętać, że kampanię robi się tak, by precyzyjnie trafić w segment oczekiwań wyborców. Czyli gdy np. pisowcy i platformersi zgadzają się w kwestiach bezpieczeństwa (a tu zapatrują się podobnie), to segmentu decydującego o zwycięstwie należy szukać głębiej. Chodzi o ludzi, których trzeba uruchomić, by poszli na wybory. I właśnie wśród nich decyduje kieszeń – opowiada nam polityk z najbliższego otoczenia Jarosława Kaczyńskiego.

W PiS jest świadomość, że musi to być poważna kampania poświęcona poważnym sprawom. Że przeciwnik zastosuje brutalne metody. Że starcie rozstrzygnie się niewielką liczbą głosów. Stąd tak skrupulatne przygotowania i lekka gra na czas. Na pomyłkę nie ma już miejsca.

Fabrycznie wadliwi pretendenci

10 słabości Rafała Trzaskowskiego i Radosława Sikorskiego

Donald Tusk i inni czołowi politycy Koalicji Obywatelskiej podkreślają, że ich kandydaci na prezydenta, czyli Rafał Trzaskowski i Radosław Sikorski, to najlepsi z najlepszych. Sprawdzeni, doświadczeni, kompetentni, cenieni i powszechnie rozpoznawalni – tak są promowani. Rzeczywistość jest taka, że to kandydaci z wieloma wadami, niejako fabrycznymi. Warto je opisać (po 10 na każdego), żeby wyborcy nie tkwili w fałszywej świadomości, by nie mieli złudzeń i nadmiernych oczekiwań.

RAFAŁ TRZASKOWSKI:

1. Politycznie nigdy nie był samodzielny, a nawet nie chciał być. Gdy pod koniec 2020 r. i na początku 2021 r. pojawiła się szansa objęcia przez niego władzy w Platformie Obywatelskiej, sam się poddał, kiedy tylko Donald Tusk ogłosił, że to on będzie się ubiegał o przywództwo. Trzaskowski nie podjął wyzwania skonfrontowania się nawet z Borysem Budką, wtedy przewodniczącym PO, który był łatwy do ogrania. Nie był i nie jest samodzielny także jako prezydent Warszawy – w stołecznym ratuszu nie jest żadną tajemnicą, że najważniej-



STANISŁAW JANECKI

sze decyzje potrafił narzucać władarzowi miasta nawet tak mało charyzmatyczny polityk jak Marcin Kierwiński, szef warszawskich struktur PO. W ważnych sprawach, szczególnie tych o dużej wadze politycznej, Trzaskowski jest od słuchania, a nie decydowania. Problemem stanowi fakt, że prezydent Warszawy wcale nie musiał dać się tak ustawić, ale nie zrobił nic, żeby to zmienić. W stolicy nie ma potrzeby wykazywać się żadnym politycznym sprytem ani ryzykować, ale to powoduje, że to nim dyrygują. A w partii niewiele znaczy jako gracz, mimo że jest wiecprzewodniczącym.

2. W warszawskim ratuszu ma opinię człowieka absolutnie niedecyzyjnego, niepotrafiącego wybrać rozwiązania nawet w najprostszych sprawach. I albo te decyzje podejmuje jego zastępca, albo decyduje przypadek, albo terminy zmuszają do wyboru jakiegokolwiek opcji, albo plany są redukowane. Jako prezydent państwa byłby więc wręcz niebezpieczny z powodu tej swojej niedecyzyjności czy tylko prokrastynacji. Zartobliwie mówi się, że Trzaskowski cierpi na syndrom Scarlett O'Harry, bohaterki „Przeminęło z wiatrem” – tej od „pomyślę o tym jutro”.

3. W Platformie dość powszechna jest opinia, że Rafał Trzaskowski ma kompleks lalusia, prymusa z dobrego domu, który musi się liczyć z setkami zewnętrznych okoliczności, bo co ludzie powiedzą.



W tym jest podobny do premiera Kanady Justina Trudeau, tylko że ten ma łatwiej, gdyż jest synem byłego premiera Pierre'a Trudeau i widział w domu, w którym bywało wielu polityków ze świata, jak się uprawia politykę. Mimo to Justin wciąż ma kompleks sławnego ojca oraz swojej miękkości i grzeczności. Trzaskowski też cierpi kompleks znanego ojca, choć nie polityka, a muzyka. Właściwie wszystko miał podane na tacy, więc teraz ma problem z podejmowaniem samodzielnych, odważnych decyzji. A najgorsze może być to, że ulega wpływom każdego, kogo uważa za silnego albo sądzi, że powinien liczyć się z jego zdaniem.

4. Rafał Trzaskowski jest kimś w rodzaju polityka z katalogu, czyli takiego, którego można dopasować do każdej okoliczności, do każdej sytuacji. Jego przeciwnicy w PO żartują, że jest jak składane meble pewnej szwedzkiej firmy: łatwo się je montuje, ale nie mają żadnego stylu, żadnych oryginalnych właściwości. A to oznacza, że Trzaskowski jest bardzo przewidywalny, ale nie ma dość charakteru, żeby odważyć się na konfrontację z silnym przeciwnikiem. Takie cechy u prezydenta państwa byłyby katastrofą.

5. O Trzaskowskim i jego pewności siebie fatalnie świadczą bzdurne kompleksy, np. ten dotyczący wzrostu. Na każdym kroku stara się udowodnić, że jest wysoki, co kompletnie nie ma znaczenia. Podobnie bzdurny, ale wpływający na sposób jego działania jest kompleks pantoflarza.

6. Wbrew pozorom Rafał Trzaskowski jest słabym mówcą mającym ewidentne kłopoty z retoryką i logiką, bojaźliwym przeciwnikiem w debatach i rozmowach, często posługującym się infantylną argumentacją. To czyni go łatwym do ogrania, szczególnie w konfrontacji z doświadczonymi i przebiegłymi pod tym względem politykami zwłaszcza z innych państw, gdyby musiał z nimi negocjować czy bronić polskich interesów.

7. Prezydent Warszawy jest zakładnikiem środowiska składającego się głównie z ludzi kultury, z którymi się identyfikuje i przyjaźni, których opinie są dla niego kluczowe, natomiast jego polityczna pozycja jest słaba – choćby dlatego, że na co dzień rzadko się konfrontuje politycznie, najwyżej wygłasza swego rodzaju kazania. To czyni go kimś w rodzaju „ciamciaranczi” (stare określenie Romana Giertycha w stosunku do polityków PO). W 2024 r. Trzaskowski coraz częściej naśladuje sposób przemawiania Donalda Tuska, co tylko naraża go na śmieszność.

8. Jest kompletnie nieodporny na porażki, dlatego przeżywa je czasem miesiącami, wpadając w swego rodzaju stupor, zamiast się zmobilizować i szybko zrewanżować, odwojować straty. Wystarczyłaby intensywna kampania przeciwko niemu prowadzona np. przez obce państwo z pomocą tajnych służb, żeby praktycznie obezwładnić go na długo i uczynić kompletnie biernym. A jeśli można by w ten sposób „wylączyć” głowę państwa, byłoby to dla tego państwa wyjątkowo niebezpieczne.

9. Prezydent Warszawy nie jest w stanie działać w nieprzyjaznym otoczeniu, w którym musiałby się stale konfrontować, więc w międzynarodowych instytu-

cjach i organizacjach byłby nie tylko bierny, lecz także łatwy do ogrania. Przywódcy Niemiec czy Francji bądź takie osoby, jak Ursula von der Leyen (UE) czy Mark Rutte (NATO), łatwo mogłyby mu narzucić swoją wolę. Byłby całkowicie nieodporny na rozwiązywanie ryzykowne dla Polski, a popierane przez większość.

10. Rafał Trzaskowski jest politykiem podatnym na pochlebstwa, więc ich umiejętne dawkanie czyniłoby go kompletnie bezbronnym i uległym, gdyby musiał podejmować trudne czy nawet radykalne decyzje. W połączeniu z brakiem odwagi czyniłoby to z niego jako prezydenta RP polityka słabego, zależnego, niezdecydowanego albo zawsze potulnego i realizującego obcą agendę, czyli w istocie Polska nie miałaby prezydenta.

RADOSŁAW SIKORSKI:

1. Sikorski to polityk mocno nieodpowiedzialny, zważywszy na to, jak się zachowywał jako minister obrony i szef MSZ. Przez tę nieodpowiedzialność po 2007 r. zrujnował relacje Polski z USA, co groziło zawieszeniem programu obrony antyrakietowej. Zepsuł też relacje z przyjaźnymi sąsiadami: Litwą, Czechami, Słowacją. Kompletnie zawiódł jako mediator na Ukrainie podczas kryzysu pod koniec 2013 r. i na początku 2014 r. Jako minister obrony był zakładnikiem rozwiązywanych wtedy WSI, co oznacza albo słabość charakteru, albo strach przed hakami.

2. Obecny minister spraw zagranicznych dał się ogrzać Donaldowi Tuskowi jak dziecku w ubieganiu się o ważne stanowisko w strukturach UE, nie mając pojęcia o tym, że jest podpuszczany i oszukiwany. Został też zawstydzająco ograny w staraniach o stanowisko sekretarza generalnego NATO w 2009 r. i w 2014 r., co oznacza, że ani nie potrafi skutecznie lobbować, ani nie jest na tyle ceniony, żeby jego kandydatura była traktowana poważnie i wspierana przez ważne państwa członkowskie. Właściwie wszystkie pełnione funkcje Sikorski zawdzięcza innym, sam nie był w stanie niczego dla siebie załatwić, zrealizować swoich planów.

3. Radosław Sikorski szybciej mówi, niż myśli, co sprawia, że po swoich niemądrych i nieodpowiedzialnych wypowiedziach (np. „wszyscy zginiecie” na Ukrainie, „Thank you, USA” po wysadzeniu rur Nord Stream) traci powagę, a poza tym traci mnóstwo czasu na ich odkręcanie.

4. Sikorski jest proamerykański i antyrosyjski tylko pozornie, w praktyce w relacjach z USA okazał się szkodnikiem (mimo wyciągania go z trudnych sytuacji przez wpływową żonę). A w relacjach z Rosją Sikorski był wielkim sojusznikiem Moskwy w fazie resetu zarządzanego pod koniec 2007 r. przez Donalda Tuska. Obnosił się ze swoją przyjaźnią z Siergiejem Ławrowem, szefem rosyjskiego MSZ, jednym z najbardziej podstępnych i niebezpiecznych rosyjskich polityków. Jego ostre polemiki w ONZ z przedstawicielem Rosji są próbą uwiarygodnienia się, ale jego prorosyjskość z przeszłości (dla wygody zwana realizmem) jest pamiętana.

5. Sikorski byłby jeszcze łatwiejszy „w hodowli” dla Niemiec (określenie tygodnika „Der Spiegel” w stosunku do Donalda Tuska) niż obecny premier, czego przedsmak mieliśmy podczas tzw. hołdu berlińskiego z 28 listopada 2011 r., gdy wręcz błagał o niemieckie przywództwo, także nad Polską. Pod tym względem Sikorski właściwie nigdy nie był autonomiczny i suwerenny.

6. Obecny szef MSZ ma sporo niejasnych plam w życiorysie, co być może go czyni podatnym na szantaż. Choćby niejasne okoliczności wyjazdu na studia do Anglii, podejrzenia o ściąganie podczas egzaminu na studiach w Oksfordzie, okoliczności pobytu w Afganistanie, wybryki z kolegami z Bullingdon Club, różne słabości czy dziwactwa związane z kobietami, a pojawiające się w jego wypowiedziach na nagraniach, np. z Janem Vincentem Rostowskim czy Janem Kulczykiem.

7. Zwolennicy Trzaskowskiego w PO uważają, że Sikorski ma kompleks pochodzenia, łatwy do wykorzystania, żeby nim sterować. Na studiach w Anglii pytano go, czy wywodzi się z arystokratycznego rodu bądź jest krewnym gen. Władysława Sikorskiego. Nie zaprzeczał, o czym polskim mediom mówił James Delingpole, kolega ze studiów w Oksfordzie („Wszyscy przypuszczaliśmy wówczas, że Sikorski jest przedstawicielem polskiej arystokracji”, gdyż „obcokrajowcy w Bullingdon Club musieli być potomkami książąt bądź innych szlachetnie urodzonych rodów”). Jego dwór w Chobielinie, wielkopańskie zachowania czy sposób ubierania się („przesadnie angielski”, jak stwierdził Delingpole) to tylko potwierdzenie tych kompleksów.

8. Sikorski nigdy nie był politykiem na tyle samodzielnym, żeby pozytywnie przejść crash test przywództwa. Nic nie wiadomo o jego progu odporności na zastraszanie bądź ostrą konfrontację, dlatego nie ma żadnych gwarancji, że sprawdziłby się jako głowa państwa. Istnieje raczej obawa, że Sikorski dużo by mówił, i to w ostrym tonie, natomiast nie byłby zdolny do podejmowania istotnych, a tym bardziej odważnych bądź ryzykownych decyzji.



9. Minister spraw zagranicznych w trzecim rządzie Donalda Tuska zbyt łatwo sławy, uznania i stanowisk, żeby być odpornym na manipulowanie nim, np. za pomocą pochlebstw albo pieniędzy. W Parlamencie Europejskim wciąż głośniejsza jest sprawa jego usług dla Zjednoczonych Emiratów Arabskich i inkasowania

stamtąd dużych sum

za nieokreślone doradztwo.

Sikorski udaje, że nie wie, iż Dubaj, największe miasto w ZEA, jest nazywane małą Moskwą, a całe Zjednoczone Emiraty Arabskie stały się rajem dla objętych sankcjami Rosjan i rosyjskich firm, w tym banków. Musiał wiedzieć, że Emiraty pomagają Rosji w obchodzeniu sankcji, praniu pieniędzy czy kupowaniu dla Putina tego, czego na Zachodzie nie wolno mu kupować. Jak mógłby nie słyszeć, że do Dubaju i ZEA napłynęły całe watahy rosyjskich kanciarzy, finansowych bandytów i oligarchów, bo zostali skreśleni w Genewie, Zurychu czy Londynie?

Napłynęły tam też splamione krwią rosyjskie pieniądze przeznaczone na wojenne zakupy. Człowiek „olbrzymiej wiedzy”, jak koledzy z PO nazywają Sikorskiego, nie mógł się nie orientować, że Rosjanie opanowali rynek nieruchomości w Emiratach, że tam ciągną bogate Rosjanki, by wydawać miliony na przyjemności i zakupy w sklepach najdroższych marek. A w tym czasie ich mężowie czy partnerzy kupują dla Putina to, co Zachód objął embargiem.

10. Wbrew pozorom Sikorski jest człowiekiem łatwo tracącym kontrolę nad sobą, wpadającym w skrajne nastroje, np. wtedy, kiedy musi się wykazać nienawiścią do PiS. Jest nieprzewidywalny, a przez to podatny na zewnętrzne sterowanie czy manipulacje albo niebezpieczny ze względu na ryzyko podejmowania decyzji w afekcie. Jest też zależny od żony, mającej w USA duże wpływy i będącej nieprzejednaną przeciwniczką Donalda Trumpa, co dla ewentualnego prezydenta byłoby wielkim problemem. Tak jak jej ewentualne żądania (prośby), by realizował to, na czym zależy jej politycznym przyjaciółom i mocodawcom.

Żyjemy w nowej despocji

W Polsce mamy do czynienia z bezprawiem, ale kłamstwo Tuska nie ma monopolu. Jednak system polityczny na Zachodzie nabrał charakteru despotycznego. – Niebezpiecznie zbliżamy się do tego, co charakteryzowało totalitaryzm – przestrzega prof. Ryszard Legutko, filozof i polityk, kawaler Orderu Orła Białego w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Serdecznie gratulujemy panu uhonorowania Orderem Orła Białego. Z demokracją w Polsce chyba nie jest jeszcze tak kiepsko, skoro demokratycznie wyłoniony prezydent docenia polityka i filozofa w jednej osobie. A państwo jeszcze nie więzi tego filozofa i nie daje cykuty do wypicia.

Ryszard Legutko: Prezydent Andrzej Duda jest człowiekiem wysokiej kultury politycznej, który raczej stara się zjednywać ludzi, niż ich dzielić. Nie spodziewałbym się takiego honoru z rąk prezydenta wywodzącego się z innej opcji politycznej.

Od lat jest pan krytykiem demokracji i współczesnego liberalizmu, które wyrodziły się w bezwzględnie panującą ideologię. Nietolerującą przecież swoich krytyków.

Pamiętam czasy, gdy modne było czytanie Milтона Friedmana i lansowano pogląd, że choć kapitalizm ma swoje wady, to posiada tę dobrą cechę, że nie liczy się w nim ideologia, lecz zysk, a ten jest ślepy na względy polityczne. Okazało się to jawnym fałszem. Dzisiaj banki i wielkie firmy prowadzą tę samą krucjatę ideologiczną, wspierając genderyzm, aborcję i cały lewicowy pakiet. Ale to nie tylko korporacje. System polityczny w świecie zachodnim nabrał charakteru despotycznego, bo stworzył monopol polityczny i ideologiczny. Jeśli spojrzymy na politykę krajów zachodnich, to zobaczymy, że nie ma różnic między ugrupowaniami lewicy, centrum i prawicy, a partie chadeckie czy konserwatywne przy-

jęły lewicową agendę. Monopol obejmuje nie tylko instytucje państwa, lecz także uniwersytety, media, korporacje, samorządy, społeczeństwo obywatelskie.

Na początku lat 90. znane były jednak opinie przestrzegające przed ciemną stroną liberalizmu, której doświadczano na Zachodzie.

Pamiętam te ostrzeżenia. Paradoksalnie zasadnicza zmiana nastąpiła po upadku imperium sowieckiego, gdy zachodnie elity uznały się nie tylko za zwycięzców, lecz także za orędowników wolności, bo przecież pokonały totalitaryzm. To było nieprawdą, bo Europa nie występowała przeciw „imperium zła”, tylko z nim współpracowała. Wówczas tego nie dostrzegaliśmy. Ja sam jako typowy polski inteligent żyjący w komunie idealizowałem ów Zachód. Kiedy moi znajomi z Europy Zachodniej zwracali mi uwagę, że mój ogłód jest zbyt optymistyczny, nie wierzyłem im.

Ale zmienił pan zdanie. Dlaczego?

Bo podjąłem wysiłek, by opisać świat, który mnie otaczał. Nie jest łatwo opisać i nazwać istniejącą wokół nas rzeczywistość, którą cały świat już wcześniej określił. Gdy w Polsce zapanała liberalna demokracja, wraz z nią pojawił się zestaw gotowych schematów myślowych jako jej część. Np. mówiono, że liberalna demokracja tworzy różnorodny świat, ale przecież była to nieprawda, bo kto miał oczy i rozum, ten widział, że niesłuszne

poglądy i głoszących je ludzi brutalnie wypychano na margines. Albo inny przykład. Mówiono, że Polsce grozi „megalomania narodowa”, choć megalomana trudno było znaleźć, a deprecjonowaniem naszego kraju zajmowali się wszyscy. Liberalna demokracja sparaliżowała naszą percepcję i narzuciła Polsce fałszywy obraz świata.

Ten resentyment istnieje w Polakach, powodując kompleks niższości?

Śięga on korzeniami XVIII w., gdy zgodnie z ówczesnymi przekonaniem Polską powinien rządzić jakiś zewnętrzny protektor: Fryderyk Wielki, rosyjska imperatorowa czy Napoleon. Gdy więc dużo później wchodziliśmy do UE, to nie tyle pod hasłem promocji polskości, ile wprost przeciwnie, z przekonaniem, że będziemy pobierać w niej nauki od brukselskich mędrców. Uzależnienie od tego, co obce, jest polską wadą. W „Panu Tadeuszu” czytamy o tym w opowieści Podkomorzego o Podczaszycu zakończonej słowami: „Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi, a co Francuz wymyśli, to Polak polubi”. W zależności od tego, co działo się we Francji, ów Podczaszyce ulegał różnym modom – w monarchii był markizem, podczas rewolucji demokratą, a za Napoleona baronem. Przyjechawszy do Polski, chciał Polaków „reformować, cywilizować i konstytuować”. Podobnie architekci III Rzeczypospolitej uznali, że Polaków trzeba „reformować, cywilizować

i konstytuować”, bo przecież w obecnej formie są do niczego.

Czy ten oportunizm przy jednoczesnym pogardliwym stosunku do tożsamości narodowej rzutował na brak wizji państwa i polityki prowadzonej do integracji z Zachodem?

Nasuwa się tutaj analogia, oczywiście przy gigantycznych różnicach, gdy w 1945 r. rządy przejęli komuniści. Oni także chcieli nas „reformować, cywilizować i konstytuować”, stwarzając nowego człowieka. Stosowali brutalne metody, osiągając pewne skutki, ale, co charakterystyczne, mimo tych zabiegów patriotyczny i katolicki komponent tworzący polskość okazał się zadziwiająco odporny, co ujawniło się w okresie pierwszej Solidarności. Celebrowaliśmy odrodzoną wówczas wspólnotę narodową poprzez msze, Jana Pawła II, patriotyczne symbole i tradycje. Uczestniczyli w tym również ci, którzy wywodzili się z tradycji lewicowych. Strajkującym robotnikom składano hold za śmiały opór przeciw komunizmowi. Jednak z końcem lat 80. tę legendę Solidarności odrzucano i tak jak po 1945 r. nowi sternicy III RP zajęli się stwarzaniem nowego człowieka, tym razem liberalno-demokratycznego. W tym dziele przeszkadzał im ów robol, ten sam, którego wcześniej tak hołubili, a którego teraz nazywano „człowiekiem sowieckim” i któremu, używając frazy bodaj Janusza Lewandowskiego, należało „spalać świadomość”.

Niemal tak jak mentor marksistowskich filozofów Tadeusz Kroński, który twierdził, że „sowieckimi kolbami nauczą ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji”.

Tak, to jest właśnie ten pogardliwy stosunek do Polaków, których, jak się uważa, należy wymienić na innych i aby osiągnąć ten cel, trzeba skorzystać z pomocy zewnętrznych podmiotów. Owa wymiana nieodmiennie oznacza więc rezygnację z dużej części polskiej suwerenności.

Ich wyborcom chyba też się nie mieściło w głowie, że w tej UE należy formułować cele, forsować interesy, konfrontować.



Prof. Ryszard Legutko został uhonorowany przez prezydenta Andrzeja Dudę Orderem Orła Białego

Wejście do Unii pogłębiło tę fatalną postawę, bo zrodziło pogląd, że oddanie suwerenności nie jest jej zrzczeniem się, lecz potwierdzeniem. Kryterium skuteczności polskiej polityki stały się nie realne korzyści, lecz akceptacja w Europie. Trzeba się było podobać. Gdy ktoś postponował polskich przywódców np. Sarkozy Lecha Kaczyńskiego lub Macron premiera Morawieckiego, reakcją na to były komentarze krytyczne wobec postponowanych, a nie wobec postponujących. Zakładały one, że Sarkozy czy Macron lepiej reprezentują polskie racje niż Kaczyński i Morawiecki. To jest postawa zębna dla Polski. Podobnie budowano wizerunek Tuska jako człowieka bliskiego unijnym elitom. Bo skoro zna się on z tymi ludźmi – tak myślą Polacy popierający Tuska – to znaczy, że jest wpływowym politykiem. Skoro tamci go lubią, robią to, o co ich poprosi. Kaczyńskiego nie lubili, więc mu szkodzili. To niesłychanie infantylny obraz polityki. Europejska polityka jest brutalna i nie ma żadnego związku z lubieniem i komplementami. Jeśli Tusk był tak wpływowym dzięki swoim przyjaźniom,

to dlaczego nie powstrzymał Nord Streamu? Co dały Polsce dusery, jakie przyjmował? Nic.

Tym bardziej że wciąż wielkim zagrożeniem jest budowa unijnego państwa federalnego. W jakim momencie się znaleźliśmy?

Na razie plan dalszej centralizacji został zawieszony, ale zapewne wróci. Dla Polski to sprawa kluczowa. U nas toczy się zimna wojna domowa, nie tyle między lewicą a prawicą, ile między zwolennikami niepodległości a podległości, gdzie suwerenem jest UE. Ci ostatni twierdzą, iż żaden kraj nie jest suwerenny, więc i my musimy zrezygnować z części niepodległości. To bzdura. Oczywiście żadne państwo nie jest do końca suwerenne, ale jedno są bardziej suwerenne od innych. Jeśli niemieccy politycy są zwolennikami większej integracji, to dlatego, że daje im ona większe instrumenty władzy, natomiast postępująca integracja odbiera je Polsce. Im większa centralizacja, tym kraje Europy Wschodniej będą miały mniej do powiedzenia, a kraje Europy Zachodniej więcej, lewica zaś będzie miała więcej niż

prawica. Najbardziej przygnębiające jest to, że obecny rząd całkowicie osontacyjnie realizuje strategię podległości. Jak inaczej tłumaczyć rezygnację ze strategicznych inwestycji, przyjmowanie bez zastrzeżeń polityki unijnej czy dewastację polityki historycznej? Pierwszą rzeczą, którą ten gabinet zrobił, było przyjęcie paktu migracyjnego. A najsmutniejsze, że wielu Polakom to się podoba.

To również pytanie o to, czy UE ma przed sobą przyszłość?

Na razie tak, bo zbyt wiele podmiotów jest zainteresowanych jej dalszym trwaniem, głównie z powodu jej wad. Jest nieprzejrzysta i pozbawiona czytelnej struktury władzy, a więc doskonale pozwala realizować cele bez oglądania się na słabszych. Nie ma w niej przejrzystego podziału kompetencji między podmiotami. Gdy pisze się o „kompetencjach dzielonych” między UE a państwa członkowskie, oznacza to faktycznie, że są to kompetencje unijne, może mniej w przypadku Francji, a na pewno w przypadku Polski. Komisja Europejska teoretycznie jest władzą wykonawczą, ale faktycznie bywa po części także sądowniczą, a nawet ustawodawczą. To wszystko jest chore. Podobnie Parlament Europejski, który po pierwsze, nie powinien istnieć, bo nie ma czegoś takiego jak europejski demos, a po drugie, jest instytucją szkodliwą, bo zlikwidował podstawę parlamentaryzmu, czyli możliwość rozliczania posłów przez wyborców. Ataki na Polskę przeprowadzali socjaliści, zieloni czy chadecy z różnych europejskich krajów, którzy w żaden sposób nie odpowiadają przed polskim elektoratem.

Ich motyw były ideologiczne czy po prostu chodziło o interesy krajów, które reprezentowali?

Jedno i drugie. PE zrobił inną fatalną rzecz, a mianowicie upartyjnił życie polityczne w Europie. Dotychczas spory rodziły się między poszczególnymi państwami członkowskimi, a Rada Europejska i Komisja były

platformami współpracy między nimi. Jednak w PE pojawiły się partie polityczne i nawet jeśli polski premier ustali coś z kanclerzem Niemiec, to EPL może dalej atakować Polskę i szczerzyć na nią inne instytucje. Zamiast stabilizować sytuację, Parlament Europejski więc ją zaognia, bo rządząca tam lewica prowadzi wojnę partyjną przeciw wszystkim ugrupowaniom i rządowi prawicowemu. Jeśli w jakimś kraju wygrywa prawica, to PE natychmiast z nią walczy i wspiera opozycję, faktycznie unieważniając wynik demokratycznych wyborów. Kiedy mówię o lewicy, mam na myśli również EPL, która nie różni się niczym szczególnie od socjalistów.

U nas toczy się zimna wojna domowa, nie tyle między lewicą a prawicą, ile między zwolennikami niepodległości a podległości, gdzie suwerenem jest UE. Ci ostatni twierdzą, że żaden kraj nie jest suwerenny, więc i my musimy zrezygnować z części niepodległości. To bzdura

Tymczasem mamy jednak fałę tzw. prawicowego populizmu w Europie i przede wszystkim zwycięstwo Trumpa. Można wiązać z tym nadzieje?

Pamiętajmy, że aby wyrwać się z obecnego stanu, zmiany muszą nastąpić na poziomie społecznym, a politycy, nawet o takiej władzy, jaką ma prezydent Stanów Zjednoczonych, są ograniczeni. Prawo zostało stworzone pod kątem interesów lewicy, mamy potężne instytucje, które je realizują, mamy głębokie zmiany świadomościowe. Ale nie bagatelizuję tego zwycięstwa, bo każde nadkruszenie

istniejącego monopolu jest korzystne. W tej chwili jedynymi krajami, gdzie ten monopol nie istnieje lub został ograniczony, są Węgry, Włochy, a po części Polska, bo mamy tutaj silną prawicową opozycję. W tej chwili doszły Stany Zjednoczone. Spuściłną po poprzedniej kadencji Trumpa były nominacje do Sądu Najwyższego dzięki którym udało się doprowadzić do zmiany aborcyjnego orzeczenia Roe vs. Wade z 1973 r. Stany mocno angażowały się w postępowo-lewicową krucjatę, o czym świadczyło oficjalne promowanie LGTB+. Nie wiem, czy się to zmieni i czy kolejny amerykański ambasador przestanie machać tęczą flagą.

Mówi pan: despotyzm, choć mieliśmy rzymskie dyktatury, despotów azjatyckich, absolutyzm oświecenia i totalitaryzmy. Czym właściwie jest ten system?

To ponadnarodowy system kłamstwa. Jeżeli niemal wszystkie media na świecie piszą, że Tusk „przywraca praworządność”, a ważne instytucje, w tym Chat-ham House, go za to nagradzają, podczas gdy jego działania są jawnym gwałceniem praworządności, to znaczy, że żyjemy w świecie globalnego kłamstwa i trudno przebić się z prawdą, nawet taką, która jest oczywista, jak w przypadku Polski. Niebezpiecznie zbliżamy się do tego, co charakteryzowało totalitaryzm, a więc do systemowej deformacji obrazu świata. W Polsce mamy do czynienia z bezprawiem, ale sytuacja jest o tyle lepsza, że istnieje alternatywa, a kłamstwo Tuska nie ma monopolu. W świecie zachodnim uniformizacja poglądów jest znacznie silniejsza i bezwzględniej narzucana. Obszar wolności ciągle się zmniejsza. Im monopol jest większy i bardziej represyjny, tym bardziej deklaruje się jako wolnościowy, demokratyczny, pluralistyczny, otwarty, dialogowy itd. Im łatwiej stracić pracę czy pójść do więzienia za niepoprawne użycie zaimka, tym bardziej każą się ludziom cieszyć, że żyją w wolnym świecie. 

Kłamie, bo może

Patologiczny kłamca – to określenie, które staje się tożsame z Donaldem Tuskiem. Już nie jako epitet rzucany przez jego przeciwników, ale niekwestionowana diagnoza. Dlaczego Tusk ordynarnie kłamie na oczach całej Polski? Czy to jego metoda polityczna, czy silniejsza od zdrowego rozsądku patologiczna cecha osobowości?

Wdobie internetu kłamstwo obiega świat dużo szybciej niż kiedyś, ale nogi ma znacznie krótsze. Najlepsze tego przykłady daje Donald Tusk. Zwłaszcza ostatnio za sprawą dziennikarki tygodnika „Solidarność”. Monika Rutke zadała mu pytanie o jego wypowiedź z marca 2023 r., gdy na wiecu w Bytomiu oskarżył prezydenta USA o to, że jest rosyjskim agentem: „Trump i jego zależność od rosyjskich służb już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to efekt dochodzenia amerykańskich służb. Nie wykluczają amerykańskie służby, że Trump został zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu”.

Powyższe słowa były odpowiedzią na pytanie uczestnika wiecu, który zainteresował się wcześniejszym instagramowym wpisem premiera. Po zwycięstwie wyborczym Joe Bidena w 2020 r. Tusk pisał, aby się cieszyć, bo przegrał polityk, który jest „zależny od Moskwy”. Teraz, po reelekcji Trumpa, szef polskiego gabinetu odpowiedział dziennikarce pytającej o to, czy podtrzymuje wypowiedź z Bytomia: „Nie, tego typu sugestii [o związkach agenturalnych Trumpa z Moskwą] nigdy nie zgłaszałem”.

W internecie od razu pojawiły się skejki dwóch nagrań z obu wypowiedziami. Warto je powtarzać, bo to jawne łgarstwo Tuska nie zostało szczególnie nagłośnione przez wspierające go media. Trzeba też dodać, że kłamstwo było podwójne. Dochodzenie przeprowadzone w 2019 r. przez amerykańskie służby i prokuraturę nie wykazało żad-



PIOTR GURSZTYN

nych nagannych związków Trumpa. A nawet potrójne kłamstwo, bo towarzyszą mu obecne wypowiedzi Tuska o tym, jakoby miał dobre relacje z amerykańskim prezydentem.

GWAŁTOWNE WOLTY, FUNDAMENTALNE PRZEBIERANKI

Wyciszaniu przez liberalne media towarzyszyło wzburzenie w internecie. W pełni zrozumiałe, bo Tusk po raz kolejny jawnie skłamał. Lista kłamstw jest długa i zróżnicowana. Jedne były beczelne, jak to z Trumpem, inne stanowiły złamanie danego słowa i brak wytłumaczenia ani przeprosin. Wreszcie gwałtowne wolty, znacznie przekraczające polityczne normy. W tym ostatnim przypadku ktoś powie w obronie Tuska, że każdy polityk z długim stażem wykonywał nagle zwroty i był niekonsekwentny w swym postępowaniu. Tu jednak chodzi o skalę, bo zwroty premiera nie są tylko taktycznymi zwodami, ale dotyczą spraw fundamentalnych. Jego medialni obrońcy mogą je nazywać „odbieraniem tlenu populistom”, ale w istocie jest to odbieranie wiarygodności każdej ofercie Tuska. Bo skoro

wykonał on tyle wolt, to jakie jest prawdopodobieństwo, że nie odwoła tego, co głosi teraz? To zwroty, które uderzają w zasadniczą część poglądów jego elektoratu i są wbrew podstawowym zasadom programowym jego partii.

UŻYTECZNE NARZĘDZIE

Kłamstwa są tak jawne i częste, że pada pytanie, co jest ich przyczyną. Wykalkulowana metoda polityczna czy cechy osobowości Tuska? Patologicznej, jak określają ją liczni obserwatorzy jego postępowania. Ale jedno nie wyklucza drugiego, bo wiadomo, że ludzie o skłonnościach socjopatycznych jednocześnie postępują w sposób wykalkulowany.

Nie da się zaprzeczyć, że niemoralni, a przy tym bezwzględni politycy widzą w kłamstwie użyteczne narzędzie. „Im większe kłamstwo, tym łatwiej ludzi w nie uwierzą” – mawiał Joseph Goebbels. Widać to również teraz, np. po „pracach” komisji gen. Stróżyka. Nie dość, że całkowicie niechlujnych, to przede wszystkim tak beczelnie kłamliwych, że fałsz wykazywały także liberalne media, na co dzień wręcz wrogi PiS. I to one wytknęły Stróżykowi wiele ewidentnych bzdur i fałszów.

Ale to „użyteczne” narzędzie ma poważną wadę. Jedno kłamstwo zmusza do mówienia następnych, co szczególnie zauważył Marek Belka, skądinąd gorący kibic Tuska, w wywiadzie dla Onetu w 2019 r.: „To jest strasznie gorzkie, co mówię, ale dzisiaj w polityce trzeba po prostu kłamać. Trzeba jedno kłamstwo szybko przykryć drugim

klamstwem, tak żeby o pierwszym ludzie zapomnieli”.

W przypadku Tuska widać to w ciągu kłamstw na temat słynnej obietnicy dotyczącej cen benzyny. W lipcu 2022 r. mówił: „Dziennikarka zadała mi pytanie: gdyby pan był premierem, to po ile byłaby benzyna? Ja powiedziałem: 5,19. Mogę to dzisiaj powtórzyć. Dzisiaj benzyna byłaby po 5,19. I to mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością”.

W lutym br. już jako premier znów usłyszał pytanie o benzynę po 5,19. Odpowiedział, że na razie cena paliwa jest winą przedwyborczych manipulacji Daniela Obajtka i potrzeba nieco czasu na ustalenie faktycznego stanu w jakim jest Orlen oraz „przebudowę” władz koncernu: „Do końca marca powinniśmy mieć odpowiedź, jakie działania są możliwe w obrębie spółki, aby ceny paliw były niższe niż w tej chwili”. W kwietniu na to samo pytanie odpowiedział: „Ja nie biorę odpowiedzialności za ceny benzyny, bo nie jest to decyzja premiera”.

BEZ KOMPROMITACJI

Z pewnością nie jest możliwe pominiecie drugiego aspektu, czyli oceny charakteru. Trzeba tu wyraźnie zaznaczyć, że nie odnosi się to do kwestii zdrowia psychicznego, do czego zbyt chętnie sięga się w walce politycznej, lecz tylko opisu typu osobowości. Dla przytłaczającej większości ludzi przyłapanie na kłamstwie, i to publicznie, jest powodem ogromnego wstydu i dyskomfortu. W przypadku patologicznego kłamcy nie istnieje pojęcie kompromitacji. On jest „ponad” tymi, którzy stawiają mu zarzut bycia kłamcą. W psychologii funkcjonuje pojęcie kompleksu Boga. Dotyczy ono ludzi przekonanych, że mają nadzwyczajne uprawnienia, bo stoją ponad normami, które obowiązują całą resztę społeczeństwa. Kompleks Boga łączy się z silnym egocen-

tryzmem, a wiadomo, że to cecha, którą przypisują Tuskowi jego liczni byli współpracownicy.

Międzynarodowa klasyfikacja psychologiczna DSM-IV wylicza wiele objawów charakteryzujących „osobowość antyspołeczną”, czyli socjopatyczną. Jedną z tych cech brzmi niepokojąco w kontekście oceny osobowości Donalda Tuska: „Wielokrotne dopuszczanie się kłamstw, stosowanie podstępów

taka cecha, jak „łatwość wysławiania się i powierzchowny urok”.

To niewątpliwie cecha Tuska, zwłaszcza gdy przypomniemy łatwość, z którą ogłasza różne radosne nowiny świadczące rzekomo o sukcesach jego rządu. Latem br. od razu po posiedzeniu Rady Europejskiej premier radośnie komunikował: „Polska uzyskała 100 proc. tego, co zakładaliśmy, jeżeli chodzi o projekty obronne dotyczące bezpieczeństwa”.

Tusk nie ma problemu, aby zaprzeczać samemu sobie. Raz mówił, że nie żałuje, iż przed 2014 r. nie wprowadził czegoś w rodzaju 500+, aby potem stwierdzić, że „Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt”

Dotyczyło to unijnego finansowania kopuły przeciwrakietowej i Tarczy Wschód. Ale po paru godzinach wszyscy korespondenci pracujący w Brukseli przysłali relacje, że Berlin i Paryż wsparte przez kilka innych stolic europejskich zablokowały postulat Tuska. I on o tym wiedział, gdy głosił swoją dobrą nowinę.

Tusk nie ma problemu, aby zaprzeczać samemu sobie. Raz mówił, że nie żałuje, iż przed 2014 r. nie wprowadził czegoś w rodzaju 500+, aby potem stwierdzić, że „Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt” i w ogóle podczepić się pod 800+, jako twórca tego świadczenia.

Nie ma problemu z woltą w sprawie imigracji (przedtem „biedni ludzie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi”, teraz „bandyci”), stosunku do Rosji (chciał rozmawiać z nią „taką, jaka jest”, dziś oskarża o współpracę z Kremlem tych, których wcześniej atakował za rusofobię), a ostatnio nagle okazał się być przeciwnikiem polityki klimatycznej UE. Wracając do resetu z Moskwą, w swej nerwowej przemowie w Sejmie twierdził nawet, że spotykał się z Władimirem Putinem tyle samo razy, co Lech Kaczyński. Z miejsca mu wytknięto kłamstwo, wyliczając, że odbył przynajmniej cztery dwustronne spotkania z Putinem, a prezydent Kaczyński nie przeprowadził ani jednej takiej rozmowy z dyktatorem Rosji.

Tusk nie widzi też potrzeby, aby się wytłumaczyć – nie mówiąc już o przeprosinach – z zapowiedzi „nie wybie-

lub oszukiwanie innych dla własnego zysku”. Oczywiście trzeba spełnić więcej kryteriów, aby można było postawić diagnozę „osobowości antyspołecznej”, ale nie mówimy tutaj o chuliganie zakłócającym spokój na osiedlu, lecz o polityku, od którego zależy los nas wszystkich. W klasyfikacji jest np. jeszcze inny zastanawiający punkt: „Zupełny brak troski o zadowolenie lub bezpieczeństwo innych”. Tu można postawić znak zapytania, ale widać, że inaczej niż za swoich pierwszych rządów Tusk dużo mniej przejmuje się nastrojami społeczeństwa.

Skądinąd w skalach obserwacyjnych osobowości socjopatycznych (podawanych np. przez słynnego kanadyjskiego uczonego prof. Roberta D. Hare) oprócz egocentryzmu i „skłonności do oszukiwania i manipulacji” jest podawana

ram się do Brukseli” albo dawnej przedwyborczej deklaracji, że nie podniesie wieku emerytalnego po wygranych wyborach. Ani z realizacji „100 konkretów na 100 dni”, mimo że sam się domagał, aby go z tego rozliczano.

SAMOTNY TYRAN

To wszystko jest typowe dla osobowości egotycznej i narcystycznej. A taka

wyłania się, co już wspomnieliśmy, z relacji ludzi, którzy go dobrze znają. Już dawno temu w wywiadzie udzielonym dla „Polska. The Times” w 2010 r. Andrzej Halicki mówił, że nie lubi grać w piłkę z Tuskiem: „Lubię, żeby to była gra, która kończy się w dobrej atmosferze. A Donald Tusk zawsze musi strzelać bramki”. W tej samej rozmowie Halicki zarzucił Tuskowi to, że upokarza przyjaciół i lubi lizusów.

Niedawno ukazała się rozmowa z Jackiem Protasiewiczem. Politykiem dzisiaj pokłóconym z Platformą, ale przed laty ważną tam postacią, bo szefem sztabów wyborczych: „Tusk już

wtedy miał przekonanie, że wynik wyborczy całej PO jest pochodną jego osobistej popularności. Nawet w wyborach samorządowych, gdzie jednak lokalni liderzy mają swoje znaczenie. Pamiętam, jak wygłosił taką opinię pod koniec 2010 r. po wygranych wyborach samorządowych. Brzmiała ona mniej więcej tak: »Ten sukces to jest mój sukces. A tam, gdzie jest porażka, to wasza porażka, bo nie zrobiliście tak, jak ja chciałem«. Jak dodał Protasiewicz, to przekonanie w nim stale narastało.

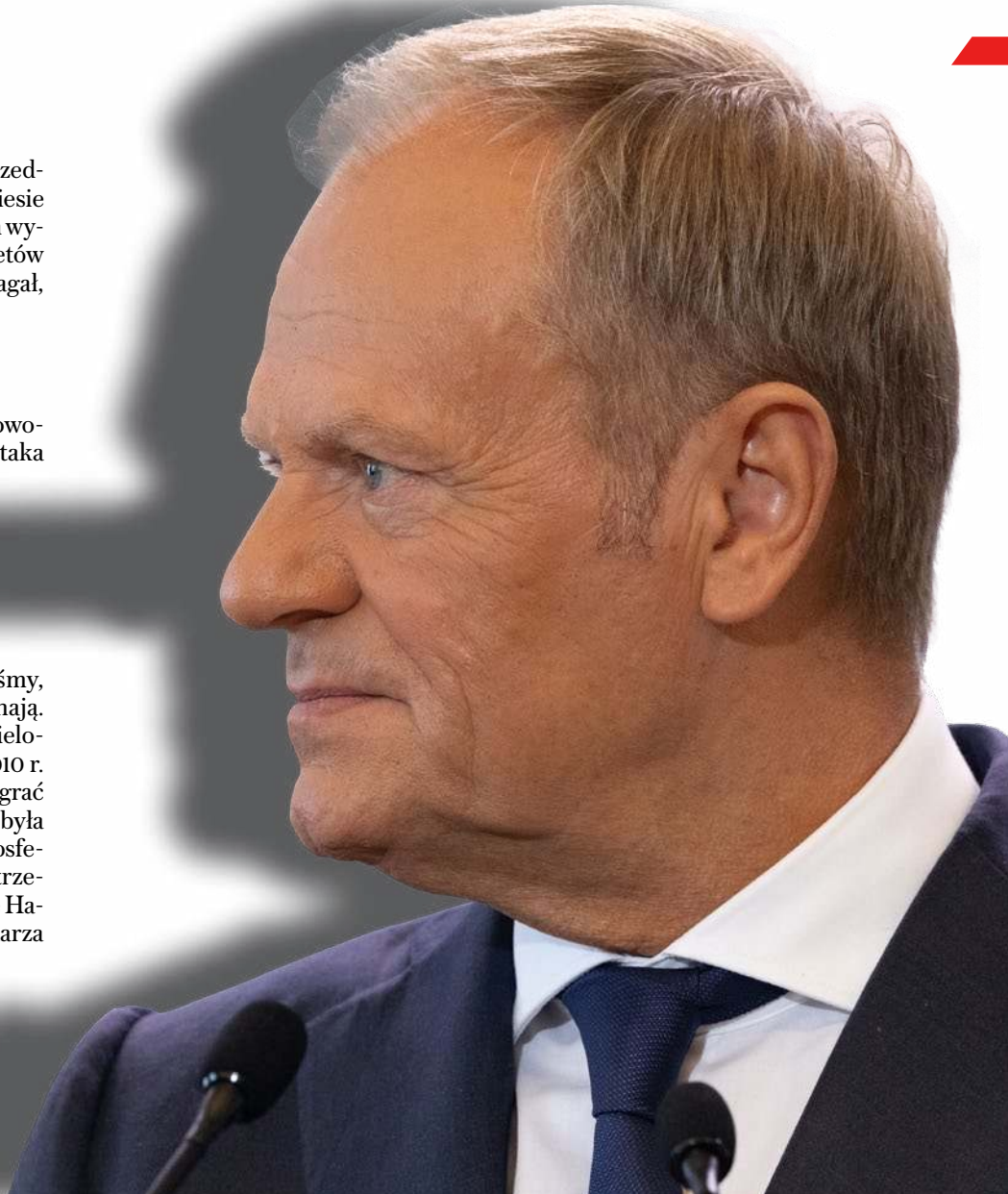
Tusk nie ma przyjaciół. Jest samotnym tyranem. Po drodze „zniknęli” dawni towarzysze – Andrzej Olechowski, Maciej Płażyński, Zyta Gilowska, Jan Rokita, Grzegorz Schetyna. Kontrastuje to z postępowaniem Jarosława

Kaczyńskiego, oskarżanego przecież o szczególną brutalność. Prezes PiS nadal jest otoczony sporym gronem ludzi, z którymi współpracuje od ponad 30 lat. Jest nawet krytykowany za to, że holuje za sobą wielu z nich, choć słabo odnajdują się w dzisiejszej polityce. To jednak dowód na lojalność wobec przyjaciół. W przypadku Tuska nie ma czegoś takiego.

Nawet teraz prawyborcy prezydenckie w PO pokazują, że ego wygrywa z rozsądkiem. Przez cztery lata partia „hodowała” oczywistego kandydata, jakim był Rafał Trzaskowski, a i on inwestował w swój start. Tymczasem Tusk nagle wszystko wywrócił: „Donald chciał zmusić Rafała do wysiłku, a po drugie, sam myślał o kandydowaniu” – czytamy

anonymową wypowiedź polityka PO dla Gazety.pl. Czyli po pierwsze, a nie po drugie. Myślał o swojej korzyści, a nie zmuszeniu Trzaskowskiego do aktywności. Znowu intryga i zabawa ludźmi.

Przyjemność w publicznym upokarzaniu ludzi – taki zarzut też słyhać. Na polecenie Tuska Sławomir Nitras musiał publicznie przeproszać anonimowego internautę tylko dlatego, że z powodu drobnego sporu przestał go obserwować na platformie X. Tomasz Siemoniak i Borys Budka byli poniżeni przez Tuska za pomocą SMS od jego teściowej: „Donku, wiem, że masz kłopot ze swoimi ludźmi. Jestem po twojej stronie. Nie powinni tak się zachować. Ale nie pozbywaj się ich. Już i tak sporo ludzi PO odeszło za twoich poprzedników. Teraz w PO każdy jest na



wagę złota. Czasem człowiek w jakiejś chwili popełnia błąd, ale potem żałuje. To są pozytywne chłopaki, więcej takich głupot nie zrobią". Powodem upokorzenia dwóch ważnych polityków było to, że uczestniczyli w urodzinach dziennikarza Roberta Mazurka.

A ostatnio usłyszeliśmy: „Czesław, proszę, żebyś teraz pojechał do resortu”. I minister rolnictwa Czesław Siekierski, człowiek już 72-letni, doktor ekonomii, polityk o bogatym dorobku, posłusznie wstał i wykonał polecenie swojego szefa, o którym mówi się także, iż ma cechy mobbera. Wszystko w czasie transmisji telewizyjnej na żywo, co oczywiście nie było przypadkiem.

MEDIALNA OSŁONA

Donald Tusk kłamie, bo może. Bo nie ponosi za to kary. W przypadku patologicznych kłamców bezkarność jest źródłem euforii i zachętą do tego, aby kłamać dalej. Chroni go chory system medialny, który wytłumaczy wszystko, np. wycofanie własnej kontrasygnaty. Albo przemilczy sprawy, które trudno jest wytłumaczyć – jak dziwny fakt zatrudnienia jako asystentki młodej kobiety z Ukrainy zamieszczonej w mediach społecznościowych niejednoznaczne fotografie.

„Nieprzesadnie alarmujące prognozy” to również przejaw nonszalanckiego – tak to łagodnie nazwijmy

– podejścia do faktów i prawdomówności. Tego dnia, gdy Tusk to mówił, prognozy były skrajnie alarmujące. IMiGW ostrzegał, że prawdopodobne są „bardzo duże szkody lub szkody o rozmiarach katastrof oraz zagrożenie życia”. A szef rządu musiał być o tym poinformowany.

Tusk jest wybitnym fachowcem w przekształcaniu tłumu w motłoch i wydobywaniu z niego najgorszych instynktów „w nadziei, że to przysporzy powodzenia politycznego”

BEZ POZYTYWNEJ OFERTY

Mimo osłony medialnej ciągle jest możliwa negatywna konsekwencja, czyli kara w postaci przegranych wyborów. Tusk broni się przed nią stworzoną przez siebie metodą polityczną – tym, co elegancko nazywa się polaryzacją społeczeństwa lub wtórną

trybalizacją. A mówiąc prościej – rozbudzaniem poczucia wyższości u wspierających go środowisk społecznych wyrażającego się przede wszystkim pogardą wobec innych grup oraz jednocześnie lękiem o utratę pozycji społecznej.

Pierwszy zdiagnozował to Ludwik Dorn (socjolog z wykształcenia): „Przed Tuskiem atakowano partie i polityków, ale nigdy nie atakowano ich społecznego zaplecza, nie atakowano ich wyborców. Tymczasem Tusk zaczął mówić wprost, że naszego wroga, czyli PiS, popierają ludzie gorsi”. A ostatnio – innymi słowy, ale w podobnym sensie – Jan Rokita napisał, że Tusk jest wybitnym fachowcem w przekształcaniu tłumu w motłoch i wydobywaniu z niego najgorszych instynktów „w nadziei, że to przysporzy powodzenia politycznego”.

Według tej metody Tusk nie musi prezentować żadnej pozytywnej oferty. A jeśli to robi, wiadomo, że jest ona tyle warta co jego „100 konkretów na 100 dni”. Obietnica na pozór, o czym zresztą wiedzą nawet jego najbardziej fanatyczni zwolennicy. Metoda Tuska jest na swój sposób nowatorska. On nie mówi o sobie, tak jak czynią to inni ubiegający się o głosy wyborców politycy, żeby głosować na niego, dlatego, że ma najlepszy program. Jego przekaz jest inny: wszyscy są źli, Tusk też, ale za nim stoi prestiż, a tamtych przysługuje tylko pogarda.

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl

*ubezpiecz to,
co się liczy!*



SALTUS - Mój DOM
UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ
I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Typowe wydatki domowe w ciągu roku:
Rachunek za telefon – 1300 zł
Abonament za serwisy filmowe – 780 zł
Siłownia, joga – 1400 zł
Internet i kablówka – 1320 zł
Ubezpieczenie mieszkania – **557 zł**

*Od wszystkich ryzyk dla mieszkania wartego 410 000 zł
i ruchomości domowych wartych 30 000 zł, także od kradzieży.*

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas
oraz Banków Spółdzielczych.



Prawybory w PO to zabieg marketingowy

Oficjalnie popieram Szymona Hołownię jako kandydata na prezydenta, ale w tym momencie nie ma jeszcze decyzji partii. Ciągłe możliwe jest jeszcze udzielenie poparcia kandydatowi zewnętrznemu. To elektorat PSL i Konfederacji będzie języczkiem u wagi i zdecyduje, kto zostanie prezydentem

Z Markiem Sawickim,
wiceszefem klubu
parlamentarnego
PSL-Trzecia Droga,
marszałkiem
seniorem X kadencji
Sejmu, rozmawia
Dorota Łosiewicz

Przy okazji Święta Niepodległości wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz apelował o budowanie silnej wspólnoty narodowej. Czy to możliwe w polskich warunkach?

Marek Sawicki: To jest konieczne. Jeśli premier Donald Tusk (i nie tylko on) ogłasza, że jesteśmy w przedwojnie, to rozdzielone i rozdarte państwo nie będzie w stanie się obronić, nawet jeśli będzie miało najsilniejszą armię. Armie uczestniczą w wojnach, ale muszą mieć wsparcie społeczeństwa. Bez tego żadna armia nie wygra wojny.

Tylko jak budować tę wspólnotę w tak zwaśnionym społeczeństwie?

Trzeba rozbić duopol polityczny PO-PiS. On żywi się sam sobą. Buduje sztuczną nienawiść, często wokół spraw, które nie są problematyczne. Jedni i drudzy i tak podobnie załatwiają te sprawy. Po co więc te ciągle napięcia, wewnętrzna wojna, szukanie wroga w konkurencji politycznej? Niech każdy robi swoje w duchu odpowiedzialności za państwo zamiast szukać wrogów. To się da zrobić, tylko zamiast wrogów i sztucznie budowanych problemów trzeba szukać porozumienia.

Trzecia Droga miała przełamać ten duopol, tymczasem przyłączyła się do jednej ze zwaśnionych stron.

Mam nadzieję, że Trzecia Droga jeszcze się nie zamknęła, do nikogo nie dołączyła. Przecież nie mamy rządu Donalda Tuska, tylko rząd koalicyjny. Bez żadnego z czterech partnerów tworzących rządzącą koalicję – PSL, Polski 2050 i Lewicy – nie ma zdolności koalicyjnej. I chyba wszyscy to rozumieją. Oczekiwanie, że w ramach koalicji

będzie jedność we wszystkich sprawach, jest oczywistą naiwnością. To tęsknota za PZPR i latami sprzed 1989 r. Niektórzy pewnie za tym tęsknią, bo byli piękni, silni i młodzi. Ale trzeba sobie jasno powiedzieć, że rządy koalicyjne to rządy ciągłego sporu. Są jednak dużo bezpieczniejsze niż monowładza.

Jednak gdy Donald Tusk ogłasza demokrację walczącą, współkoalicjanci przysmykają oko, a Trzecia Droga z zadowoleniem gra w jego drużynę.

Nie zgadzam się z panią. Jeśli spojrzysz pani na działania Władysława Kosiniaka-Kamysza w zakresie obszaru, który dostał w ramach porozumienia koalicyjnego, czyli obronności, wicepremier zachowuje dużą autonomię, ma na tym polu świetne relacje z panem prezydentem. Lepsze niż sam Donald Tusk. Lider PSL pokazuje w ten sposób, że są takie sprawy, które mogą łączyć strony sceny politycznej.

A dlaczego Polaków nie łączy Święto Niepodległości i marsz? Czemu świętujący wciąż są wyzywani od faszystów, nacjonalistów itd.? Dlaczego nie możemy jak Amerykanie wspólnie cieszyć się z wolności, z barw narodowych?

Bo źle weszliśmy w to święto. Nie mamy tradycji wspólnego święta jak Amerykanie. Święto 11 listopada to święto z 1937 r. Trzeba było więc 20 lat, by się zdecydować, kiedy czcimy tę niepodległość. Po kilku latach przedwojnia, potem okresu wojennego, w 1945 r. zostało ono zakazane i wróciliśmy do niego po 1989 r., ale nie znaleźliśmy sposobu na to, jak świętować razem. Nie jest tajemnicą, że marsz przejęli narodowcy. W tym roku nawet Jarosław Kaczyński nie był na niego zaproszony. Poszedł jako wolny obywatel. Może powinniśmy poszukać innego święta, które nas zjednoczy? Może Święto Flagi? Może 3 Maja?

Mówi pan, że wspólnotę narodową zbuduje zjednoczenie wokół konkretnych spraw. Spróbowała Paulina Matysiak z partii Razem,

założyła z Marcinem Horałą stowarzyszenie „Tak dla rozwoju”, po czym została odsądzona od czci i wiary, stała się „czarnym ludem”. Lewicy za współpracę z pisowcem. Morał z tego taki, że ponad podziałami niczego nie da się budować, nawet dla przyszłości kraju.

Nie zajmuje się problemami Lewicy i mało mnie interesują wewnętrzne podziały, które tam panują. Jeśli chodzi o CPK, uważam, że taki port jest potrzebny, ale wcale nie musieliśmy wracać do projektu Edwarda Gierka z lat 70. XX w. opartego na budowaniu na ludzkiej krzywdzie. Dziś państwo nie do końca jest w stanie zrekompensować straty i planowane wywłaszczenia. Z wykształcenia i wychowania jestem

W mojej ocenie, jeśli kandydat Platformy nie wygra w pierwszej turze, to bez względu na to, kto nim będzie, przegra wybory prezydenckie w drugiej turze

rolnikiem i boli mnie serce, gdy widzę, że wokół Warszawy mamy tyle ziem niskiej jakości nadających się na CPK, a buduje się na sochaczewskich czarnoziemach, bo w latach 70. komuś się zamarzyło, by dokuczyć badylarzom i ich stamtąd wysiedlić. Przykre, że w kraju, w którym nie ma wiele dobrych ziem, pod zabetonowanie przeznaczają się najlepsze gleby, kiedy można budować wokół Warszawy, w każdym dowolnym miejscu znaleźć obszar liczący 7–10 tys. ha i zbudować jeszcze większe lotnisko niż to w Baranowie.

Wróćmy do bieżącej polityki. Za chwilę prawyborów w Koalicji Obywatelskiej. Wyłonią one kandydata do prezydenckiego wyścigu czy czekają nas niespodzianki?

Prawyborów są po to, żeby zająć całą opinię publiczną Platformą Obywatel-

ską i jej politykami. Z tego punktu widzenia to świetny zabieg, choć nie jest żadnym piewem Donalda Tuska. Ale to doskonale posunięcie z punktu widzenia konkurencji politycznej, i tej wewnętrznej, i tej z PiS. Zabieg, który zajął media i opinię publiczną, mówi się głównie o tym. Ale przecież cztery lata temu w PO też były prawyborów i wyłoniły kandydatkę, którą została Małgorzata Kidawa-Błońska. A ostatecznie kto inny wziął udział w wyścigu o pałac prezydencki. Tak więc sprawa prawyborów nie zamyka tematu wyłonienia kandydata KO.

A kto ma większe szanse wybory wygrać: Rafał Trzaskowski czy Radosław Sikorski?

W mojej ocenie, jeśli kandydat PO nie wygra w pierwszej turze, to bez względu na to, kto nim będzie, przegra wybory prezydenckie w drugiej turze.

Wygra kandydat PiS?

A dlaczego PiS? Jeszcze jest sporo czasu, żeby pojawił się jakiś Szymon Hołownia czy Paweł Kukiz. Może być ich nawet kilku.

To porozmawiajmy o PSL...

...właśnie tak można robić duopol, który od 2005 r. szkodzi Polsce.

Ale Szymon Hołownia wreszcie ogłosił, że wystartuje.

Długo się z tym nosił, a można już było prowadzić kampanię, jak robi to Konfederacja.

PSL go poprze?

Oficjalnie popieram Szymona Hołownię, ale w tym momencie nie ma jeszcze decyzji partii. Ciągłe jest możliwe udzielenie poparcia zewnętrznemu kandydatowi. To elektorat PSL i Konfederacji będzie jęczyłkiem u wagi i zdecyduje, kto zostanie prezydentem.

Czy projekt Trzeciej Drogi ma jeszcze przyszłość? Tak wiele was różni: aborcja, mieszkanie, składka zdrowotna.

Nie jestem zwolennikiem zrywania tego projektu. Uważam jednak, że powinniśmy usiąść i rozmawiać o kwestiach programowych, położyć na szali

to, co nas łączy oraz to, co nas dzieli i zastanowić się, co dalej. W mojej ocenie wybory prezydenckie przeorzą polską scenę polityczną i po wyborach będzie czas na ewentualne przebudowywanie konfiguracji. Jak wcześniej, po upadku SLD czy AWS.

Czy ten rząd wytrzyma cztery lata?

Może wytrzymać, ale to zależy od wyborów prezydenckich. Łatwiej będzie z prezydentem, który będzie gotów współpracować. Jeśli będzie on zainteresowany zmianą władzy i rozpisanem nowych wyborów, to ma takie prerogatywy.

Jaka lekcja z amerykańskich wyborów płynie dla polskiej sceny politycznej?

Dla polskiej klasy politycznej żadna. Dla ośrodków kształtowania opinii publicznej wielka. W USA pomyliły się one ogromnie, w Polsce także. Piał z zachwyty nad Kamalą Harris i jej propozycjami, które poza kwestiami światopoglądowymi nic nie wносиły do amerykańskiej polityki. W Polsce też potrzeba autorefleksji. Ośrodki kształtowania opinii publicznej i mainstreamowe media nie dokonają wyboru prezydenta. Tego wyboru dokonają Polacy. Prawa strona polskiej sceny politycznej ma nadzieję, że wzrośnie jej poparcie, zwłaszcza po spotkaniu Duda-Trump, ale druga strona podchodzi do tego inaczej. Właśnie doszło do otwarcia bazy wojskowej w Redzikowie. W czasie jej tworzenia było czterech prezydentów w USA i z pięć rządów w Polsce. To pokazuje tyle, że przyjęte zobowiązania są realizowane.

A jak polska administracja ma teraz układać stosunki z administracją Donalda Trumpa? Po tych wszystkich słowach, które padły ze strony premiera Tuska, ministra Sikorskiego czy kandydata na ambasadora USA?

Jeśli pani myśli, że po tamtej stronie ktoś analizuje te wszystkie słowa i się nimi przejmuje, to jest pani w błędzie. To poziom plotek z imienin u cioci. W polityce liczą się interesy. Jeśli Amerykanie stwierdzą, że współpraca z Polską jest istotna, to będzie ona kon-

tynuowana, bez względu na to, kto co powiedział. Jeśli natomiast w USA zapadnie decyzja o wycofaniu się w rejon Indo-Pacyfiku, a Ameryka zrezygnuje z ochrony Europy przed jej wewnętrznymi problemami, to współpracy z Polską nie będzie. Choć otwarcie bazy w Redzikowie wydaje się ją cementować bez względu na to, co współpracownicy Trumpa na temat rosyjskiej wojny w Ukrainie mówią. Kampania się skończyła, czas na Realpolitik i może się okazać, że zmiany będą korzystniejsze dla Ukrainy niż się wydawało.

W USA okazało się jednak, że sprawy światopoglądowe miały mniejsze znaczenie niż gospodarka. Unas też są one żywe. Projekt dekryminalizacji aborcji trafił właśnie do sejmowej komisji. Jak ostatecznie zagłosuje PSL i czy zmieni zdanie?

PSL nie miało w tej sprawie zdania, bowiem u nas nie było dyscypliny partyjnej i jej nie będzie. Zdumiewa mnie to ciągle mieszanie Stronnictwa w dyskusję dotyczącą aborcji czy związków partnerskich. To jest agenda lewicowa, część moich kolegów próbuje się w to angażować i w tym uczestniczyć. Myślę jednak, że z dekryminalizacją będzie tak samo jak w lipcu.

To porozmawiajmy jeszcze o zdrowiu. Zdrowie mam. Na razie, dzięki Bogu, nie narzekam. Wysyłanie mnie na emeryturę jest przedwcześnie. Jeszcze trochę podokuczam wszystkim w polityce.

Pana dobre zdrowie bardzo mnie cieszy, widzę, że jest pan w znakomitej formie, ale miałam na myśli bardzo złą sytuację w ochronie zdrowia. Na razie projekt dotyczący konsolidacji szpitali spadł z posiedzenia rządu. Podobają się panu pomysły minister Izabeli Leszczyńskiej, w tym ten dotyczący likwidacji 30 proc. porodówek?

Jesteśmy z tym spóźnieni od czasu reformy administracyjnej. Przywrócenie dużych województw i zostawienie 49 szpitali wojewódzkich oraz jednocześnie utworzenie szpitali powiatowych w obecnym kształcie to marnotrawienie pieniędzy. Jeśli są powiaty, które mają poniżej 60 tys. mieszkań-

ców, są szpitale z 300–350 łózkami i 12 oddziałami, a szpital ma 30 proc. obłożenia, kadrę medyczną trzeba utrzymać na takim poziomie, jakby obłożenie było 100 proc., to nie jest w stanie tego sfinansować żaden NFZ. To trzeba zmienić. Jeśli w szpitalu jest jeden poród dziennie i 300 porodów w roku, to nie da się utrzymać porodówki i jej pełnej obsługi. Trzeba z tym coś zrobić. Dziś mamy inne możliwości transportowe niż 40 lat temu. Model powinien wyglądać tak, że mamy wspólne zarządzanie szpitalami powiatowymi pod nadzorem jednego dużego szpitala, dawniej wojewódzkiego. W takim konglomeracie można decydować, który szpital ma jaki oddział. Szpital główny powinien się specjalizować w skomplikowanych procedurach, a szpitale powiatowe powinny się zajmować szybką diagnostyką, rekonwalescencją i niech tam będą te oddziały, które są konieczne, a nie wszystkie. Dojazd do porodówki oddalonej o 50 km nie będzie żadną tragedią, o ile wszystko zostanie dobrze zorganizowane.

A czy temat składki zdrowotnej PSL także stawia na ostrzu noża jak Polska 2050. Słyszymy od kolejnych polityków tej partii, że jeśli zmiany nie będą po ich myśli, to nie poprą budżetu.

Niechby już ten socjalizm w Polsce po 35 latach wreszcie umarł. Dziś PiS i Lewica chcą powrotu do niego. Uważają, że bez przedsiębiorczości i przedsiębiorców da się utrzymać system rozbudowanej polityki społecznej, rozbudowanej opieki zdrowotnej. Nie da się! Jeśli nie damy przedsiębiorcom oddechu i nie pozwolimy się im rozwijać, nie damy się rozwijać produkcji i usługom, to nie utrzymamy tego, na co się zdecydowaliśmy w ciągu ostatnich 30 lat w zakresie polityki zdrowotnej i społecznej. Najwyższy czas zreformować Polski Ład i ulżyć przedsiębiorcom. Lepiej mieć 3 mln przedsiębiorców płacących po 500 zł niż 1 mln płacących 1 tys. A tym, którzy zapowiadają, że nie poprą budżetu, mówię: nie popierajcie, przecież można rozpisać nowe wybory parlamentarne. Jaki problem? 

Spór o szubienice

Od ponad 30 lat olsztyńskie środowiska patriotyczne usiłują uwolnić miasto od symbolu niewoli i upodlenia. Sprawa wydawałoby się oczywista. Powstały w 1954 r. monument miał jasne przesłanie zawarte w nazwie: pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej. W setkach polskich miast takie pomniki usunięto. W Olsztynie monument zwany powszechnie szubienicami nadal stoi



JERZY SZMIT

Twarzą obrońców pomnika jest były prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz. Choć i on miał chwilę, gdy był gotów go usunąć. Wystąpił nawet o zgodę do Ministra Kultury

i Dziedzictwa Narodowego. Działo się to po napaści Rosji na Ukrainę. Jednak szybko i radykalnie zmienił zdanie. Myśle, że kluczową rolę w zmianie postawy Grzymowicza odegrał Robert Traba.

Robert Traba to profesor, historyk specjalizujący się w historii relacji polsko-niemieckich. Nagradzany, odznaczany i hołubiony w Niemczech. Współautor bardzo kontrowersyjnego polsko-niemieckiego podręcznika „Europa. Nasza historia”. Zdecydowanie niechętny wobec postaw konserwa-

tywnych i prawicowych, akcentujących polski interes narodowy. Jednoznacznie zaangażowany politycznie po stronie środowisk pseudoliberalnych i lewicowych. Sądzę, że to właśnie on nakłonił Grzymowicza do dalszej obrony szubienic.

MANIPULACJA NAZWĄ POMNIKA

Traba opublikował ideologię obrony pomnika na portalu Borussia 9 maja 2023 r. Snuje tam wizję „Projektu dla pokoju” z wykorzystaniem „pomnika Dunikowskiego”. Sama nazwa „Projekt dla pokoju” ma zapisany w genach cytat z komunistycznej propagandy. Komuniści zawsze walczyli o pokój. To słowo stanowi ich zakłęcie, fetysz. Dla pokoju zabijali, wywoływali wojny, niewolili narody i jednostki. To świadome odwołanie do prymitywnej i zakłamej propagandy.

Traba zaprezentował logo swojego projektu: picassowskiego gołąbka pokoju. Pod jego skrzydłami komuniści chcieli zniewolić świat. Oczywiście nie mówili o zniewoleniu, ale o świecie otwartym, bez granic, podziałów, wyzysku, imperializmu, nacjonalizmów i Boga. Komunistyczna ideologia w czystej, utopijnej i jakże groźnej postaci.

W swoim tekście Traba używa w stosunku do szubienic określenia „pomnik Dunikowskiego”. Na monumencie jest tylko jedna ludzka (?) postać: gigantyczny, grubo ciosany kacap. Zupełnie nie pasuje on do typu urody Dunikowskiego. Czyżby profesor nie znał powszechnie dostępnej faktografii i ikonografii? No nie! Oficjalna nazwa szubienic – „pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińskiej i Mazurskiej” – nie pasuje nawet Trabie, bo jest prostacko fałszywa. Co więcej, jej treść odnosi się do wyzwolenia spod niemieckiego panowania. Takie skojarzenia zupełnie nie odpowiadają profesorowi. Musiał zatem znaleźć hasło, które zamaże jed-

noznacznie totalitarne i komunistyczne przesłanie szubienic. Wymyślił nazwę: pomnik Dunikowskiego. Rzeźbiarz figuruje jako autor monumentu, ale i tu też prawda jest inna. Dunikowski wziął za niego krociowe wynagrodzenie, ale do roboty zatrudnił trzech rzeźbiarzy z Krakowa i grupę kamieniarzy z Warszawy. A gdyby tak pomnik Fryderyka Chopina w warszawskich Łazienkach nazwać nazwiskiem autora: pomnik Wacława Szymanowskiego? A pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie pomnikiem jego autora Antoniego Popiela, pomnik Grunwaldzki w Krakowie – pomnikiem Antoniego Wiwulskiego, a monument Stanisława Moniuszki w Wilnie pomnikiem nieznanego autora, bo wśród historyków nie ma zgody, komu go przypisać?

Przy okazji dyskusji o szubienicach Traba szczerze i otwarcie pisze o fobiach i demonach zatruwających jego duszę (choć słyszałem, że nie wierzy w jej istnienie). Na temat Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych napisał: „Ze zbiorowych aktów sprzeciwu i walki przeciw narzuconej władzy komunistycznej utworzono pamięciową hybrydę »Żołnierzy Wyklętych«, wśród których znaleźli się autentyczni bohaterowie, jak i prymitywne, rasistowsko działające oddziały partyzanckie, których ofiarami padali niewinni ludzie”. Jak to rozumieć?

Czyli przed strzelaniem do Sowietów, KBW, komunistycznych aparatczyków, zdrajców i donosicieli żołnierze podziemia niepodległościowego powinni ich pytać o narodowość, rasę i pochodzenie? Do przedstawicieli narodowości A wolno strzelać, a do narodowości B nie? Dalej Traba tłumaczy: „Inny mechanizm manipulacji służy udowodnieniu, że większość Polaków ratowała Żydów w czasie niemieckiej okupacji. Kłamstwo. Teza sprowadzająca bohaterstwo tych nielicznych do rangi zbanalizowanej powszechnej postawy”. No tak, „zbanalizowana powszechna postawa”, za którą groziła kara śmierci z rąk Niemców.

Jednak czy decydują tutaj tylko osobiste uprzedzenia i kompleksy? Stawiam tezę, że nie. Traba lubi opowiadać

o historii jak o wielopłaszczyznowym, złożonym procesie. Ponownie go cytuję: „Ucząc się polskiej historii, warto każde zdarzenie, każdą postać pokazać w kontekście historii powszechnej, bo przecież nic nie istnieje w oderwaniu od reszty”.

MIĘDZY BERLINEM A MOSKWĄ

Tak więc uruchommy myślenie historyczne. Szubienice na chwałę Armii Sowieckiej postawili polscy (?) komuniści. Pomnik opowiada, że sowieckie czołgi przyniosły wyzwolenie, wolność i dobrobyt. Niemcy zostali pokonani i za karę ta ziemia została im odebrana. Sowietci oddali część zdobyczy Polakom, za co ci powinni być wdzięczni po wieczne czasy i pamiętać, że są tutaj w wyniku procesu historycznego.

Trzeba było znaleźć hasło, które zamaże jednoznacznie totalitarne i komunistyczne przesłanie szubienic. Obrońca monumentu wymyślił nazwę: pomnik Dunikowskiego

Czyli są przedmiotem w walce między Berlinem a Moskwą. Gdy procesy historyczne się odwróć (a to zawsze jest możliwe), Niemcom może przyjdzie do głowy, aby wrócić do swojego Allensteina i wtedy będą mieli symboliczną pamiątkę, że ta ziemia została im odebrana przemocą.

Już słyszę ten szyderczy rehot ze strony otwartych, postępowych, uśmiechniętych, bez trosk. Szmit oszalał, twierdzi, że Niemcy chcą nam zabrać Warmię i Mazury. Chyba go pogięło. Jesteśmy w Unii Europejskiej, w NATO, żyjemy w przyjaźni z Niemcami, a on pisze takie brednie.

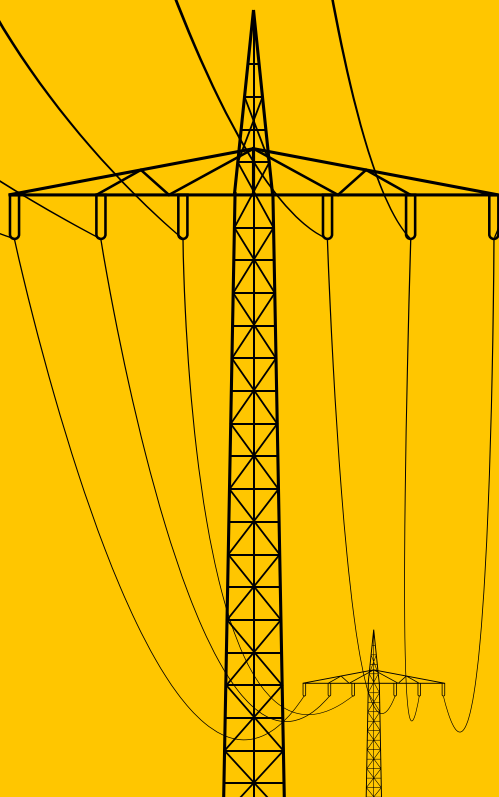
Odpowiem w ten sposób: wśród szyderców na pewno będą ci, którzy przez lata krzyczeli, że trzeba się otwierać na Rosję, wprowadzać ruch bezwizowy

z obwodem królewieckim, współpracować, gdzie i jak tylko się da. Bo przecież trzeba „rozmawiać z Rosją taką, jaka ona jest” i pora porzucić nasze uprzedzenia. Co prawda napad Rosji na Ukrainę przełożył w ich głowach w tej sprawie wachnięć o 180 stopni, ale nie wierzę, żeby nauczył ich „myślenia historycznego”. Co więcej, dzisiaj formalnie nie trzeba zajmować terenu, żeby dominować i eksploatować mieszkańców. Wystarczy doprowadzić do władzy ludzi, którzy na to pozwolą.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że grubo ciosany granitowy Kałmuk z sierpem i młotem na czapie nie wzbudzi już ani strachu, ani zainteresowania. Wywoła kpinę i chęć wyrażenia dezaprobaty za pomocą np. czerwonej farby. Otaczanie szubienic plotem tylko pogarsza sprawę.

Trzeba więc nadać szubienicom atrakcyjną formę, aby nadal były znakiem niemieckiej krzywdy i polskiej tymczasowości. I z tego wynika idea „Projekt dla pokoju – otwarte muzeum”. Czytając rozpisany na części pomysły Traby, można stwierdzić, że mógłby obejść się bez wkomponowania go w szubienice. Jednak profesor chce, aby nasze myślenie o najnowszej historii Warmii i Mazur ogniskowało się na szubienicach. Tę wizję uzupełnia dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury Mariusz Sieniewicz. Proponuje postawić przed MOK wagon podobny do tych, którymi na Warmię i Mazury przywożono Polaków z terenów przejętych przez Związek Sowiecki. Tak ku przestrodze – jeżeli nie będziecie wdzięczni (Rosji) i pokorni (wobec Niemiec), to pamiętajcie, że nie jesteście u siebie.

Pytany w kampanii wyborczej o pomnik nowy prezydent Olsztyna Robert Szewczyk wykręcał się, ale przyznał, że trzeba go przenieść. Po wyborach nie kwapi się do tego. Chwycił się pretekstu, że NSA ma rozpatrzyć odwołanie złożone jeszcze przez Grzymowicza do wyroku WSA nakazującego rozbiórkę. Kiedy rozpatrzy, nie wiadomo, a szubienice jak stały, tak stoją. Na razie prezydent wysłał ekipę, żeby posprzątała wokół sowieckiego monumentu.



We wtorek 5 listopada doszło w Polsce do kryzysu energetycznego. W całym kraju zaczęło brakować prądu i musieliśmy ratować się importem z sąsiednich państw. Prąd dostarczyła nam nawet Ukraina, która, choć pogrążona w wojnie, dysponowała większymi zasobami energii niż my.

Przyczyna kryzysu była prozaiczna. Po prostu zmieniła się pogoda, przestało wiać i stanęła większość wiatraków. Jednocześnie spadły temperatury, więc zapotrzebowanie na energię gwałtownie wzrosło. To nic dziwnego – o tej porze roku zazwyczaj robi się zimno, dlatego nikt o zdrowych zmysłach nie powinien skazywać 36 mln Polaków na kaprysy pogody. Wiatr i słońce to zapewne dobre źródła energii, ale w naszym klimacie bardzo niepewne. Zwłaszcza podczas zimy, która potrafi być mroźna i ciągnąć się przez kilka miesięcy.

ZALEŻNI OD POGODY

Podczas czekających nas zim – tej i kolejnych – takie sytuacje będą się regularnie powtarzać. Do tej pory pogoda nie miała aż tak dużego wpływu na nasze codzienne życie, ponieważ za wyjątkiem ekstremalnych mrozów lub opadów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zbliżająca się zima może być dużym szokiem dla naszych portfeli. W Polsce coraz częściej brakuje prądu, a ceny energii i ogrzewania będą rosły. Tymczasem rząd Tuska wydaje się zupełnie bezradny wobec tych zagrożeń. Rozwój energetyki jądrowej został zahamowany, a odnawialne źródła energii nie zapewniają nam stabilnych dostaw prądu

śniegu nasza energetyka pracowała bez zakłóceń i zapewniała stabilne dostawy prądu i ogrzewania. Dziś wystarczy jednak kilka zimnych, pochmurnych i bezwietrznych dni, aby nad całym krajem zawisła groźba kryzysu energetycznego. A biorąc pod uwagę fakt, że od listopada aż do marca takich dni jest wiele, znajdujemy się w stanie permanentnego deficytu energii.

W tym kontekście kryzys klimatyczny nabiera dla Polski zupełnie nowego znaczenia, oznacza bowiem, że wskutek błędnej polityki staliśmy się znowu, tak jak przed ponad stuleciem, zależni od pogody. To nic innego, jak cofanie się w rozwoju cywilizacyjnym. Oparcie się na niestabilnych źródłach energii i konieczność jej importu prowadzi nas również do utraty samodzielności. Bez importu energii polska gospodarka bowiem nie będzie w stanie funkcjonować.

„Wyobraźcie sobie teraz, że jedna trzecia Polaków przechodzi na samochody elektryczne. Wymieniamy ogrzewanie z ekogroszku i gazu na pompy ciepła, a na zewnątrz jest dziesięć stopni na minusie. Prąd wtedy stanie się towarem skrajnie deficytowym” – pisze Cezary Bachański, analityk gospodarczy i publicysta Warsaw Enter-

prise Institute. „Przypominam, że my w takich warunkach chcemy wygaszać elektrownie węglowe, kiedy nie powstanie wcześniej elektrownia jądrowa. Nie chciałbym przeżyć pierwszej zimy w Polsce po wyłączeniu Belchatowa” – dodaje Bachański, przewidując, że w najbliższym czasie będą nas czekać przerwy w dostawach prądu do najbardziej energochłonnych gałęzi przemysłu. Jak zauważa analityk, w takiej sytuacji rozwój gospodarczy jest niemożliwy.

REKORD ŚWIATA

Nie będzie żadnym odkryciem stwierdzenie, że im mniej prądu, tym jest on droższy. To dlatego ceny energii w Polsce oszalały. 5 listopada, gdy przestało wiać, cena spotowa energii elektrycznej (oferowana na transakcjach giełdowych) skoczyła u nas do 882 zł za MWh, a na początku zeszłego tygodnia utrzymywała się powyżej 700 zł. Dla porównania: w 2021 r. średnia cena spotowa wynosiła w Polsce 494 zł, w 2020 r. – 209 zł, a w 2019 r. – 230 zł za MWh.

Według wyciżen opublikowanych przez „Business Insider” ceny energii są u nas dwuipółkrotnie wyższe niż w Norwegii i o jedną czwartą wyższe niż w Niemczech, Szwajcarii i Danii. Są też najwyższe w Europie, a niewykluczone, że i na całym świecie.

Główna przyczyna tych podwyżek to uwarunkowania ekologiczne, a konkretnie Europejski System Handlu Emisjami (ETS). Zgodnie z nim każde państwo Unii posiada darmową pulę pozwoleń do emisji dwutlenku węgla. Z definicji jest ona zbyt mała, więc trzeba dokupywać brakujące pozwolenia na giełdzie. A ponieważ co roku darmowa pula się kurczy, cena pozwoleń rośnie. Dla takich krajów jak Polska, których energetyka ciągle jest oparta na węglu, to główna przyczyna wzrostu cen energii i jednocześnie impuls do przejścia na źródła odnawialne. Przy czym ta zmiana może niewiele dać, bo wytworzona w ten sposób energia jest po pierwsze, droższa, a po drugie, jak pokazały ostatnie tygodnie, bardzo niepewna.

Rozwiązaniem byłoby przejście na stabilną energetykę jądrową, tyle że wskutek

dotychczasowej polityki rządu Tuska ta perspektywa ciągle się oddala. W lipcu „ministra” klimatu Paulina Hennig-Kloska zapowiedziała, że pierwsza elektrownia zostanie oddana do użytku w 2035 r., ale jak wynika z ostatnich informacji pełną gotowość operacyjną osiągnie dopiero w 2040 r. Tymczasem rząd Morawieckiego zakładał uruchomienie pierwszego bloku siłowni w 2033 r. Poprzedni gabinet zakładał też, że w 2032 r. miała rozpocząć się budowa drugiej elektrowni. Wygląda jednak na to, że nic z tego nie będzie. „Na tym etapie prowadzimy prace badawcze, poszukując najlepszej lokalizacji. Zwykle prace na tym etapie też są bardzo złożone, potrzebna jest też zgoda społeczna” – zamknęła temat pani „ministra”. Według najnowszych donie-

We wtorek 5 listopada doszło w Polsce do kryzysu energetycznego. W całym kraju zaczęło brakować prądu i musieliśmy ratować się importem z sąsiednich państw

sień „prace badawcze” mają zostać sfinalizowane przed końcem listopada. Mówi się też, że druga elektrownia powstanie we współpracy z Japończykami. Czy tak będzie, zobaczymy. Podczas swoich poprzednich rządów Donald Tusk już przecież obiecywał, że w 2020 r. popłynie prąd z pierwszej elektrowni jądrowej i jak to u niego zwykle bywa nie dotrzymał słowa.

W kontekście tzw. transformacji energetycznej i Zielonego Ładu dziwne gry obecnej ekipy są bardzo ryzykowne. Bez energetyki jądrowej polska gospodarka szybko stanie się niekonkurencyjna, a społeczeństwo wyda biliony złotych na opłaty emisyjne i karne podatki klimatyczne. Odwlekanie budowy elektrowni jest więc szkodnictwem popychającym Polskę ku gospodarczej zapaści i ubóstwu.

BEZ WIATRU I BEZ SŁOŃCA

Według danych z sierpnia łączna zainstalowana moc wszystkich źródeł energii w Polsce wyniosła 70 GW. Z tego aż 31,5 GW (ok. 45 proc.) przypadło na odnawialne źródła energii: najwięcej na fotowoltaikę (19,5 GW) i wiatraki (9,7 GW). Co z tego jednak, skoro w naszym klimacie są to mocno sezonowe źródła energii. Przykładowo pod koniec listopada ub.r. wiatraki były w stanie jednego dnia wyprodukować aż 183 GWh energii elektrycznej. Dla odmiany w ostatnią środę z wiatraków czerpaliliśmy zaledwie 44 MWh. Jeszcze bardziej kapryśne są panele słoneczne, co nie powinno nikogo dziwić, zważywszy, że pracują one na pełnej mocy tylko przez ok. 66 dni w roku – taka jest bowiem średnia liczba dni słonecznych w Polsce.

W tej sytuacji niezbędne są konwencjonalne źródła energii, które byłyby w stanie zrównoważyć wahania produkcji prądu i tym samym ustabilizować sieć energetyczną. Nazywa się to ładnie „optymalizacją wykorzystania zmiennej produkcji energii ze źródeł odnawialnych”, czyli mówiąc po polsku łataniem dziur w systemie, gdy zabraknie słońca i wiatru. Do tej roli najlepiej nadaje się elektrownia jądrowa, która produkuje tani i stabilny prąd. Skoro jednak jej nie mamy i jeszcze długo nie będziemy mieć, pozostaje nam węgiel i gaz ziemny.

W zeszłą środę produkcja energii elektrycznej z węgla stanowiła blisko 75 proc. polskiego miks energetyczny (50 proc. węgiel kamienny i 22,5 proc. brunatny). Wytworzony w ten sposób prąd został obłożony opłatami ETS, co przełożyło się na jego wysoką cenę. Aby choć trochę zbić opłatę emisyjną, szuka się rozwiązań pomocowego, które pozwoli nam przetrwać – o ile dotrzymamy – do chwili uruchomienia pierwszej elektrowni jądrowej. Tym rozwiązaniem ma być energetyka gazowa. Pod koniec października w Gryfinie (Zachodniopomorskie) otwarto największą elektrownię gazową w Polsce o łącznej mocy 1366 MW. Powstają również bloki gazowe w Rybniku, Grudziądzu i Ostrołęce. Dzięki

temu udział gazu w polskim miksie energetycznym stale się zwiększa i sięga już 20 proc.

I choć prąd wytwarzany z gazu ziemnego jest w mniejszym stopniu obłożony opłatą emisyjną (jest ona niemal o połowę niższa niż w przypadku prądu z węgla), nie ma co liczyć na dużą obniżkę cen energii. Wynika to z tego, że gaz jest droższym surowcem od węgla. Nasze portfele niewiele więc zyskają na gazowej rewolucji.

To pokazuje, jak pilną potrzebą jest budowa elektrowni jądrowych w Polsce. Tylko one są bowiem w stanie zapewnić stabilną i relatywnie tanią energię. Najlepiej widać to na przykładzie państw takich jak Francja, których gospodarka dzięki rozwiniętej energetyce jądrowej jest odporna na wahania pogody i dysponuje dużymi rezerwami energii.

Problem w tym, że największymi przeciwnikami energetyki jądrowej są Niemcy, które zdecydowały się na samobójczy krok i w 2023 r. wygasily trzy ostatnie elektrownie atomowe. I choć wywołało to kryzys energetyczny, nie zamierzają odstąpić od tej polityki. Trudno przy tym nie zauważyć, że Berlin z najwyższą niechęcią przygląda się polskim próbom uruchomienia elektrowni atomowej i od dawna stara się je blokować. Przy czym nie chodzi tylko o kwestie ekologiczne (wydumane ryzyko skażenia), lecz także o gospodarkę. Niemcy, które za sprawą błędnej polityki popadły w duże tarapaty, nie mogą przecież pozwolić na to, abyśmy mieli tanią energię, bo za bardzo urośniemy.

LUKSUS CIEPŁA

W tej chwili nie grozi nam wzrost gospodarczy. Wręcz przeciwnie. Za sprawą horrendalnych cen energii z Polski wynosi się coraz więcej firm. Od początku br. do końca sierpnia zwolnienia grupowe objęły 20 tys. pracowników. Spodziewane było również bankructwo 20 tys. przedsiębiorstw. Jak twierdzą eksperci, wynika to nie tylko ze wzrostu kosztów w Polsce, lecz także w Niemczech, które pod wpływem

wysokich cen energii wygaszają część przemysłu i ograniczają zamówienia, m.in. w polskich firmach.

„To my jesteśmy, niestety, w czołówce cen energii. [...] Jak my możemy w ogóle gadać o konkurencyjności europejskiej, w tym polskiej gospodarki, jeśli będziemy mieli najdroższą energię na świecie” – zastanawiał się tydzień temu Donald Tusk. Niestety, premier znowu cierpi na zaniki pamięci, bo przecież nie tak dawno temu jego rząd zgodził się na wdrożenie systemu ETS 2. W rezultacie klimatyczny haracz, który do tej pory obejmował głównie kopalnie, elektrownie i zakłady przemysłowe emitujące gazy cieplarniane, zostanie rozszerzony na kolejne branże – przede wszystkim transport i mieszkalnictwo. Oznacza to dalsze podwyżki cen

Za pięć lat łączne rachunki dla przeciętnego gospodarstwa domowego wzrosną rocznie od 1560 do 7 tys. zł. Ciepło i energia elektryczna staną się luksusem dla wybranych

energii i ogrzewania oraz wymóg kosztownej termomodernizacji budynków.

Opłaty emisyjne będą doliczane do cen energii lub surowca (np. węgla czy oleju opałowego). Każdy dom będzie posiadał klasę energetyczną, a im będzie ona niższa, tym więcej zapłacimy za dostarczaną energię. Co więcej, domu z dużym zużyciem energii prawdopodobnie nie uda się nam sprzedać.

Wysokie rachunki mają zmusić odbiorców do przedstawienia się na odnawialne źródła energii (takie jak fotowoltaika zasilająca pompę ciepła) oraz inwestycji w termomodernizację budynków, aby podwyższyć ich klasę energetyczną. Z danych Głównego Urzędu Nadzoru Budowlanego wynika, że będzie to dotyczyło aż 17 mln gospodarstw domowych, bo tyle łącznie budynków jest ogrzewanych gazem lub węglem.

Czasu na kosztowne inwestycje nie będzie wiele, bo zgodnie z Zielonym Ładem wszystkie budynki w Unii muszą osiągnąć zerową emisję do 2050 r., przy czym te o najgorszej klasie energetycznej będą miały znacznie krótsze terminy, począwszy od 2030 r. W efekcie koszty utrzymania gwałtownie wzrosną, a stary dom lub mieszkanie dla wielu zwłaszcza uboższych lokatorów mogą się okazać finansową pułapką.

Według obliczeń ekonomisty Marka Lachowicza łączne rachunki dla przeciętnego gospodarstwa domowego w Polsce wzrosną rocznie o ok. 1560 zł, ale tylko pod warunkiem, że nie dojdzie do spekulacji w handlu emisjami CO₂. W przeciwnym razie ceny emisji pójdą w górę znacznie bardziej i koszty dla gospodarstw domowych okażą się jeszcze wyższe – w najgorszym wypadku w 2030 r. zapłacimy ponad 7 tys. zł rocznie więcej niż teraz, a w 2040 r. nawet 10 tys. zł więcej. W szczególnie trudnej sytuacji znajdą się właściciele domów. Dla budynku o powierzchni 100 m² koszt samego ogrzewania (bez energii elektrycznej) wzrośnie za sprawą ETS 2 o 3 tys. zł w 2040 r. w przypadku ogrzewania gazem i aż o 10 tys. zł w przypadku węgla. Ciepło stanie się luksusem dla wybranych.

TUSK ODKRYWA AMERYKĘ

„Długo myślałem, czy powiedzieć to wprost, ale powiem to wprost. Niektóre założenia dotyczące emisji CO₂ rozbrajają europejską gospodarkę” – stwierdził Donald Tusk. I choć powiedział to tak, jakby odkrył Amerykę, wszyscy rozumni ludzie wiedzieli o tym od dawna.

Nie należy jednak sądzić, że premier nagle zapalał empatią do zwykłych ludzi, którzy są największymi ofiarami obłądanej polityki klimatycznej wspieranej również przez jego rząd. Chodzi raczej o przyszlizoczone wybory prezydenckie, których wyniki nieoczekiwanie również stały się zależne od pogody. Jeśli mroźna zima mocno przetrzebi kieszenie Polaków, będą oni znacznie mniej skłonni oddać głos na kandydata PO. Dlatego już dziś gabinet zapowiada zamrożenie cen energii – przynajmniej do połowy przyszłego roku. Czyli do wyborów. A potem? Parafrazując Tuska, prąd może być nawet po 1000 zł.



Jak Trump chce zakończyć wojnę na Ukrainie?

Aby skoncentrować się na rywalizacji z Chinami i realizować politykę „pokoju dzięki sile”, która wyklucza okazanie słabości, Trump nie może sobie pozwolić na nadmierną ugodowość wobec Putina. Co ważne polityków, którym prezydent elekt zaproponował kluczowe funkcje w swej administracji, trudno określić mianem zwolenników ustępstw. Na ile skorzysta na tym Ukraina, dowiemy się wkrótce

W czasie kampanii wyborczej Donald Trump kilkakrotnie powtarzał, że jest w stanie zakończyć wojnę na Ukrainie w ciągu jednego dnia. Deklarował też, iż „nie można wykluczyć”, że uda się rozpocząć negocjacje nawet przed oficjalnym, planowanym na 20 stycznia przyszłego roku początkiem jego kadencji.

Niedawna rozmowa telefoniczna Trumpa z Putinem wskazuje na to, że negocjacje już się rozpoczęły i wszystko, co będzie się dziać w najbliższych tygo-



MAREK BUDZISZ

dniach, służy poprawie pozycji przetargowej uczestników wojny i ich sojuszników. Rosjanie w tradycyjnym dla siebie stylu podbijają stawkę i starają się wyprowadzić z równowagi przyszłych negocjatorów. Temu służą zarówno wściekłe ataki w ob-

wodzie kurskim, jak i opublikowanie zdjęć Melanii Trump sprzed 25 laty, w których pierwsza dama jest przedstawiana właściwie bez strojów. W pierwszym przypadku chodzi o to, aby do momentu rozpoczęcia negocjacji pokojowych odzyskać zajęte przez Ukraińców tereny, pozbawiając ich negocjacyjnej karty przetargowej. W drugim, jak zauważył Wołodymyr Ohryzko, dyplomata ukształtowany w starej szkole ZSRR, aby chwytem poniżej pasa zdenerwować rywala, wyprowadzić go z równowagi i skłonić do popełnienia błędu.

Wydaje się zatem, że wszyscy już się zaczęli przygotowywać do rozmów w kwestii zakończenia wojny na Ukrainie, ale otwarte pozostaje pytanie, na czym może polegać „plan pokojowy” Trumpa i jak 47. prezydent Stanów Zjednoczonych chce zakończyć wojnę.

USTĘPSTWA TERYTORIALNE ZA POMOĆ

Bryan Lanza, doradca pracujący w sztabie wyborczym prezydenta elekta, powiedział w BBC World, że aby „położyć kres mordowaniu”, Zelenski będzie musiał zaakceptować, że „Krym przepadł” i zgodzić się na realistyczne warunki pokoju, uznając brak perspektyw na odzyskanie okupowanych terytoriów. Co ciekawe, rzecznik prasowy przejściowego gabinetu Trumpa zdyskredytował oceny Lanza, zaznaczając, że ten „mówi we własnym imieniu”, co mogłoby oznaczać, że pomysł na to, w jaki sposób zakończyć wojnę, nie musi oznaczać polityki ustępstw terytorialnych, a przynajmniej nie w związku z Krymem.

Powołując się na anonimowych doradców Trumpa, dziennik „The Wall Street Journal” napisał, że jego „plan pokojowy” będzie oznaczał w gruncie rzeczy przyjęcie wariantu koreańskiego, czyli uznanie terytorialnego *status quo*, co równa się przyznaniu, iż Ukraina nie jest w stanie odzyskać obszarów okupowanych dziś przez Rosjan z bronią w ręku. Nie jest to równoznaczne z formalnym zrzeczeniem się części własnych ziem na rzecz Moskwy. Prócz tego Kijów „na 20 lat” powinien zarzucić plany członkostwa w NATO, a w zamian uzyskać pomoc wojskową i ekonomiczną ze strony państw Zachodu. Doradcy Trumpa mieli też powiedzieć dziennikarzom, że nie zamierza on wysłać „amerykańskich synów i córek” na Ukrainę, bo to winien być obowiązek europejskich sojuszników. Nie planuje też wyłożenia znaczących środków niezbędnych, aby odbudować kraj z wojennych zniszczeń. W świetle amerykańskich priorytetów to też winno się stać zadaniem Europejczyków.

CZY JASTRZĘBIE ŁAGODNIEJĄ?

Trudno jednak mówić o skonkretyzowanym w szczegółach „planie Trumpa” w kwestii zakończenia wojny. Polityków, którym prezydent elekt proponował

kluczowe funkcje w swej administracji, trudno określić mianem zwolenników ustępstw. Choć podkreślają oni konieczność koncentracji uwagi Ameryki na Chinach, to nie sygnalizują gotowości akceptacji zwycięstwa Putina. Tym bardziej, jak trzeźwo zauważył Mark Rutte, że Trump z pewnością nie chciałby zaczynać swojej kadencji od forsowania porozumienia pokojowego z Rosją, które świat odebrałby jako porażkę poważniejszą od chaotycznej ewakuacji amerykańskiego wojska z Afganistanu, co zaciążyło na całej kadencji Bidena. W opinii wielu obserwatorów właśnie po to, aby skoncentrować się na rywalizacji z Chinami i realizować politykę „pokoju dzięki sile”, która wyklucza okazywanie słabości, Trump nie może sobie pozwolić na nadmierną ugodowość wobec Putina. Jego decyzje personalne też nie wskazują na to, aby chciał porzucić sojuszników czy realizować politykę izolacjonistyczną, co przez lata zarzucały mu histeryzujące media liberalne.

Marco Rubio, senator z Florydy, któremu Donald Trump zaproponował kierowanie Departamentem Stanu, jest uznawany za jastrzębia w kwestii amerykańskiej polityki zagranicznej. Opowiadał się za twardymi posunięciami zarówno wobec Chin, jak i Rosji, a także optował za dolegliwymi sankcjami dla Iranu czy Wenezueli, argumentując, że polityka ustępstw, zawieszania sankcji i negocjacji, a tak charakteryzował działania administracji Bidena, raczej ośmiela dyktatorów do coraz agresywniejszych posunięć, bo jest odczytywana jako przejaw amerykańskiej słabości i braku zdecydowania. Warto podkreślić także to, że wbrew zarzutom liberalnych mediów, które do znudzenia piszą o niechęci Trumpa do NATO i ryzyku „uśpienia” przez nową administrację Sojuszu Północnoatlantyckiego, Rubio jest zdecydowanym zwolennikiem pogłębiania więzi atlantyckich. W 2023 r. był jednym z inicjatorów i współautorów ustawy, która nakazywała każdemu prezydentowi uzyskanie zgody Senatu na wycofanie się z umów sojuszniczych takich jak traktat waszyngtoński. W kwestii wsparcia Stanów Zjednoczonych dla Ukrainy od początku konfliktu stawiał twardą linię reprezentowaną przez ówczesnego lidera republikanów w Senacie Mitcha McConnella i krytykował administrację Bidena za zbyt dużą ostrożność

i obawy przed eskalacją, co jego zdaniem było w gruncie rzeczy postawą sprzyjającą Rosji. Jednak w ub.r. w obliczu niepowodzenia ukraińskiej ofensywy jego stanowisko uległo korekcie. „Nie jestem po stronie Rosji, ale niestety rzeczywistość jest taka, że wojna na Ukrainie zakończy się wynegocjowanym rozwiązaniem” – powiedział przyszły szef Departamentu Stanu amerykańskiemu nadawcy NBC we wrześniu, przed wyborami prezydenckimi.

O podobnej ewolucji poglądów można mówić w przypadku Mike’a Waltza, kongresmana z Florydy, w przeszłości żołnierza zielonych beretów, któremu Trump zaproponował objęcie funkcji doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego. Ion krytykował administrację Bidena za zbyt dużą ostrożność, argumentując, że wojnę na Ukrainie należało szybko wygrać, pokonując Putina po to, aby skoncentrować się na Chinach. Jednak wraz z upływem czasu i w efekcie popełnionych przez Waszyngton błędów sytuacja strategiczna uległa zmianie. W napisanym wspólnie z Matthew Kroenigiem artykule, który ukazał się na łamach „The Economist”, Waltz wzywał amerykańską administrację do szybkiego zakończenia wojny, której przedłużanie działa na korzyść Chin. Jego zdaniem strategia administracji Bidena nie prowadzi do zwycięstwa i grozi, że Ameryka podobnie jak w przypadku Iraku czy Afganistanu utknie w wojnie na wiele lat, co będzie wyczerpywało jej zasoby. Pisał z przekonaniem, że wojnę na Ukrainie należało zakończyć zwycięsko, a potem przesunąć zainteresowanie Stanów Zjednoczonych w rejon Indo-Pacyfiku. Krytykował Bidena za to, że jego polityka odstraszania okazała się nieskuteczna, co więcej, chaotyczne wycofanie się z Afganistanu mogło wręcz zachęcić Putina do agresji. W opinii przyszłego architekta amerykańskiej polityki bezpieczeństwa kiedy wojna się rozpoczęła, należało przedstawić plan zwycięstwa i w odpowiedni sposób zmobilizować do większego wysiłku sojuszników. Biden i Sullivan, nie mając czytelnej strategii zwycięstwa, nie zrobili tego, zadowalając się powtarzaniem hasła, że pomoc dla Kijowa będzie trwała „tak długo, jak to będzie potrzebne”, co wręcz demobilizowało bogate państwa z Zachodu Europy.

Pete Hegseth, który ma kierować Pentagonem, też nie jest zaliczany do zwolenników ustępstw. Choć uważa się, że ten były

żołnierz, który odszedł z armii w stopniu majora, skoncentruje się przede wszystkim na oczyszczeniu amerykańskich sił zbrojnych ze zwolenników ideologii woke i „tęczowych rozwiązań”, to z jego publicznych wypowiedzi nie można wnosić, aby chciał ustępować pod presją Rosji.

ATUTY ROSJI I UKRAINY

Zakończenie wojny na Ukrainie w sposób niestający w sprzeczności z polityką „pokój dzięki sile”, którą chce, jak się uważa, realizować Trump, nie będzie łatwe. Kreml jest przekonany, że czas pracuje na jego korzyść, władze w Kijowie także postanowiły grać twardo. „Ukraina może w ciągu kilku miesięcy zbudować bombę atomową przypominającą tę, która została zrzucona na Nagasaki” – napisano w raporcie przygotowanym przez jeden z ukraińskich think tanków dla Ministerstwa Obrony, który ujawnił dziennik „The Times”. U uruchomienie programu mogłoby mieć miejsce, kiedy Stany Zjednoczone, wywierając presję na Zelenskiego, aby ten zgodził się na rokowania z Putinem i utratę 20 proc. terytorium, wstrzymałyby pomoc wojskową. Proponowana technologia nie zakłada budowy instalacji wzbogacania plutonu, która jest kosztowna i czasochłonna, a zaleca „pobranie” prętów z materiałem radioaktywnym z ukraińskich elektrowni atomowych i wykorzystanie ich celem konstrukcji ładunku. Ukraina nadal kontroluje dziewięć czynnych elektrowni jądrowych, w których znajduje się, jak oceniają eksperci, nawet 7 t materiału rozszczepialnego, co jest wystarczającą ilością do budowy nawet kilku ładunków o mocy porównywalnej do bomby, która zniszczyła Hiroszimę.

Trump będzie musiał zatem przekonać do rozmów pokojowych zarówno Moskwę, jak i Kijów, a dodatkowo skłonić europejskich sojuszników do większego zaangażowania już po zakończeniu wojny. Con Coughlin, komentator brytyjskiego „The Telegraph” napisał, że „nie jest rzeczą niewyobrażalną, iż już niedługo brytyjski premier Keir Starmer, podobnie jak inni liderzy państw europejskich, usłyszą od amerykańskiego prezydenta wezwania do wysłania wojska na Ukrainę, co może się okazać niezbędne, aby stabilizować

sytuację już po osiągnięciu porozumienia w sprawie zawieszenia broni.

GWARANCJE BEZPIECZEŃSTWA

Nicolas Busse, komentator niemieckiego „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, napisał, że „Trump nie jest wcale tak nieprzewidywalny”, jak do tej pory twierdziła histeryzująca europejska prasa. Niemiecki publicysta zauważył, że jego priorytety są czytelne – chce „trzymać Amerykę z dala od wojen” i oczekuje, że europejscy sojusznicy skokowo zwiększą swój wkład we własne bezpieczeństwo. To zaś oznacza, że Europa ma jedynie dwie drogi, którymi

Trump będzie musiał przekonać do rozmów pokojowych zarówno Moskwę, jak i Kijów, a dodatkowo skłonić europejskich sojuszników do większego zaangażowania w działania na Ukrainie już po zakończeniu wojny

może podążać w przyszłości – pierwszą jest podporządkowanie się Moskwie, a drugą wzięcie spraw we własne ręce i zadbanie o bezpieczeństwo, również na Ukrainie.

Dziennikarze „The Washington Post”, którzy w ostatnich dniach anonimowo rozmawiali z dyplomatami z 10 europejskich państw członków NATO, piszą, że i w stolicach naszego kontynentu rozpoczęły się intensywne dyskusje na temat warunków zakończenia wojny na Ukrainie. Milcząco przyjmuje się, że Kijów nie będzie w stanie odzyskać wszystkich swoich terytoriów, ale nie mówi się o transakcji w stylu „pokój za terytorium”, a raczej akcentuje konieczność zbudowania stabilnych gwarancji bezpieczeństwa. Koncesje terytorialne na rzecz Rosji mogą okazać się konieczne, aby wojnę w ogóle zakończyć, ale tym, co wydaje się obecnie pilniejszą sprawą, jest zbudowanie systemu bezpieczeństwa, który by gwarantował, że wojna

nie powróci za kilka lat. O ile europejscy politycy zgadzają się co do konieczności kontynuowania ekonomicznej pomocy dla Ukrainy „tak długo, jak to będzie konieczne” i zwiększenia własnych nakładów na bezpieczeństwo, o tyle kwestia kształtu powojennego systemu pozostaje nierozstrzygnięta. Berlin jest przeciwnikiem zaproszenia Ukrainy do NATO, ale jego stanowisko może ulec zmianie po tym, jak przedterminowe wybory do Bundestagu wyniosą do władzy Friedricha Merza, który niedawno powiedział mediom, że jest gotów sformułować ultimatum dla Putina – albo siada on do negocjacji pokojowych, albo Niemcy nie tylko dostarczą

Kijowowi swoje taurusy, lecz także pozwolą na ich użycie na terytorium Federacji. Jeden z anonimowych dyplomatów pytany przez dziennikarzy „The Washington Post”, czy dyskutowana jest kwestia wysłania kontyngentu wojskowego na Ukrainę, aby stabilizować sytuację już po zawieszeniu broni, odparł enigmatycznie, że „nie jesteśmy przeciwni negocjacjom”, ale liczy się moment ich rozpoczęcia.

NATO NA UKRAINIE

Plan Trumpa na zakończenie wojny na Ukrainie może się powieść, o ile sojusznicy zdecydują się na wysłanie swych sił, aby po zawieszeniu broni

gwarantować, że Kijów pozostanie w orbicie wpływów Zachodu, a nie zostanie z czasem oddany Putinowi. Europejczycy będą też zmuszeni do wysiłku finansowego na rzecz odbudowy i ustabilizowania sytuacji w zniszczonym państwie, a ukraińska elita może się zgodzić na takie warunki nawet za cenę utraty części terytorium, bo tylko wówczas będzie miała gwarancję, że „scenariusz koreański” stanie się rozwiązaniem realnym, a nie papierowym. Bez wysłania przez państwa NATO swych sił na Ukrainę może się też urzeczywistnić „scenariusz gruziński”, czyli powolnego dryfu skorumpowanej elity w stronę Moskwy.

Rynki odebrały perspektywę zakończenia wojny z optymizmem, o czym świadczy fakt, że notowania ukraińskich obligacji skoczyły o 12 proc. Jesteśmy jednak dopiero na początku procesu negocjacyjnego i czeka nas zapewne jeszcze wiele niespodzianek.

A close-up portrait of Donald Trump, looking slightly upwards and to the right. He is wearing a dark blue suit, a white shirt, and a red tie. The background is blurred, showing red and white stripes, likely from the American flag.

Jakiej Ameryki chce Trump?

Ci sami analitycy, którzy twierdzili, że ponowne wejście Donalda Trumpa do Białego Domu jest prawie niemożliwe, dziś szczegółowo badają jego program polityczny, szukając odpowiedzi na pytanie, jaką kontrrewolucję szykuje Ameryce 47. prezydent



GORAN ANDRIJANIĆ

Do zapomnianych mężczyzn i kobiet Ameryki” – takim nagłówkiem zaczyna się tekst oficjalnego programu politycznego następnej kadencji Donalda Trumpa w Białym Domu. Jest on także programem Partii Republikańskiej.

Nagłówek ma podkreślić główny deklarowany cel prezydentury, którym jest przywrócenie dobrego życia i godności tej części społeczeństwa, która w ostatnich latach nie ze swojej winy została pozbawiona amerykańskiego snu.

Mówimy przede wszystkim o rodzinach z niższymi i średnimi dochodami – to im jest poświęcona znacząca część programu. W swoim wstępie przedstawia on bardzo surową ocenę kondycji, w jakiej znajdują się dziś Stany Zjednoczone.

AGENDA 47

„Jesteśmy narodem w poważnym kryzysie. Nasza przyszłość, nasza tożsamość i nasz styl życia są zagrożone jak nigdy dotąd. Przez dziesięciolecia nasi politycy sprzedawali nasze miejsca pracy i środki do życia zagranicznym oferentom za pomocą nieuczciwych umów handlowych i ślepej wiary w syreni śpiew globalizmu. Pozwolili na niszczenie naszych granic, panowanie przestępczości w naszych miastach, instrumentalizację naszego systemu sprawiedliwości i rozwinięcie w naszych młodych ludziach poczucia beznadziei i rozpacz” – czytamy w tekście zatytułowanym „2024 GOP Platform. Make America Great Again”.

Ci sami analitycy, którzy twierdzili, że ponowne wejście Trumpa do Białego Domu jest prawie niemożliwe, dziś szczegółowo badają jego program. Co właściwie zawiera? Jakie są jego główne punkty? Jaką Amerykę Trump chce znów uczynić wielką, jaka jest jego wizja?

„Agenda 47” to nazwa programu, którego szczegóły upubliczniła kampania Trumpa podczas prawyborów Partii Republikańskiej.

Liczba w nazwie wskazuje, że jest to program 47. prezydenta Stanów Zjednoczonych, a jego główne cele zostały przedstawione w trakcie kampanii w 20 punktach. Jednak niedawno na oficjalnej stronie Donalda Trumpa ukazał się program, który wydaje się bardziej skoordynowany z Partią Republikańską. Swoje główne cele zawarł w 10 punktach, a są to: walka z inflacją, blokowanie nielegalnej imigracji i wzmocnienie granic, odbudowa gospodarki, obniżenie kosztów życia (nieruchomości, zdrowia i edukacji), ochrona interesów amerykańskich pracowników i rolników, pomoc osobom starszym, reforma edukacji publicznej, powrót do polityki i kultury zdrowego rozsądku, walka z kulturą woke i zagrożaniem wolności słowa oraz polityka zagraniczna oparta na zasadzie „pokój poprzez siłę”.

Jednocześnie na oficjalnej stronie kampanii wyborczej Trumpa nadal można znaleźć nagrania zamieszczone tam w okresie od końca 2022 r. do grudnia 2023 r., w których opowiada on o tym, z jakimi problemami zamierza się skonfrontować i jak je rozwiąże po wygranych wyborach. Proponuje przy tym bardzo ciekawe pomysły, o których podczas kampanii nie mówiono tak wiele jak o walce z kryzysem migracyjnym i inflacją czy rozwiązaniu konfliktu wojennego na Ukrainę.

Zacznijmy tę krótką analizę programu Trumpa od jego propozycji rozwiązania problemów, które sprawiły, że tak przekonująco wygrał wybory prezydenckie.

MIGRACJA

Jeśli chodzi o kryzys migracyjny, Trump jest zdecydowany. Przez całą kampanię mówił o „największej w historii Ameryki deportacji nielegalnych imigrantów” (niektórzy mówią o kilku milionach ludzi). Zapowiada jednocześnie wiele działań, które całkowicie zniosą dotychczasową politykę otwartych granic.

Administracja Trumpa planuje dokończenie budowy muru na granicy amerykańsko-meksykańskiej oraz wzmocnie-

nie na nim kontroli poprzez przeniesienie większej liczby sił federalnych do pomocy służbom granicznym. Planuje także powrót wielu procedur przeciwko nielegalnej imigracji wprowadzonych podczas pierwszej kadencji Trumpa, a następnie uchylonych za rządów Joe Bidena. Wśród nich znajduje się m.in. polityka „Remain in Mexico”, według której nawet osoby, które złożyły wniosek o azyl, będą musiały pozostać w Meksyku w oczekiwaniu na decyzję w sprawie ich wniosku. Zapowiedziano także zaostrzenie kar za nielegalne przekroczenie granicy i pobyt w USA po wygaśnięciu wiza, a także dodatkowe wzmocnienie uprawnień oraz władz Urzędu Imigracyjnego i Celno Stanów Zjednoczonych (ICE). Tom Homan, były policjant, który w czasach poprzedniej kadencji Trumpa był szefem ICE, w nowej administracji będzie głównym doradcą prezydenta w sprawach ochrony granic. Homan jest znany ze swojej polityki „zero tolerance” wobec nielegalnej imigracji.

GOSPODARKA

Jeśli chodzi o gospodarkę, administracja Trumpa także przygotowuje prawdziwą (kontr)rewolucję. Agenda przewiduje walkę z inflacją, jedną z najwyższych w historii USA, przez powrót do wykorzystania paliw kopalnych i zniesienie ograniczeń nałożonych przez politykę Zielonego Ładu oraz geopolitycznej stabilizacji. W planie jest zmniejszenie kosztów administracji federalnej, a to zadanie Trump powierzył biznesmenom Elonowi Muskowi i Vivekowi Ramaswamy’emu, którzy będą przewodniczyć nowemu departamentowi ds. wydajności państwa (DOGE).

„Zrobimy ranking najbardziej głupich wydatków z waszych podatków. Będzie to zarówno tragiczne, jak i zabawne” – poinformował Musk.

Trump zapowiada obniżki, a także zniesienie podatków od wynagrodzenia za nadgodziny, napiwki i dochody z ubezpieczeń społecznych.

Zasada „America first”, która promuje patriotyzm gospodarczy, będzie fundamentem jego polityki. Mit o „kapitale, który nie ma narodowości” od dawna jest martwy, co pokaże także zachowanie największego mocarstwa świata w kolejnych latach. „Chronić naszych robotników

przed nieuczciwą zagraniczną konkurencją i uwalniając naszą energię, republikańskie odnowią amerykańską produkcję, tworząc miejsca pracy, bogactwo i inwestycje” – czytamy w programie.

Administracja nowego prezydenta zamierza ograniczyć outsourcing i zwiększyć konkurencyjność amerykańskich produktów poprzez wprowadzenie wyższych cel na import zagraniczny, zwłaszcza na produkty chińskie.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Kolejnym znanym nazwiskiem w nowym rządzie USA jest senator Marc Rubio, który zostanie nowym sekretarzem stanu. Ta nominacja nieco uspokoiła tych, którzy bali się, że polityka Trumpa pogrąży się w całkowitym izolacjonizmie, pozostawiając Europę samą w walce z rosyjskim imperializmem. W tej chwili nie jest jeszcze jasne, jakie będą główne kierunki amerykańskiej polityki zagranicznej, wiemy jednak, że po długim czasie Biały Dom będzie forsował podejście „pokoju poprzez siłę”. Zapowiedziano duże inwestycje w amerykańską armię i systemy bezpieczeństwa, a także kontynuację walki z terroryzmem i przeciwdziałanie wzmocnieniu wpływu Chin.

EDUKACJA

Jednocześnie jednym z ważnych celów nowej administracji, o którym zbyt wiele się nie pisze, jest reforma szkół i szkolnictwa wyższego w USA i jego decentralizacja. Planowane są duże inwestycje mające na celu poprawę warunków w szkołach podstawowych i średnich, które mają się stać miejscami wolnymi od przemocy, ideologii oraz opartymi przede wszystkim na prawie rodziców do decydowania o swoich dzieciach. Nowy rząd zapowiada odmowę funduszy federalnych szkołom, które starają się indoktrynować dzieci ideologią gender, jednocześnie wprowadzając rozwiązania ułatwiające zwalnianie nauczycieli, którzy okazały się niekompetentni. Będzie się także podkreślać, że szkoły muszą promować patriotyzm i wierność zasadom

zachodniej cywilizacji oraz amerykańskiej państwowości. Promowane będzie wynikające z pierwszej poprawki do konstytucji prawo do modlitwy, w tym czytanie Biblii w szkołach publicznych.

W jednym ze swoich przedwyborczych nagrań Trump zapowiedział także „pojedynek” z amerykańskimi uniwersytetami, które w swoich programach promują ideologię marksistowską i zagrażają wolności słowa. „Wydajemy na szkolnictwo wyższe więcej pieniędzy niż jakikolwiek inny kraj, a mimo to nasi studenci stają się komunistami i terrorystami. Nie możemy na to pozwolić” – oświadczył.

Nowy rząd zapowiada odmowę funduszy federalnych szkołom, które starają się indoktrynować dzieci ideologią gender, jednocześnie wprowadzając rozwiązania ułatwiające zwalnianie nauczycieli, którzy okazały się niekompetentni

Polityk ogłosił utworzenie nowej instytucji edukacyjnej o nazwie Akademia Amerykańska. Chodzi o edukację online, która będzie całkowicie darmowa, wolna od „komunizmu i dziha-dyzmu”, jak to określił, a zdobyte w ten sposób kwalifikacje będą uznawane przez rząd USA i współpracujące z nim firmy. Donald Trump twierdzi, że nowa uczelnia będzie konkurować z obecnym systemem szkolnictwa wyższego, który jest ideologiczny i kosztowny.

ZDROWIE

W kolejnym filmie zamieszczonym na kampanijnym portalu, który można zrozumieć jako zapowiedź jego działania w Białym Domu, Trump wyraził zaniepokojenie wzrostem chorób przewlekłych wśród Amerykanów, zwłaszcza

cza wśród dzieci. Chodzi o drastyczny wzrost zachorowań na autyzm, choroby autoimmunologiczne, otyłość, niepłodność, poważne alergie i problemy z oddychaniem. Według Trumpa rząd wydaje miliardy dolarów na leczenie tych chronicznych problemów, zamiast próbować zrozumieć pierwotną przyczynę ich wzrostu. Zapowiedział powołanie specjalnej komisji, która zbada ten problem i będzie się składała z członków niezależnych od wielkich koncernów farmaceutycznych mających za długi wpływ na sektor zdrowia publicznego.

Jednocześnie Trump zobowiązał się wzmocnić system ubezpieczeń zdrowotnych (Medicare) i Social Security, tzw. zasiłki dla emerytów, renty rodzinne oraz ubezpieczenia osób niepełnosprawnych.

MIASTA WOLNOŚCI

Następna ciekawa propozycja byłego i nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych jest związana z amerykańskim standardem życia. Trump proponuje „skok kwantowy” w ich polepszeniu.

Jednym z pomysłów jest wybudowanie dziesięciu „miast wolności” na państwowych gruntach. Rząd ogłosi przetarg na najlepsze projekty budowlane, które mogłyby być szansą na realizację amerykańskiego snu dla setek tysięcy rodzin. Trump zapowiada, że transport publiczny powinien tam działać w oparciu o technologię eVTOL (statki powietrzne ze zdolnością pionowego startu i lądowania). W tym momencie najszybciej rozwijają ją Chiny, ale prezydent uważa, że Stany Zjednoczone mają szansę przejąć ten prymat dzięki rewolucji przemysłowej.

Krytycy Donalda Trumpa twierdzą, że większość jego propozycji i obietnic jest nierealistyczna i niepoważna. Takie argumenty mogliśmy usłyszeć, gdy biznesmen zaczął się angażować w politykę i został wyśmiany. Teraz jednak Amerykę czeka jego druga kadencja w Białym Domu. I to w sytuacji, w której republikańskie będą mieli pełną kontrolę nad obiema izbami Kongresu, co dodatkowo ułatwi Trumpowi pracę i realizację planów.

W dzień i noc wyborczą było tak, jakby ktoś zsynchronizował ze sobą dwa liczniki. Jeden pokazywał, jak Donald Trump wygrywa w poszczególnych stanach. A drugi jak wraz z kolejnymi zdobytymi głosami elektorów o miliony, miliardy dolarów rośnie wartość majątku Elona Muska. Giełdowa wycena jego spółek szła w górę, a kurs koczowniczej z nim kryptowaluty dogecoin wystrzelił jak rakieta i w pewnym momencie notował nawet ponad 30 proc. wzrostu. Donald Trump kładł się spać z ponad 290 głosami elektorów (w kolejne dni przybywało następnych), a Elon Musk bogatszy o ok. 20 mld dol., mniej więcej o połowę tego, co wydał na Twittera – teraz platforma X. I w kolejne dni tak jak Trumpowi zaliczano kolejne stany, on pęczył o następne bajorńskie sumy do 320 mld dol., a może nawet do 400 mld dol. w momencie, gdy czytają państwo ten tekst.

KAMPANIA O ŻYCIE

Afroamerykanin Elon Musk – zgodnie z politpoprawną nowomową chyba tak należałoby określać pochodzącego z Republiki Południowej Afryki przedsiębiorcę – tak jak prezydent elekt walczył nie tylko o wygraną, lecz także o przetrwanie. Demokraci i waszyngtońskie bagno, jak Trump nazywa tzw. deep state, dokończyliby bowiem operację zniszczenia go procesami i pewnie posadziliby na resztę życia do więzienia, by już nikt nie odważył się podnieść ręki na system. Muska zażędzaliby procesami o sianie nienawiści i bez wątpienia zniszczyli jego firmy. Politycy i dziennikarze nawoływali do zerwania wszelkich kontraktów, które podpisały z nim instytucje publiczne. A tych jest bezliku. Jego SpaceX śle w niebo rakiety, współpracując z Naro-

dową Agencją Kosmiczną NASA, Pentagonem, agencjami wywiadowczymi itp. Od 2008 r. ma stałą umowę na dostarczanie ładunków do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Sieć satelitarna Starlink zapewnia łączność w odludnym interiorze Stanów Zjednoczonych.

z gwarantującą całkowitą wolność słowa pierwszą poprawką do konstytucji Stanów Zjednoczonych, ale już teraz niezliczone instytucje federalne, stanowe, firmy i media otwarcie ją łamią pod pozorem walki z nieprawdziwymi informacjami czy jakąś tam mową nienawiści. W cenzurze zawsze chodzi o kontrolę stanu świadomości poddanych, a więc kłamać mogą tylko wybrane partie i media, a nie byle obywatele.

Elon Musk: najbogatszy polityk świata

Nie ma wątpliwości, że oprócz Donalda Trumpa największym zwycięzcą amerykańskich wyborów nie jest nawet Partia Republikańska, która zdobyła większość w Senacie i utrzymała ją w Izbie Reprezentantów, ale miliarder Elon Musk



DARIUSZ MATUSZAK

Jego The Boring Company drąży tunele pod Las Vegas i Los Angeles.

Ale tak naprawdę na celowniku jest platforma społecznościowa X, bo Musk nie zgodził się na zaprowadzenie na niej cenzury. O przejęciu kontroli nad nią otwarcie mówiła kandydatka demokratów z 2016 r. Hillary Clinton, a Kamala Harris zapowiadała zaprowadzenie cenzury. Byłoby to całkowicie sprzeczne

WŁADCY LUDZKIEJ ŚWIADOMOŚCI

Wszystko to temat na oddzielną opowieść, ale poruszamy ten wątek, bo walka o wolność słowa była jedną z najpoważniejszych motywacji do podjęcia przez Elona Muska decyzji o byciu nie tylko największym przedsiębiorcą świata, lecz także *de facto* politykiem.

6 listopada 2020 r., trzy dni po zwycięskich dla Joe Bidena wyborach w USA, znany z niechęci do Donalda Trumpa dziennikarz CNBC Shepard Smith jak cenzor przerwał transmisję z wystąpienia urzędującego jeszcze prezydenta, a u nas redaktor

naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk zapiał z zachwytem, pisząc na Twitterze: „Wielka chwila dziennikarstwa”. Tak, chwila zaiste była wielka – cenzura, walka z wolnością słowa wchodziły na kolejny, wyższy poziom, bo wkrótce konta prezydenta zostały całkowicie zablokowane przez Facebook i Twittera, więc Donald Trump nie mógł nic publikować w mediach społecznościowych. Mogli za to talibowie, komórki faszystów Antify czy propagandziści kremlowskiego reżimu. Tak zdecydowali władcy zbiorowej świadomości – korporacje mediowe i internetowe.

Dlatego jednak talibowie i rosyjscy kłamcy mogli, a Donald Trump nie? Odpowiedź jest prosta. Mniej zagrażają oni owym liberalnym porządkom niż

ktoś taki jak Trump. Amerykanie nie będą zwolennikami talibów, nie poprą ruskich zbrodni na Ukrainie, ale mogą się stać trumpistami, a do tego nie wolno dopuścić. I tego strzegą CNN, CNBC, Axel Springer i wszyscy ci, którzy uważają, że mają monopol na prawdę i kłamstwo.

Kiedy prezydenta Stanów Zjednoczonych wymazywano z internetowego świata, w sieci już od trzech lat krążyło najsłynniejsze dziś pytanie w historii mediów społecznościowych: „Ile to kosztuje?”. Zadał je żartem na Twitterze Elon Musk, pytając o cenę tego medium. Żarcik zmaterializował się pomiędzy kwietniem a październikiem 2022 r., kiedy po bataliach prawnych Musk ostatecznie kupił platformę za 44 mld dol. Kiedy przejął nad nią kontrolę, wkroczył do jej siedziby w San Francisco, niosąc zlew, co oznaczało porządki, a także topienie. Gdyby przełożyć odpowiednie idiomy na nasze, to Musk wchodziłby do Twittera z sedesem. Tego samego dnia zostali odwołani dyrektor generalny i szef od finansów, a w kolejnych tygodniach 70 proc. pracowników, głównie tzw. moderatorów, którzy zajmowali się kontrolowaniem przepływu treści. To byli zwykli cenzorzy.

Już wtedy demokraci i ich media działali w panice. Po pierwszych umowach dotyczących przejęcia platformy administracja Bidena utworzyła w strukturach Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego „ministerstwo prawdy” – Radę Kontrolowania Dezinformacji (Disinformation Governance Board). Komisja Europejska wszczęła śledztwa o sianie nienawiści i zagroziła karami. Na ratunek ruszyły tradycyjne media, wielkie agencje reklamowe i domy mediowe, które z dnia na dzień zawieszały współpracę, zrywały umowy.

Dlaczego takie reakcje? Bo Elon Musk zrobił dokładnie to, co wcześniej zapowiedział. Przywrócił na Twitterze, teraz już na platformie X, wolność słowa. Tymczasem postępowo i uśmiechnięta Ameryka chce takich mediów społecznościowych, jak w czasach, kiedy Twitter czy Facebook zawieszały konta istniejącej ponad 220 lat

najstarszej amerykańskiej gazecie „New York Post” za to, że przed wyborami 2020 r. opublikowała historię laptopa Huntera Bidena, syna ówczesnego kandydata, a dziś prezydenta Joe Bidena. Były w nim zapisy uciech z rosyjskimi prostytutkami, narkotykowych ekscesów Bidena juniora, eskapad po domach publicznych, interesów m.in. z Chińczykami i Rosjanami, o których wiedział jego ojciec. Ale przecież dobrem wyższego rzędu niż prawda było to, by Joe Biden został prezydentem, więc wielkie korporacje zrobiły, co mogły, by historia narkomana, syna wielokrot-

Musk tak jak prezydent elekt walczył nie tylko o wygraną, lecz także o przetrwanie. Demokraci i waszyngtońskie bagno, jak Trump nazywa tzw. deep state, dokończyliby bowiem operację zniszczenia go procesami i pewnie posadziliby na resztę życia do więzienia, by już nikt nie odważył się podnieść ręki na system

nie marnotrawnego, nie przebiła się do wyborców. Za blokady informacyjne na Facebooku bezpośrednio odpowiadała pracownica Bidena Anna Makanju.

To tylko jeden z tysięcy „incydentów”, przykładów na to, jak establishment wpływał na zbiorową świadomość, procesy polityczne, społeczne i w końcu bezpośrednio na wybory. Można postawić tezę, że platforma X po raz drugi pozwoliła Ameryce wybrać prezydenta. Pierwszy raz w 2008 r., kiedy jako wciąż nowe medium zmobilizowała i skrzyknęła zwolenników Baracka Obamy, i teraz, po 16 latach, gdy otworzyła cyfrowe uniwersum dla Trumpa.

ZABIĆ TEGO WIRUSA

Elon Musk od 2002 r., kiedy otrzymał amerykańskie obywatelstwo, głosił na demokratów, w tym na Baracka Obamę i Billa Clintona, a w 2020 r. na niezależnego kandydata Andrew Yanga. Co się więc stało, że wsparł teraz Donalda Trumpa? Otworzyły mu się oczy, ale najpierw musiał przeżyć tragedię osobistą, o czym opowiedział w wywiadzie ze słynnym kanadyjskim publicystą i psychiatrą Jordanem Petersonem. Musk stwierdził, że wirus ideologicznego pobudzenia (woke) zabił mu syna. Że szaleńcze teorie o afirmacji i identyfikacji genderowej sprawiły, że jego syn postanowił zostać dziewczyną, a on, oszukany, szantażowany emocjonalnie, zgodził się na to, by ten w wieku 16 lat dał się okaleczyć i przechodził procedury zmiany płci. „Poprzysięgłem sobie, że zniszczę wirusa woke i odnosimy w tym sukces” – mówił Jordanowi.

Na czym ten sukces polega, przekonuje się właśnie Kalifornia. „To ostatnia kropla. Z powodu tego prawa i wielu innych, które je poprzedzały, atakującego zarówno rodziny, jak i firmy, SpaceX przeniesie teraz swoją siedzibę z Hawthorne w Kalifornii do Starbase w Teksasie” – napisał na platformie X. Zaś samą siedzibę X do Austin. O jakie prawa chodzi? O szaleńcze regulacje dotyczące transseksualizmu. Takie, które pozbawiają rodziców prawa nie tylko do decydowania o procedurach, jakim poddawane są ich dzieci, lecz także wiedzy o nich. Donald

Trump mówił o tym, że strach posłać syna do publicznej szkoły, bo pobudzone aktywistki nauczycielki wmówią chłopakowi, że jest dziewczynką. „Rok temu jasno powiedziałem gubernatorowi Newsomowi, że tego typu prawa zmuszą rodziny i firmy do opuszczenia Kalifornii, aby chronić swoje dzieci” – pisał Elon Musk na X. Sam już wcześniej się z niej wyprowadził i zamieszkał w teksańskim Austin.

JAK ZAROBIĆ 300 MLD DOL.?

Platforma X stała się narzędziem wielkich politycznych wpływów, a może

nawet zemsty na systemie, oszalałych i zadowolonych z siebie elitach. Ale jak w ogóle doszło do tego, że Musk miał te 44 mld dol., by móc ją kupić? To proste. Jako 12-latek sprzedał za 500 dol. swą pierwszą grę, a potem jako młodziwiec studiujący w Kanadzie i USA uczył się i pracował tak dużo, że spał pod biurkiem. W 1995 r., gdy miał 24 lata, założył z bratem Kimbalem Zip2 Corporation, stworzył internetowy przewodnik miejski i dostarczał użytkownikom zamieszczane w sieci treści z „The New York Timesa” i „Chicago Tribune”. Po czterech latach sprzedał interes i wszystko poszło już z górki, bo za miliony, które dostał, zbudował PayPal świadczący płatności i usługi finansowe w sieci. Ten interes też szybko sprzedał, a za otrzymane miliardy zbudował firmę od rakiet – SpaceX i Teslę Motors, która w 2008 r. jako pierwsza firma na świecie zaczęła produkować samochody elektryczne na masową skalę. Gdy rok później stanęła na skraju bankructwa, Musk zwolnił jej szefa i zaczął sam wszystkiego doglądać. Wrócił do swego obyczaju, by pracować 20 godzin na dobę i spać w fabryce. Wtedy udało mu się pozyskać niemieckiego inwestora – Daimler Benz. Producent mercedesów kupił za 50 mln dol. 9 proc. akcji Tesli. Cztery lata później w kwatery głównej Mercedesa w Stuttgarcie strzelały szampany, bo Niemcy sprzedali swe udziały w Tesli za 780 mln dol. Niemiec jednak płacze, że sprzedawał, bo owe 9 proc. Tesli dziś są warte więcej niż cały koncern Mercedesa. Teraz już państwo wiedzą, jak się zarabia 300 mld dol., czy ile tam. Aha, trzeba jeszcze tylko wystrzeliwać rakiety w kosmos i jak żadna firma czy żadne państwo na świecie potrafić je elegancko sprowadzić do ziemskiego garażu.

JAK SIĘ ROBI RZĄD?

Teraz świat dowie się nie tylko, jak się zarabia 300 mld, lecz także jak się robi rząd. Ekscentryk i wizjoner Elon Musk został właśnie powołany przez Donalda Trumpa na szefa Department of Government Efficiency (DOGE) – Ministerstwa Efektywności Rządowej. Wbrew nazwie póki co to tylko komisja doradcza, bez kompetencji władzy wykonawczej. To się jednak może zmienić. Zadaniem Muska jest likwidacja barier biurokratycznych i wielka deregulacja w gospodarce. Nikt tak dobrze nie nadaje się do tej roboty jak człowiek, który by wystrzelić raketę w kosmos, musiał przedstawiać badania naukowe, że nie zaszkodzi to jakimś tam rekinom. Po internecie krąży właśnie zdjęcie mem, jak Musk wchodził do Twittera ze zlewem, a teraz wnosi go do Białego Domu i zapowiada plan redukcji agencji rządowych i urzędników o 75 proc. Już wiadomo, że pierwszy do zlewu spłynie Departament Edukacji.

Pomyślmy, ilu Trump z Muskiem narobili już sobie śmiertelnych wrogów, choć jeszcze nie zaczęli pracy. Wśród nich są m.in. władcy Unii Europejskiej, którzy grozili Muskowi miliardowymi karami i zamknięciem w Europie platformy X za to, że nie dość gorliwie stosował się do unijnej dyrektywy Digital Services Act zaprowadzającej cenzurę. Póki co pozostaną im już tylko łzawe zakłęcia, jak te powtarzane przez ministra spraw zagranicznych Francji Jeana-Noëla Barrota, który w wywiadzie dla „Le Parisien” mówił, że ma nadzieję, że „Musk nie zniszczy demokracji, tak jak zniszczył Twittera (X)”. 



Scholz, czyli kulawa kaczka

To już koniec rządu w Niemczech i samozwańczej „postępowej koalicji”. Dotychczasowi sojusznicy zaczęli się obrzucać politycznym błotem, bo przyspieszone wybory tuż za rogiem, a kampania już ruszyła. Socjaldemokraci nie muszą się jednak martwić o przyszłość. Bo rysuje się przed nimi już wielka koalicja z ich udziałem pod wodzą CDU



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Gdy Olaf Scholz wygłaszał swoją (prawdopodobnie) ostatnią deklarację rządową w Bundestagu, momentami towarzyszył mu gromki śmiech. Choćby wtedy, gdy stwierdził, że „dobrze, iż Niemcy potrafią gospodarować pieniędzmi”. Lub gdy się chwalił „dobrymi relacjami” z prezydentem elektem USA Donaldem Trumpem. To m.in. z powodu pieniędzy, czyli wydatków budżetowych, rozpadła się koalicja SPD, Zielonych i FDP. A raczej została rozwiązana przez samego kanclerza.

Wybory odbędą się 23 lutego 2025 r. Do tego czasu trwa kampania, a w sondażach prowadzi chadecja z 32–34 proc. poparcia. Friedrich Merz, lider CDU/CSU, drwił w swojej odpowiedzi z Scholza, odmawiając mu przywódczych kompetencji. „Donald Trump zna cię

tylko ze szczytu G-20 w Hamburgu, który tak wspaniale zorganizowałeś. Jesteś dla niego kulawą kaczką (lame duck)” – mówił. W lipcu 2017 r. na owym szczycie doszło do poważnych zamieszek m.in. z udziałem Antify. Szef liberalów i były minister finansów Christian Lindner nazwał swoje wymuszone wyjście z koalicji „wyzwoleniem”. „Nie mówiliśmy już nawet o tym samym kraju” – zaznaczył. Bezpośrednim powodem dymisji Lindnera były żądania liberalów dotyczące radykalnej zmiany kursu rządu m.in. w polityce klimatycznej. Tego Scholz, a szczególnie Zieloni, nie chcieli mu dać. Kryzys w koalicji trwał jednak już od wielu miesięcy. Liberalowie coraz bardziej dołowali w sondażach, oscylując na granicy 5-proc. progu wyborczego. Wyjście z rządu miało im dać szansę na odbicie się i ponowne wejście do Bundestagu po przyspieszonych wyborach.

GODZINA DUCHÓW

Za tym „zadufanym w sobie, próżnym moralnie i dysfunkcyjnym” rządem, jak nazwał go dziennik „Die Welt”, Niemcy raczej nie będą płakać. Ani za kanclerzem Scholzem z jego, jak

twierdzi gazeta, do bólu „nudnym populizmem społecznym”. Polityk SPD, nazywany we własnej partii „Scholzomatem” z powodu sztywnego urzędniczego stylu, trzy lata temu stał się kanclerzem, bo Niemcy mieli dość Angeli Merkel, a kandydat chadecji Armin Laschet raz za razem kompromitował się w czasie kampanii. Złośliwcy twierdzą, że gdyby SPD wówczas wiedziała, że ma szansę wygrać wybory, nie postawiłaby na Scholza.

Koalicja z Zielonymi i FDP powstała w bólach, ale miała dalekosiężne plany wyłożone w liczącej aż 140 stron umowie koalicyjnej. Niewiele z tego pozostało. We wrześniu jeszcze 3 proc. obywateli pozytywnie oceniało jej pracę, na tle recesji i pogarszających się danych gospodarczych. Pod koniec złe wiadomości wręcz się piętrzyły. Zamknięcie fabryk Volkswagena, ucieczka koncernów chemicznych do Chin, spadek produkcji przemysłowej o ponad 8 proc. od 2021 r. Do tego masowy napływ nielegalnych imigrantów i rosnące bezrobocie przy jednoczesnym braku fachowców. Nie udało się nadrobić zapóźnienia w cyfryzacji, a ustawa o energetyce budynków ministra gospodarki Roberta Habecka wywołała niemal panikę wśród

właścicieli domów. Wrażenia niemocy i chaosu nie dało się już zatrzeć.

W wystąpieniu Scholza w Bundestagu zabrakło jednak samokrytyki. Kanclerz sam się chwalił za pomoc militarną i finansową dla Ukrainy i zapewniał, że jego rząd, mimo iż mniejszościowy, jest „wciąż zdolny do działania”. Merz nazwał to „godziną duchów”. „To, co tu pan przedstawił, panie kanclerzu, jest nie z tego świata” – zaznaczył.

STARA, NOWA KOALICJA

Ale kampania już ruszyła i Scholz ma nadzieję, że do lutego wraz z partią odbije się od dna. Wprawdzie część SPD wolałaby, by koniem pociągowym kampanii był ktoś inny niż on, choćby popularny minister obrony Boris Pistorius lub współprzewodniczący SPD Lars Klingbeil, ale kierownictwo partii lojalnie stoi za kanclerzem. Nawet jeśli SPD osiągnie słaby wynik, a wszystko na to wskazuje, pewnie i tak znajdzie się w rządzie, tylko jako mniejszy partner chadeków.

Gotowość do udziału w przyszłej koalicji zasygnalizowali także Zieloni, liberalowie oraz Sojusz Sahry Wagenknecht (BSW).

Scholz i Merz porozumieli się już zresztą co do dwóch kwestii: podtrzymania zapory ogniowej wobec Alternatywy dla Niemiec i zabezpieczenia Trybunału Konstytucyjnego przed „skrajną prawicą”, powołując się na przykład Polski. Ustawa w tej sprawie ma zostać przepchnięta przez parlament jeszcze przed wyborami. Co ciekawe, szef Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV) Thomas Haldenwang, pomysłodawca objęcia obserwacją kontrwywiadowczą AfD, 13 listopada zrezygnował z urzędu i będzie kandydował z ramienia CDU do Bundestagu. Według liderki AfD Alice Weidel pokazuje to, że po wyborach Niemcy dostaną to samo, co przed wyborami. Zmieni się tylko nazwisko kanclerza. W Bundestagu ostro zaatakowała Merza. „Chodzi panu tylko o władzę, o taktikę partyjną, a przede wszystkim o własną próżność. Z panem jako „ersatzem Scholza” Niemcy nie osiągną żadnego postępu” – grzmiała. Jej zdaniem Haldenwang, urzędnik zobowiązany do neutralności, okazał się zwykłym działaczem partyjnym. To zresztą grupa

posłów chadecji wystąpiła z propozycją delegalizacji AfD. Bundestag ma się nią zająć jeszcze przed wyborami. Do 15 listopada podpisało się pod nim 113 posłów. Tyle że teraz napędziłoby to głosów Alternatywie dla Niemiec, więc zapewne prace nad nim zostaną przesunięte na wiosnę. Po wyborach. Zdaniem CDU to „ratowanie demokracji”. Zdaniem AfD beczelna próba pozbycia się siły politycznej, konkurencyjnej wobec chadecji.

POWRÓT DO KORZENI?

Wszystko wskazuje na to, że po dojściu do władzy chadecji zmiany nie staną się bynajmniej radykalne. CDU będzie albo rządziło wspólnie z SPD w wielkiej koalicji, podobnej do tych, które przez 16 lat fundowała Niemcom Merkel, albo będzie zmuszona dobrać sobie kolejnych koalicjantów. Tu najbardziej prawdopodobnym wyborem wydają się Zieloni. A na drugim miejscu FDP, jeśli przekroczy próg.

A czego można się spodziewać po chadecji? W maju partia przyjęła nowy program pod tytułem „Życie w wolności. Bezpiecznie prowadzić Niemcy w przyszłość”. Ma on sygnalizować powrót partii do korzeni konserwatywnych. Jest w nim mowa o „kulturze przewodniej” (Leitkultur), likwidacji świadczenia obywatelskiego (Bürgergeld), zmniejszenia migracji oraz konieczność integracji nowo przybyłych osób, odwołując się do niemieckiej kultury, języka oraz tradycji. W skrócie: chadecy chcą promować „otwarty na świat patriotyzm” oparty na ustawie zasadniczej. Ideologiczna koncepcja płci ma zostać odrzucona przy jednoczesnym „poszanowaniu dla różnorodności orientacji seksualnych i tożsamości płciowych”. Bundeswehra ma zostać wzmocniona, wydatki na obronność wzrosnąć. CDU chce też walczyć z przestępczością klanową, a jednocześnie z „ekstremizmami”, czyli z AfD. Niektórzy eksperci mieli nadzieję, że Merz powróci elektrownie atomowej, ale szef CDU wykluczył taką możliwość. Po pierwsze, w większej części zostały już zdemontowane, po drugie, jak podkreślił Andreas Jung, wiceprzewodniczący partii, stawia ona „na energie odnawialne”. Słońce, wiatr, geotermia,

energia wodna i wodór. A także węgiel i gaz, nawet fuzję jądrową, jeśli okaże się to konieczne i możliwe. W skrócie: będzie korekta, ale ci, którzy liczyli na całkowity zwrot, będą rozczarowani.

WIODĄCE ŚREDNIE MOCARSTWO

Za Odrą wciąż króluje kultura konsensusu. Dla Polski nadejście rządów chadecji pod wodzą Merza także niewiele zmienia. A już na pewno nie na lepsze. Bo będzie to zapewne rząd bardziej sprawczy, o znacznie silniejszej legitymacji. W wywiadzie Merz dał jasno do zrozumienia, że gdyby miał zostać kanclerzem, zabiegałby o większą reprezentację niemieckich interesów w polityce zagranicznej. „Chcę się spotkać na równych prawach z przyszłym prezydentem USA Donaldem Trumpem. Musimy przejść od uśpionego średniego mocarstwa do ponownego stania się wiodącym średnim mocarstwem” – mówił. Jak dodał, jego głównym zadaniem będzie „jak najlepsze pogodzenie interesów Niemiec z interesami USA”, także w dziedzinie obronności. Berlin ma dalej być głównym pośrednikiem Waszyngtonu na Starym Kontynencie.

Jednak w tej kampanii wyborczej nie to będzie oczywiście najważniejsze, tylko gospodarka i migracja. Tu Merz podobnie jak Scholz stawia na kontrole na granicach wewnętrznych, które zamierza podtrzymać mimo sprzeciwu partnerów, choćby Polski. W wywiadach mówił wręcz o „stałych” kontrolach. W jego planach jest także zawieszenie systemu Dublin III, czyli automatyczne zwracanie migrantów na granicy. Wprawdzie chadecy chwaili Donalda Tuska za pomysł „czasowego” zawieszenia prawa do azylu, bo działałoby to na ich korzyść, gdy polski premier poruszył jednak temat kontroli na granicy, nie byli już tacy wyrozumiali.

Niemcy Friedricha Merza, pogrążone w stagnacji, będą więc Niemcami skupionymi na sobie, a co za tym idzie – na swoich interesach. Dalej będą się trzymały Chin, bo tam przeniosły część produkcji, szczególnie samochodów, jednocześnie usiłując utrzymać pozycję głównego partnera USA i starając się przepchnąć korzystne dla siebie regulacje w Brukseli.



JAN ROKITA

Chyba mało kto w Polsce zwrócił wystraszającą uwagę na ujawnione właśnie w Brukseli zręby unijnej polityki klimatycznej, jaką zamierza prowadzić nowa Komisja Europejska. Tymczasem moment jest niesłychanie ważny, gdyż wyłaniająca się właśnie teraz strategia klimatyczna Unii Europejskiej na całe następne pięciolecie z polskiej perspektywy wygląda dość niepokojąco.

Nowa/stara szefowa KE Ursula von der Leyen skończyła niedawno przydzielać tzw. portfolia (czyli zadania i kompetencje) poszczególnym kandydatom na komisarzy, a w ciągu ostatnich dni zaprezentują oni swoje plany w Parlamencie Europejskim. Aby ostatecznie objąć tekę w nowej Komisji, każdy z nich ma zostać w głosowaniu zaakceptowany przez europosłów, po czym cała Komisja Europejska musi jeszcze użyć wotum zaufania europarlamentu.

UNIJNY „CAR” OD KLIMATU

Von der Leyen przydzieliła tekę polityki klimatycznej holenderskiemu chadekowi, 49-letniemu Wopkemu Hoekstrze, który w przeszłości był już ministrem finansów oraz ministrem spraw zagranicznych w Holandii, a przez niedługi czas również przywódcą tamtejszej partii chadeckiej. Hoekstra zasiadał już przez poprzedni rok w składzie Komisji, a posadę tę odziedziczył po sławnym holenderskim socjaliście Fransie Timmermanse, którego doktrynerstwo i niechęć do Zielonego Ładu uważano w Brukseli za jeden z powodów kryzysu, w jaki u końca ub.r. popadł program klimatyczny Komisji znany pod nazwą Fit for 55. Ale ponieważ lewicowego doktrynera miał zastąpić lider chadeków i znany liberal, to w Brukseli trochę się obawiano efektów takiej podmiiany.

Bruksela chce podwyżek cen energii

O „rynkowej” strategii klimatycznej nowej Komisji Europejskiej



Toteż Hoekstrze ograniczono wtedy kompetencje, dzieląc „portfolio” klimatyczne pomiędzy kilku komisarzy.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Hoekstra, choć chadek i liberal, stał się ulubieńcem lewicowych i zielonych europosłów, zyskując także zaufanie samej von der Leyen. I nie tylko ma być głównym komisarzem od Zielonego Ładu, lecz także dostał do swego nowego „portfolio” odpowiedzialność za czysty ekologicznie rozwój gospodarczy (czyli w praktyce zielone fundusze na inwestycje) oraz nowe unijne podatki. W tej ostatniej materii mocno uszczuplił kompetencje odpowiedzialnego za budżet komisarza Piotra Serafina, którego zresztą von der Leyen i tak już niemal ubezwłasnowolniła, tworząc specjalną radę mającą nadzorować jego prace nad budżetem.



Wygląda więc na to, że kolejny po Timmermansie Holender ma właśnie zostać unijnym „carem” od klimatu. A to, co prezentuje ostatnio zarówno w Parlamencie Europejskim, jak i w mediach, jest nową, choć w istocie jeszcze bardziej restrykcyjną linią polityki klimatycznej Brukseli, zapewne ustaloną wspólnie z przewodniczącą Komisji.

OPLATY RAZY DWA

Hoekstra zapowiada rzeczy mocne i ciekawe. Mówi, iż chce przeorientować politykę klimatyczną Unii „na tory rynkowe”, tak by to niewidzialna ręka rynku zamiast unijnych urzędników samoczynnie walczyła z węglem, ropą naftową, benzyną i gazem. Zamiast administracyjnych nakazów i zakazów zawartych w kolejnych dyrektywach mamy więc dostać usztywniony system tzw. ETS, czyli pozwoleń emisyjnych, które będą musieli wykupywać wszyscy dostawcy i dystrybutorzy tradycyjnych surowców energetycznych oraz paliw. Już wedle wcześniej zatwierdzonych w Unii zasad (tzw. ETS-2) obowiązku kupowania takich pozwoleń od 2027 r. ma objąć dostawców energii służącej do ogrzewania mieszkań i transportu.

Ale Hoekstra, chcąc się przypodobać socjalistom i zielonym, którzy w ub.r. traktowali go z nieufnością jako „ideologicznie obcego”, zapowiedział teraz coś, co wzbudziło szczerą entuzjasm zielonych ekstremistów. Oświadczył, iż nowa Komisja będzie dążyć do tego, aby opłaty ponoszone przez dostawców i dystrybutorów energii zostały... podwojone, a dochody z nich nie wpływały jak dotąd tylko do budżetów narodowych, ale w części zostały przekierowane do budżetu Unii. Holender dodaje przy tym, iż on sam „jest zakochany” w tym, jak działa system ETS.

Owo zamilowanie Hoekstry do mechanizmów rynkowych ma mieć jeszcze dalsze konsekwencje. Przyszły komisarz planuje bowiem doprowadzić do zakazu subsydiowania i kredytowania producentów węgla, ropy naftowej i gazu, co musiałoby skutkować blokadą inwestycji i modernizacji sektora surowców energetycznych w Europie. Chce także zabiegać o podwyżki sta-

wek podatków od klasycznych źródeł energii, i to zarówno tych podatków, które właśnie ma wprowadzać Unia, jak i podatków stosowanych w poszczególnych państwach członkowskich. Szczególnie, jak podkreślał w europarlamencie, chodzi mu o nałożenie wysokich podatków na europejskie linie lotnicze. W tej materii można się więc spodziewać (choć Hoekstra nie mówi tego wprost) wznowienia presji na takie kraje jak Polska z tytułu tzw. dumpingu fiskalnego, czyli wymuszania podnoszenia polskich podatków, tak by nasze firmy energetyczne i transportowe stały się mniej konkurencyjne. Jasny jest także rynkowy cel blokady subsydiów i kredytów: kopalnie, rafinerie i gazownie mają się stawać coraz bardziej prymitywne technologicznie, aby w konsekwencji bankrutować.

Nie jest trudno wyobrazić sobie krótkoterminowe skutki hipotetycznego wprowadzenia w życie takiego programu nowej Komisji Europejskiej. Na międzynarodowej platformie cyfrowej Illuminem, doradzającej firmom, jak dostosować się do dziejącego się na naszych oczach przewrotu energetycznego, już teraz można przeczytać na pamięć, iż jeśli ktoś nie chce zbankrutować, to natychmiast musi w firmie „wdrożyć nową strategię zarządzania kosztami i przerzucenia kosztów na konsumentów”. Nie trzeba zresztą żadnych ekspertów, aby rozumieć, że cały pomysł polega na tym, aby pod groźbą kryzysu wielu branż gospodarki wymusić radykalne podwyżki cen prądu, gazu, benzyny, biletów lotniczych, a także kosztów budowy i ogrzewania domów oraz prowadzenia małych, przemysłowych firm (które mają zostać objęte systemem ETS-2). Teoretycznie Unia nie ma niczego nikomu narzucać, tylko stworzyć taki system „rynkowy”, który w krótkim czasie doprowadzi do spadku poziomu życia w krajach unijnych. Oczywiście silniejszego w krajach biedniejszych i bardziej dotkliwego dla ludzi mało zarabiających.

Rzecz w tym, iż wbrew temu, co mówi teraz von der Leyen i jej komisarz Hoekstra, pomysł na usztywnienie mechanizmów rynkowych ma niewiele wspólnego z konceptem wolnego

rynku. Co prawda pozwoleniami emisyjnymi w systemie ETS można obracać na giełdzie, a ich wartość kształtuje się (teoretycznie) w oparciu o prawo popytu i podaży, ale to są tylko pozory wolnego rynku.

Sedno planu komisarza Hoekstry polega przecież na tym, aby za pomocą narzędzi administracyjnych Komisji Europejskiej corocznie od 2027 r. tak drastycznie podwyższać tzw. cele klimatyczne i w efekcie tego ograniczać liczbę emitowanych pozwoleń, aby opłaty z ich tytułu wzrosły dwukrotnie (jak postuluje to Hoekstra). Rynek ma tu więc znaczenie wtórne, bo o podwyżkach kosztów ponoszonych przez firmy, a w efekcie przez konsumentów, mają decydować unijni komisarze motywowani albo zieloną ideologią, albo (w odwrotną stronę) strachem przed wywołaniem masowego oporu i buntu społecznego w krajach unijnych.

Jeszcze w maju 2024 r., czyli kilka miesięcy przed pojawieniem się zapowiedzi usztywnienia programu ETS-2 przez Hoekstrę, były premier Mateusz Morawiecki ocenił, iż w polskich warunkach ów program doprowadzi do wzrostu kosztów ogrzewania typowego domu jednorodzinnego węglem o 2–2,5 tys. zł w ciągu zimy, zaś ogrzewanego gazem o 1,2–2 tys. zł. Jeśli owo usztywnienie miało być dwukrotnie większe, jak tłumaczy Hoekstra w swoich piśmnych wyjaśnieniach dla europosłów, to można założyć, że ów wzrost kosztów musiałby być zapewne sporo wyższy. A ma temu towarzyszyć presja na podwyżki podatków od źródeł energii oraz kontrolowany przez Brukselę zakaz subsydiowania prądu, gazu czy benzyny. Jak widać, ta rzekomo „rynkowa” wizja zielonego przewrotu jest o wiele bardziej brutalna niż bardziej „socjalistyczne” metody wspierania Zielonego Ładu subsydiami czy praktykami protekcyjnymi. Choćby w takiej wersji, jaką w Ameryce preferował lewicowy prezydent Joe Biden w sławnym Inflation Reduction Act, zakładającym wydanie przez państwo znacznie ponad 0,5 bln dol. na dotowanie zielonych przekształceń.

MORDERCZE SKUTKI

Bezsens i chaotyczność klimatycznych planów nowej Komisji Europejskiej widać może najlepiej, jeśli zważyć, że poprzednia KE (ale przecież pod przywództwem tej samej von der Leyen) dopiero co dokonała spektakularnej kapitulacji na froncie ekologii rolnictwa i standardów żywności. I to mimo iż każdy wie, że żadne wyśrubowane cele klimatyczne nie mogą zostać osiągnięte bez ekologicznej transformacji rolnictwa. Rok temu von der Leyen pod wpływem przewalającego się przez Europę „buntu traktorzy-

Pomysł polega na tym, aby pod groźbą kryzysu wielu branż gospodarki wymusić radykalne podwyżki cen prądu, gazu, benzyny, biletów lotniczych, a także kosztów budowy i ogrzewania domów oraz prowadzenia małych przemysłowych firm, które mają zostać objęte systemem ETS-2

stów” odrzuciła przygotowywane od wielu lat regulacje w dziedzinie toksycznych chemikaliów, a stosowny projekt prawa europejskiego nagle wypadł z planu prac Komisji, gdzie jeszcze niedawno był traktowany jako priorytet. Zaraz potem KE wydała dziesięcioletnie pozwolenie na stosowanie w rolnictwie i przemyśle spożywczym glifosatu, czyli jednego z najbardziej toksycznych pestycydów, który (na co wskazują jednoznacznie wyroki sądów w USA) jest zbadaną przyczyną zachorowań na raka. A już w br. tuż przed wyborami europejskimi von der Leyen została przymuszona przez własną partię EPP do wycofania z dalszej le-

gisłacji jednego z kluczowych aktów Zielonego Ładu (za którym jeszcze niedawno gardłowała na śmierć i życie), czyli prawa o zmniejszeniu poziomu pestycydów w żywności o połowę do 2030 r.

Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, aby von der Leyen i jej komisarz Hoekstra byli w stanie na serio przeprowadzić ten nowy, pozornie „rynkowy”, a w istocie morderczo restrykcyjny program. Oprócz niewątpliwego efektu takiego programu, czyli przyspieszenia tzw. zielonej transformacji, oczywiście by były również dwa skutki uboczne, które musiałyby drastycznie zaciążyć nad taką polityką.

Po pierwsze – dalszy spadek konkurencyjności europejskich firm nie tylko w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą, lecz także Chinami, Indiami, Koreą Południową czy Wietnamem. Czyli efekt dokładnie odwrotny do tego, co postulował ostatnio tzw. raport Draghiego, opisujący unijną Europę jako obszar przegrywający globalną konkurencję gospodarczą.

Po drugie – obniżka poziomu życia mieszkańców unijnej Europy, dotkliwa zwłaszcza dla „niższej klasy średniej” oraz ludzi ubogich.

Skutek pierwszy byłby koronnym dowodem na to, iż unijni przywódcy prowadzą Europę w ekonomiczną ślepą uliczkę. Ale skutek drugi w oczywisty sposób wiedzie do ryzyka politycznej re-

wolty przeciw obecnemu euroestablishmentowi. Co ciekawe, taką rewoltę już dziś otwarcie wróżą niektórzy partyjni koledzy komisarza Hoekstry z EPP po wysłuchaniu jego przesłuchania w Parlamencie Europejskim, np. bułgarski europoseł Radan Kynew.

Niezależnie jednak od tego, czy rzekomy „liberal” Hoekstra zacznie na serio wprowadzać swój plan, czy też przywódcy państw unijnych jednak mu to uniemożliwią, jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości. To mianowicie, że brukselscy liderzy niczego się nie uczą, więc nie dziwi, że są coraz bardziej oderwani od europejskiej rzeczywistości.

codziennie

18:00

wPolsce 24

Podsumowanie
wydarzeń dnia
z dosadnym
komentarzem
publicystów

zaprasza
Marcin Wikło

bez cenzury*

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52

telewizja
naziemna

192

netia

32

orange

825

vectra

196

polsat box

65

PLAY
dawniej UPC

Na tropie zagrabionych polskich dzieł sztuki

Te często zapomniane historie wołają o prawdę, sprawiedliwość.
Tak traktuję swoje książki i o tym jest „Król Olch”

O czym jest pani nowa książka?

Magdalena Ogórek: „Król Olch” to opowieść, w której przenosimy się w mroczny czas II wojny światowej i kilka lat po niej, w okres zimnej wojny, poznajemy trudne wybory i skomplikowane losy dwóch „bohaterów” tej opowieści. Generał SS Otto von Wächter, gubernator dwóch dystryktów w okupowanej Polsce, krakowskiego i lwowskiego, był zbrodniarzem i ludobójcą. Po wojnie poszukiwany pod zarzutem wymordowania ponad 100 tys. ludzi istnień. Drugi bohater, Willem Hosenfeld, jest znany za sprawą filmu „Pianista” Romana Polańskiego. W jednej ze scen w ruinach powstańczej Warszawy widzimy ukrywającego się przy al. Niepodległości słynnego polskiego kompozytora żydowskiego pochodzenia Władysława Szpilmana. Tam natknął się na niego kapitan Wehrmachtu Hosenfeld, który od tego momentu pomagał mu przeżyć. Scena poruszyła cały świat, a mimo to poza okazjonalnymi artykułami nikt nigdy nie zgłębiał losów tego Niemca. Postarałam się, żeby obie te postaci, zarówno Wächter, jak i Hosenfeld, ożyły na kartach mojej książki. Mamy zatem dwie osoby wychowane przez ten sam nazistowski system ideologiczny. Jeden z nich wywodził się z domu, w którym do spraw związanych z Bogiem podchodziło się ambiwalentnie. Drugi z kolei wychował się w bardzo wierzącej rodzinie, w której kładło się ogromny nacisk na przestrzeganie Dekalogu. Obaj stanęli przed tymi samymi wyborami, ale podjęli zupełnie inne decyzje. W żaden sposób nie wybielałam ani nie demonizuję tych postaci. Opowiadałam rzeczywistość dokładnie taką, jaką ona była. Chciałam zostawić czytelnika z pytaniami: skoro zło było banalne, jak powiedziała Hannah Arendt, to jakie jest dobro i jak je określić? Czy można zachować człowieczeństwo w tak okrutnych czasach jak wojna? Jak sobie poradzić z bardzo często niesprawiedliwym losem? Myślę, że książka przynajmniej w części odpowiada na te pytania.

Dlaczego wybrała pani akurat te dwie osoby?

Wokół Ottona von Wächtera krążyłam od dłuższego czasu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego zupełnie zignorowano

**Z dr Magdaleną Ogórek,
dziennikarką
telewizji wPolsce24
i autorką książki
„Król Olch”,
rozmawia Stanisław
Płużański**

jego historię. Po mojej pierwszej książce pt. „Lista Wächtera” krakowscy historycy nagle zaczęli dostrzegać, że był taki generał SS pełniący funkcje gubernatora dystryktu. Wcześniej nie powstała żadna publikacja na jego temat. Otto von Wächter dokonał bezprecedensowego w skali Krakowa rabunku największych pereł w koronie polskiego dziedzictwa narodowego. W grudniu 1939 r. na mocy jego rozkazu z Krakowa wywieziono m.in. obraz „Walka karnawału z postem” Pietera Bruegla. Dzieło prze-

padło. Wächter dokonał tej spektakularnej grabieży zaraz po pierwszym ludobójstwie, które zarządził w Polsce. 16 grudnia kilkoro Polaków napadło na niemiecki posterunek policji w Bochni. Wächter kazał powiesić sprawców na rynku miasta. Przez 48 godz. mieszkańcy musieli oglądać trupy wiszące na latarni. To nie był jednak koniec odwetu. Z rozkazu Wächtera ponad 52 mieszkańców Bochni, Polaków i Żydów, spędzono pod las na Uzborni i rozstrzelano. Dotarłam do zdjęć, które były schowane w czeluściach IPN. Zdecydowałam się pokazać je w mojej książce – są zatrważające. Widać przerażonych mężczyzn, jeden nerwowo skubie trzymaną czapkę, drugi się modli, trzeci płacze. Młodszy nie wytrzymuje napięcia, stara się wtulić w drugą osobę. Naprzeciwko stoi pluton egzekucyjny. To jest koszmarna scena, ale na tych zdjęciach widać zabójcę stojącego w esesmańskim płaszczu i patrzącego na tę zbrodnię. Z kolei w siedzibie administracji dystryktu w pałacu Pod Baranami na krakowskim rynku Wächter trzymał dwa bezcenne dzieła sztuki: „Świętą Barbarę” i „Ofiarowanie w świątyni” Hansa von Kulmbacha. One również zniknęły. Jest to specyficzna historia o bardzo złym człowieku, którego pominęli polscy historycy.

Z drugiej strony jest Wilhelm Hosenfeld, znany tylko z epizodu ukazanego w „Pianiście”. Dotarłam do dowodów na to, że kierując się swoją wiarą, postawą życiową i po prostu ludzkim miłosierdziem, uratował ponad 50 osób. Początkowo dał się uwieść niemieckiej propagandzie. Wierzył, że to Polacy zaatakowali Niemców i należy ratować swoją ojczyznę. Z takim nastawieniem ruszył na wojnę w 1939 r.



Widząc, co się dzieje w Polsce, zrozumiał jednak, że jest to sprzeczne z jego systemem wartości. Kiedy był szefem szkoły sportowej Wehrmachtu mieszczącej się na terenie dzisiejszej warszawskiej Legii, zatrudnił ponad 27 osób, Polaków i Żydów. Mało tego, dał im fikcyjne życiorysy, imiona i nazwiska. To są historie naprawdę łapiące za gardło. W 2022 r. 90-letnia córka Hosenfelda pokazała mi obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, który otrzymał od tych uratowanych ludzi. Kiedy wzięłam go do ręki, nie byłam w stanie powiedzieć słowa. W Pabianicach Hosenfeld dostał od Polaków, którym tam pomagał, pocztówkę z Matką Boską Częstochowską. Napisał potem rozdzierający list do żony, że jedzie do Częstochowy, bo chce zobaczyć tak ważne dla Polaków miejsce kultu maryjnego. Wielu czytelników pisze do mnie, że płacze, czytając moją książkę, ale to są dobre łzy. W trudnych czasach, które teraz nadchodzą, trzeba widzieć światło nadziei, że nawet w okresie największego zezwierżenia znajdzie się ktoś sprawiedliwy, kto przywróci wiarę w człowieka. Ta nadzieja była potrzebna wtedy, w latach 1939–1945 i myślę, że jest potrzebna także teraz.

Tak jak pani wspomniała, Ottona von Wächtera opisywała pani już wcześniej, a pani najnowsza książka „Król Olch” jest dopełnieniem trylogii o nim. Czy możemy uznać jego historię za zakończoną?

Na pewno jest jeszcze kilka niewyjaśnionych wątków. Informacji szukałam w archiwach CIA i wiem, że w Maryland są jeszcze akta Wächtera, które nie zostały odtajnione. Z całą pewnością zbrodniarz zabrał do grobu wiele tajemnic, także tych związanych z polskimi artefaktami. Nie wiemy, gdzie jest archiwum sporządzane przez Wächtera, którego po wojnie intensywnie poszukiwał zarówno wywiad amerykański, jak i sowiecki. Troprowadzą do Rzymu. Tam Wächter ukrywał się po wojnie, czekając na przerzut do Ameryki Południowej. Chcąc wyjaśnić te wątki, badałam tajne archiwa watykańskie. To, co udało mi się odkryć, zawarłam w książce. Mam poczucie, że dopełniłam trylogię. Moje trzy książki układają się w całość, a jednocześnie „Król Olch” jest osobną opowieścią.

Rozmawiała pani z rodzinami wielu niemieckich zbrodniarzy z II wojny światowej. Jaki ci ludzie mieli stosunek do pani?

Jako historykowi udało mi się niebywała rzecz. Dotarłam do żyjących dzieci najwyższych oficjeli III Rzeszy. Nie mogę ujawnić nazwisk, zostałam do tego zobowiązana na drodze prawnej. Dopiero po śmierci tych osób będę mogła podać ich dane. Kiedyś opowiem o tym wszystkim. Mogę jedynie powiedzieć, że te rozmowy były bardzo trudne emocjonalnie. W ponad 99 proc. przypadków osoby te cały czas gloryfikowały swoich rodziców, dziadków, usprawiedliwiały morderstwa i rabunki. Wielokrotnie słyszałam, że jeśli ojciec był gubernatorem dystryktu w okupowanej Polsce, to te tereny były jego własnością i miał prawo robić, co chciał. Nie mogę zrozumieć, że przez tyle lat ci ludzie w żaden sposób nie zweryfikowali swojego myślenia. Negowali oni prawdę o Holokauście, prawdę o ludobójstwie na

Polakach. Tylko w pokoleniu wnuków można było znaleźć kogoś, kto wyraził akt pewnego rodzaju ekspiacji za przodków i był w stanie powiedzieć, że odcina się od dziadka. Poznałam tylko dwa takie przypadki.

Jak pani zdaniem należy oceniać niemieckie zbrodnie na Polakach, np. mord na lwowskich profesorach? Powinniśmy przypisywać im charakter ideologiczny czy traktować jako przestępstwa, których celem była grabież?

Akurat ten konkretny mord jest szalenie istotny. Pierwsze skrzypce grał tam oficer SS holenderskiego pochodzenia Pieter Menten. Przed 1939 r. zjawiał się on we Lwowie, pod płaszczykiem osoby znającej się na sztuce próbował wkraść się w łaski polskich profesorów, m.in. Tadeusza Ostrowskiego, Jana Greka i rodziny Longchamps de Bérier. Zapamiętał, co jest w mieszkaniach polskich profesorów – były to kolekcje, które wyposażyłyby niejedno muzeum. Mord na Wzgórzach Wuleckich był zaplanowaną akcją, polscy naukowcy zostali tam wywleczeni i zabici strzałami w tył głowy. Niemcy od razu wrócili razem z Mentenem i dowódcą Einsatzkommando Eberhardem Schöngarthem do domów profesorów. Wymordowane zostały wtedy wszystkie obecne tam osoby, rodziny i służba. Żona Mentena nosiła później pierścionek ze szmaragdem po żonie prof. Greka Marii. Menten zabrał wszystko, co było wartościowe, a kiedy kończyła się wojna, przewiózł do Holandii. Po wojnie został siódmym najbogatszym człowiekiem w swoim kraju. Za jego bogactwem kryła się właśnie zbrodnia na lwowskich profesorach i inne, które popełniał w Krakowie. Te często zapomniane historie wołają o prawdę, sprawiedliwość. Tak traktuję swoje książki i o tym jest „Król Olch”.

Czy możemy spodziewać się kolejnej pani książki?

Moje książki są okupione ciężką pracą, podróżami, często po kilku kontynentach. Po napisaniu każdej jestem ogromnie zmęczona i zarzekam się, że to moja ostatnia, a potem za jakiś czas wracam i zaczynam znowu szukać i pisać, to jest silniejsze ode mnie. W tej chwili znowu czytam dokumenty IPN związane z powstaniem warszawskim. Chciałabym podziękować moim czytelnikom. „Listę Wächtera” próbowano ośmieszyć, to stara metoda mainstreamu. Uzyskano odwrotny efekt, książka stała się bestsellerem. Książkę „Kat kłania się i zabija” próbowano przemilczeć, mimo to książka osiągnęła taki sam sukces wydawniczy. Teraz jest „Król Olch”. Myślę, że mainstream ma problem przede wszystkim z faktem, że książkę polecił Andrzej Szpilman, syn pianisty, który napisał, że świetnie się ją czyta i że dowiedział się więcej o człowieku, który uratował jego ojca. Mimo szyszan i wszystkiemu, co się wokół mnie działo, dalej mam siłę, żeby



pisać, właśnie dzięki moim czytelnikom. Ten ogromny odzew, listy od państwa, pytania o tłumaczenie i dalszy ciąg historii – to wszystko daje mi siłę i bardzo za to dziękuję.

Buduje pani w Sulisławicach na Dolnym Śląsku Muzeum Sztuki Zagrabionej. Czy jest już znana data otwarcia tej placówki?

Kiedy dwa lata temu podjęłam się wielkiego wyzwania zbudowania muzeum, sama nakreśliłam sobie konkretny termin, nie wiedząc jeszcze, z czym wiąże się taka budowa i jakie potrafi sprawić niespodzianki. Później przez media mainstreamu w bardzo brutalny sposób byłam rozliczana z terminu, który przecież sama sobie wyznaczyłam. Nauczona tamtym doświadczeniem, nie będę ponownie wyznaczać publicznie

konkretnego terminu. Mogę powiedzieć, że żadne próby przeszkodzenia mi w tej misji nie powstrzymają mnie przed otwarciem tej placówki i zaprezentowania Polakom wystawy o systemowej, metodycznie przygotowanej grabieży polskich dóbr kultury, którą w latach 1939–1945 dokonali w Polsce Niemcy i Austriacy, a do której przygotowali się metodycznie i perfidnie już od 1933 r.

Dlaczego muzeum powstaje akurat w Sulisławicach?

Dziennikarze mainstreamu oburzali się, dlaczego wybrałam taką lokalizację, a nie stolicę. Przypominam, że Polska nie kończy się za tablicą z napisem „Warszawa”. Gdyby przeczytali moje książki albo literaturę przedmiotu, dowiedzieliby się, że to jest naturalny kierunek wynikający z tego, że dokładnie w tamtą stronę jechały transporty polskich skarbów, dzieł sztuki. Dopiero później wywożono je dalej, np. do willi Hansa Franka w Neuhaus w Bawarii. Na Dolnym Śląsku urywa się ślad „Portretu młodzieńca” Rafaela Santi. Dokładnie 30 km od siedziby mojego muzeum do pałacu w Morawie przyjechał transport, w którym znajdował się ten obraz, a także m.in. „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci i „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem” Rembrandta. Tam wydarzyło się coś dziwnego. Po wejściu do willi Hansa Franka Amerykanie odnaleźli w skrzyniach tylko dzieła Leonarda da Vinci i Rembrandta, „Portretu młodzieńca”, najsłynniejszej straty wojennej świata, nie było. Mam nadzieję, że kiedyś uda się odnaleźć ten obraz. Rozmawiałam z synem Hansa Franka. Według niego kiedy ojca powieszono w Norymberdze, matka uciekała z dziećmi przez Bawarię. Z powodu braku pieniędzy wymieniali zagrabione obrazy często nawet za butelkę mleka. „Portret młodzieńca” mógł zatem otrzymać jakiśbauer za odrobinę jedzenia. Uważam, że rozwiązania największych tajemnic zawsze są najprostsze. Moim zdaniem obraz jest gdzieś blisko, na wyciągnięcie ręki. Albo ktoś nie wie, co ma, albo wie, ale boi się go ujawnić i nawet nie próbuje sprzedać na rynku aukcyjnym. 

K

ULTURY

*Sandra Drzymalska
jako filmowa Simona
Kossak zaskakuje
nie tylko widzów, lecz
także chyba samą siebie.
W historii jej najnowszej
bohaterki kto inny
dyktuje warunki, staje
się drapieżcą, usidla*

Piękna i bestia

Fot. Next Film



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Już jako Łucja z wieloodcinkowej sagi „Stulecie Winnych” pokazała, ile może dać swojej postaci. Wielowymiarowości i nieoczywistości, wewnętrznej pasji i rozedrgania, splątania i determinacji, a także braku pokory, który pozwala być w stałej gotowości na nowe, najbardziej katoryczne wyzwania.

BOHATERKI NIEPOKORNE

Dziewczyna o twarzy, której się nie zapomina. Nie spektakularnej, właściwie bez ekspresji, a jednak potrafiącej przekazać emocje chwytające za gardło. Jak w nagrodzonej w tym roku na festiwalu w Gdyni pierwszoplanowej roli z filmu „Biała odwaga”, gdzie grała wchodzącą w życie (i ekstremalnie trudne doświadczenia) młodą góralkę Bronkę. Tu Sandra Drzymalska nie była czarnym charakterem, jak w „Stuleciu Winnych”, lecz także prowadziła widzów przez spektrum doznań i miała ten pazur, tę wewnętrzną siłę i drapieżność, które pozwalały jej postaci wytrwać. Które były również znakiem rozpoznawczym aktorki. W mniejszym lub większym stopniu wykorzystywanym w rolach wyzwolonych bohaterek, m.in.: Moniki (z serialu „Sexify” i filmu „Ostatni komers”), Oli („Belfer”), Marleny („Filip”) czy „Młodej” („Najmro. Kocha, kradnie, szanuje”).

Jako Kasandra z nominowanego do Oscara filmu „IO” pokazała dodatkowo wrażliwość na los zwierząt, a także umiejętność grania z czworonożnym „partnerem”.

IŚĆ PO SWOJE

Być może właśnie ta zbitka aktorskich umiejętności i możliwości zdecydowała, że właśnie jej Adrian Panek powierzył tytułową rolę w filmie „Simona Kossak”.

Ci, którzy – jak zresztą sama aktorka – mają za sobą m.in. seans dokumentalnego filmu w reż. Natalii Korynckiej-Gruz czy lekturę książki Anny Kamińskiej, widzieli w odrąconej przez artystyczną rodzinę Simonie silną kobietę. Owszem, wrażliwą na potrzeby „braci mniejszych”, uważną i dociekliwą badaczkę, kochającą zastępczą matkę dla siostrzenicy, ale jednocześnie osobę zahartowaną przez siemienne warunki. Umiejącą nie tylko przetrwać, lecz także twardo dążyć do celu. Iść po swoje, czy raczej po to, co niezbędne do ochrony cennych zasobów przyrody.

Archiwalne zdjęcia pokazują drobną postać – najpierw dziewczyny, potem kobiety. Na najbardziej znanych kadrach towarzyszą jej zwierzęta – kruk, ryś czy monstrualnie wielki dzik. Simona utrwala na dawnej taśmie wydaje się mocno, fizycznie osadzona w realiach, które wybrała na swoje życie, zawodowe i prywatne.

Sandra Drzymalska zdawała się idealną kandydatką, by stworzyć na ekranie taką

właśnie bohaterkę. Tymczasem, być może również za sprawą plastycznego zamysłu reżysera i zarazem scenarzysty do spółki z autorem zdjęć Jakubem Stoleckim, w filmowej Simonie więcej kruchości, delikatności, a nawet zwiewności niż twardego stąpania po ziemi świadomej celu i konsekwencji wyborów kobiety i naukowca.

ZATOPIONA W NATURZE

To fakt: aktorce udało się nawiązać zaskakujący kontakt ze zwierzętami, z którymi przyszło jej grać. Podkreśla to zarówno reżyser, jak i koledzy z planu. Tylko że ceną za to uroczę zbratanie jest m.in. niepotrzebne chyba przy takim filmie skojarzenie z sielankowymi kadrami z Disneyowskiej „Królewny Śnieżki”. I nasuwa się pytanie, skąd ten zwrot, a może nowy zamysł w narracji. Gdzie skryła się waleczna dziewczyna? Dlaczego wtopiła się najpierw w krakowskie dekoracje, a potem w białowieską przyrodę? Czemu narzecz bajkowej „pięknej” straciła wewnętrzny pazur?

Bo przecież historia Simony Kossak, pozbawionej plastycznych talentów córki malarza Jerzego Kossaka i wnuczki Wojciecha, to idealny materiał na film. Podawana presji despotycznej matki, żyjąca



w cieniu starszej siostry, po studiach rzuciła wszystko: krakowski dom, tradycję, społeczne konwenanse i ruszyła na drugi kraniec kraju. Osiedliła się w środku Puszczy Białowieskiej, w domu bez prądu i bieżącej wody, w otoczeniu dzikiej przyrody. Prowadziła badania i żyła na własnych warunkach, mając u boku Lecha Wilczka, fotografa, który jak ona postanowił uciec od świata.

BYĆ CZĘŚCIĄ STADA

Dlaczego fabuła Adriana Panka pokazała inną niż przedstawiana w książkach i filmie dokumentalnym Simone? A także inną Sandrę? Odpowiedź przynosi też sama aktorka.

– Z Simoną łączy nas wrażliwość w odniesieniu do świata przyrody – mówi aktorka. Nie mogłabym jej zagrać, nie kochając zwierząt. Ona patrzyła na nie z ogromną czułością i nawet przypisywała im cechy ludzkie. Pięknie to opisała w książce „Serce i pazur. Opowieść o uczuciach zwierząt”, w której tłumaczy, jak nasze zachowania podobne są do zachowań zwierząt. I nie ukrywam, że ta książka bardzo mnie wzruszyła. Simona w czasach, w których żyła, była prekursorką, jeżeli chodzi o kwestie behawioralne dotyczące zwierząt. Dzisiaj na temat tego, jak z nimi postępować, wiemy już bardzo dużo, jednak ona po prostu to czuła i zrozumiała dużo wcześniej niż my wszyscy.

O naprawdę fascynującej relacji z leśnymi zwierzętami, zwłaszcza sarnami, aktorka opowiada tak: – Nie wiem, jak to się wydarzyło, chyba była to jakaś magia, bo w pewnym momencie poczułam się, jakbym była częścią ich stada. Opieko- wałam się nimi, ale sama również czułam

się zaopiekowana. Ciekawostką jest to, że grając z sarnami, bardzo dużo tarzałyśmy się po leśnym runie i w trakcie tych scen ani razu nie zaatakowały mnie kleszcze. Gdy przeszłam do królikarni, od razu jeden mnie dziabnął. Więc chyba te sarny jakoś mnie chroniły. Podczas wspólnych scen miałam poczucie, że natura mnie akceptuje i nie tyka.

KLUCZE DO POSTACI

W życiowego partnera Simony Kossak Leszka Wilczka wcielił się Jakub Gierszał. Niestety jak na człowieka z lasu okazał się zbyt uładzony, okładkowy. To kolejne aktorskie niespełnienie filmu Adriana Panka, który miał jak najlepsze założenia. O doborze odtwórczyni głównej roli mówił tak: – Długo się zastanawiałem, według jakiego klucza dobrać aktorkę, jak opowiedzieć o traumie, ucieczce z domu, szukaniu swojego miejsca na świecie, ale też o ambicji, wielkiej inteligencji, poczuciu humoru i energii, którą miała w sobie ta kobieta. Wtedy zrozumiałem, że szukam podobnej energii, że tłumaczę na język filmu nie tylko biografię, lecz także mit, którym stała się Simona. I to znalazłem w Sandrze Drzymalskiej.

Szkoda, że wizja głównych postaci gdzieś się rozmyła. Za to drugi plan nie stracił mocy.

Elżbietę Kossak, matkę Simony, z odpowiednim naciskiem zagrała Agata Kullesza. Znakomity epizod w roli Hanny Gucwińskiej ma za sobą Olga Boładź, ale prawdziwym sztosem okazała się niewielka rola Marianny Zydek. Do tej pory kojarzona z niebieskookimi, blond włosymi bohaterkami aktorka stworzyła na ekranie chwilami wręcz diaboliczną, postać. Tak mówi o tym zadaniu: – Gloria Kossak to starsza, mroczna siostra Simony. Zawsze trzymała się z szemranym towarzystwem, nie stroniła od używek, potrafiła po kryjomu wynosić z domu wartościowe rzeczy na sprzedaż. Równocześnie zachowywała pozór wielkiej damy z rodowodem, żartowała ostro i celnie i zawsze miała przy sobie jakiegoś kochanka.

Marianna Zydek pojawia się w niewielu scenach, ale za każdym razem kradnie uwagę widza. To ona pokazuje pazur i dwoistość w opowiadanej historii, które sprawiają, że piękna może się okazać zarazem bestią.



Fot. Next Film

25/1024/F

REKLAMA

TOWARZYSTWO
PATRIOTYCZNE
FUNDACJA JANA PIETRZAKA

GALA NAGRÓD ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ 24 LISTOPADA 2024

Spółeczny Dom Kultury WSM Zoliborz
Warszawa, ul. Słowackiego 19A, Godzina 18.00

Bilety: www.kupbilecik.pl oraz stacjonarnie w punktach sprzedaży. Warszawa: Sklepy muzyczne Riff; Pl. Konstytucji 5, Bokserska 62A. Księgarnie Książnica: ul. Świętokrzyska 14 oraz PWN Krakowskie Przedmieście 62

patroni medialni:

GAZETA POLSKA



tysoł.pl

blogpress.pl

SIECI

wPolsce 24

Prawda boli

XY: Widziałeś, jak ktoś pluje gwoździemi?

Dominik Tarczyński: Tak, widziałem! Podczas opętania występują różne demony... Lewitacja, tak widziałem.

XY: Człowiek unosi się nad ziemią?

DT: Tak, unosi się... Różne hierarchie demoniczne wpływają na człowieka...

XY: Ja tego nie przyjmuję...

DT: Zamienione ciała, zaszyte niedopałki papierosów w ciałach ofiar...

Spot ze zmiksowanymi trzema telewizyjnymi wypowiedziami Dominika Tarczyńskiego krąży po sieci. Dwie z nich są na temat egzorcyzmów, jedna na temat katastrofy pod Smoleńskiem. W podkładzie muzyka z Benny'ego Hilla.

Dla niektórych zwolenników PiS Dominik Tarczyński jest świetnym kandydatem w wyborach prezydenckich. W zacytowanym wyżej spocie mówi on rzeczy oczywiste dla każdego, kto dłużej towarzyszył przy egzorcyzmach. Nadprzyrodzoność polega właśnie na tym, że prawa rządzące światem materialnym zostają chwilowo zawieszone. Są to jednak tematy tak odległe od doświadczenia przeciętnego Polaka, że ten spot powtórzony tysiące razy czyni Dominika Tarczyńskiego niewybieralnym. Nie ma znaczenia, że mówi on prawdę – znaczenie ma to, jaką prawdę Polacy są gotowi przyjąć.

Tak, są granice manipulacji. Donald Trump wygrał wybory mimo że miał przeciwko sobie medialny walec. Stało się jednak tak tylko dzięki Elonowi Muskowi, który wykupił mającą dziś ponad pół miliarda użytkowników platformę społecznościową X, dawniej Twitter. Media mainstreamu nie były w stanie przemilczeć poruszanych na X niewygodnych tematów. Pomijając je, popelniałyby cytelnicze samobójstwo. Bańka została rozbita. Więc raczej ma Anne Applebaum: bez cenzury lewicowo-liberalny establishment nie jest w stanie utrzymać władzy.

Z czym zderzono wypowiedzi Tarczyńskiego na temat egzorcyzmów? Z faktami związanymi z tragedią smoleńską. Faktami świadczącymi o takim bestialstwie, którego człowiek o normalnej psychice nie chce przyjąć do wiadomości.

Każdy, kto w 1989 r. widział Las Kabacki skoszony na przestrzeni 370 m przez skrzydła samolotu podobnej klasy jak ten w Smoleńsku, wie, że pień brzozy nie mógł odciąć skrzydła potężnego TU-154. Wszyscy widzieliśmy, jak samoloty, które uderzyły w budynki WTC, rozcięły na całej rozpiętości skrzydeł ich metalową konstrukcję. Wytrzymałszy od metalu miałyby być brzoza o średnicy 35 cm? A punktowo wywinęte na zewnątrz fragmenty poszycia samolotu? Jedynym wyjaśnieniem ich obecności jest wybuch.

Jednak Polacy uciekają od tematyki smoleńskiej. Jaką tresurę przeszliśmy w ciągu ostatnich 15 lat, skoro niektórzy czują wręcz fizyczny ból, gdy prawda jest konfrontowana z kłamstwem, które zostało im wbite w mózg? Markery somatyczne nie są wymysłem. Prawda boli.

Markery somatyczne są fizjologicznym sygnałem dla człowieka o przewidywanych skutkach podjęcia decyzji. To rodzaj alarmu, który wytwarza nasz mózg na podstawie uprzednich doświadczeń. Nagrody lub kary. Jeśli ktoś jest wielokrotnie karany kpina, ośmieszeniem, poniżeniem, poddany najobrzydliwszej werbalnej agresji, nazywany ciemnogrodem tylko po to, by nie sprzeciwiał się kłamstwu – czy należy się dziwić, że będzie od prawdy uciekał? Prawda boli i nie jest to metafora. Polacy uciekają przed prawdą. Wyparcie jest powszechnym mechanizmem. Wojna przeciwko trzeciemu pokoleniu UB toczy się nie tylko o zawłaszczoną przez ich rodziny własność i władzę, lecz także o to, ile prawdy Polacy są gotowi przyjąć.

Kiedy uciekamy przed prawdą? Alkoholik nie jest w stanie przyjąć prawdy



ROBERT TEKIELI

o swojej chorobie, ba, czasami wręcz nie jest w stanie o tym słuchać. A my jesteśmy chorzy na podległość. Polacy w swej masie są dziś jak powolne stado baranów. Nie jesteśmy już dumnym narodem. Dziś narodowe powstanie, jakim był bunt Solidarności, nie jest możliwe.

Stało się tak, bo jesteśmy narodem potwornie pokaleczonym. Polską wspólnotę poddano lobotomii. Sowietci i Niemcy wymordowali nam inteligencję. A w czasach PRL i III Rzeczypospolitej zrobiono wszystko, żeby się ona nie odbudowała. Boli również ta prawda, że w najlepszym razie jesteśmy w stanie osiągnąć normalność za dwa, może trzy pokolenia. Sam uciekam przed tą prawdą, nie chcąc całkowicie utracić nadziei.

I sprawa nie najmniej ważna – opcja atlantycka nie ma dziś alternatywy. Ale potrzeba nam polityków z charakterem. Niezależnie od partii rządzącej w Waszyngtonie amerykańscy ambasadorzy panoszą się w Warszawie jak wszechwładni namiestnicy. Amerykanie są gwarantami naszego bezpieczeństwa, ale czy zachowują się tak na Węgrzech?

Są też pozytywne znaki. Głównie fakt, że w ciągu ostatnich trzech dekad Polska dokonała wielkiego skoku. Gospodarczego i cywilizacyjnego. Uczynili to zwyczajni Polacy, najczęściej wbrew państwu. Mam więc nadzieję, że przeżyjemy i czas dzisiejszej smuty. I będziemy zdolni przyjąć prawdę. Która nas wyzwoli.



WOJNA CYWILIZACJI

POP KULTURA

Warte „*Zabijaj uważnie*” to niemiecka komedia kryminalna. Gdybym zobaczył ten opis przed włączeniem serialu, nigdy bym go nie obejrzał. A tu zaskoczenie. Doskonały jest wyjściowy pomysł – prawnik mafii idzie na kurs mindfulness i okazuje się, że zastosowanie zasad uważności pomaga mu w ratowaniu rodziny oraz w wywikłaniu się z morderczej pułapki. Na plus: lekkość narracji, Tom Schilling w roli głównej, bardzo przyzwoita gra aktorów drugoplanowych i precyzyjny rytm opowieści. Teoria uważności okazuje się skuteczna, mimo iż głosi przypominające bon moty z chińskich ciasteczek hasła w rodzaju – „Jeśli będziesz uważnie stawiać każdy krok, to na końcu będziesz mniej wyczerpany”. Jest też tylko neutralnym narzędziem. Sprawdza się w mafijnych porachunkach i w małżeńskim kryzysie. Podpowiada, że najlepszym rozwiązaniem w jakiejś sytuacji jest morderstwo, a w innej większe zaangażowanie się w wychowanie córki. Co by jednak nie mówić, refleksja nad hierarchią systemu wartości co jakiś czas niezbędna, nawet bez chodzenia na kursy uważności.

POP KULTURA

Ewentualnie „W cieniu aniołów”

Anny Szumacher to urban fantasy toczące się we współczesnej Ameryce Północnej i opowiadające historię piekielnego zamachu stanu. Bohaterka miota się pomiędzy Kalifornią a Alaską, układając trupie puzzle, trafiając do podziemia pełnego wiedźm, jednocześnie znajdując czas na naukę, bo właśnie kończy się semestr akademicki. Demonologia Szumacher jest bardzo eklektyczna, wręcz przypadkowa, i nie jest to komplement. Uniwersum z posiadającymi ciało aniołami i demonami oraz czarownicami rządzi się autorską logiką, ale nie dostrzegam tu konsekwencji, która pozwala czytelnikowi swobodnie odnaleźć się w tym świecie. A wątek, powiedzmy, romantyczny powoli spycha tę opowieść ku literaturze dla nastolatków. Autorka swobodnie prowadzi narrację, jednak drażniący jest szczeniacki sposób osiągnięcia



dystansu przez narratora i takie grepsy jak ten, gdy zmęczona główna bohaterka Maria Dee „ostatecznie, jak to się mówi, uderzyła głową o kant poduszki i straciła przytomność na kilka godzin”. Jeśli jednak ktoś uzna, że przesadzam i da się porwać opowieści, niekoniecznie musi żałować.

Warte

Dziwne, że wcześniej nie wpadła mi w ręce trylogia „*Wilkożacy*” Rafała Dębskiego. Wznawiane właśnie historyczne fantasy – przeczytałem tom I, „Wilcze prawo” – opowiada kresową historię z połowy XVI w. Mamy tu wilkołaki i Bohdana Chmielnickiego, miłość, przemoc i pożądanie, porwania, gwałty i szalone poczucie stepowej wolności, pogańskich czarowników udających chrześcijańskich mnichów i wyprawę karną mającą zakończyć żywot wilkożackich watach. Wilkołacza rasa zwana również Wilkami panowała na ukraińskich stepach, zanim pojawili się tu ludzie, dziś jednak zepchnięta do całkowitej defensywy próbuje przetrwać, nie wdając się bieżące konflikty. Osia intrygi jest zemsta za wymordowanie wilkożackich szczy przez jednego z atamanów Chmielnickiego, a tłem polityka i walka o wpływy na terenach przyszłej Ukrainy. Polska szlachta, powstanie kozackie, moskiewski imperializm, efektem tumult, pomieszanie racji i bratobójcza walka. Książęce ambicje Chmielnickiego przekształcają wolnościowy zryw w jedną z miliona obrzydliwych wojen o władzę, w których lojalność okazuje się pułapką, a bohaterstwo głupotą.

Dębski splótł dwa doskonale sprzedające się wątki: ukraiński i wilkołacki, doskonale panuje nad polszczyzną, toczy zwaną opowieść, zaskakuje psychologiczną prawdą czczonej kobiety przemienionej w waderę, pisarz nie daje czytelnikowi chwili wytchnienia, nie ma tu zbędnego akapitu, historyczne realia dodają narracji kolorytu, a my, Polacy, Kochamy przecież walczących o wolność, choćby wilczym prawem.

Robert Tekieli, Polskie Radio



POP KULTURA

Rebelianci

Tytuł „Orwell meets Оруэлл” nie jest przypadkowy. Piotr Bernatowicz, były dyrektor CSW Zamek Ujazdowski, który został usunięty przed końcem kadencji przez Hannę Wróblewską, w swojej nowej warszawskiej galerii S7 postanowił pokazać prace dwóch plastyków zafascynowanych tradycyjną typografią. Obaj prezentowali się już na wystawie „2 + 2 = 5” w Londynie, której tytuł nawiązywał do powieści „1984”, a konkretnie sytuacji, gdy społeczeństwu każe się wierzyć w kłamstwa.

Stephen Kenny i Sergei Besov przez przypadek stali się więc rebeliantami i także w obu przypadkach Orwell pomógł im zrozumieć, co dzieje się wokół nich. Kenny w swoich pracach często odwołuje się do kultury popularnej, korzysta ze starych czcionek i technik typograficznych. Podpadł jednak środowiskom transgenderowym, gdy w którymś momencie stwierdził, że istnieją tylko dwie płcie. „Uparcie stoi on na stanowisku, że 2 plus 2 równa się 4” – wyjaśnia Bernatowicz. Wtedy zatrzęsnęły się przed nim drzwi do galerii i zaczęły działania cancel culture – kultury unieważniania. Przysnaję, że czuje się, jak byśmy żyli w jakiejś „koszmarnej dystopijnej fikcji”. Znakomicie pokazują to liczne grafiki, m.in. „Manufactured Reality” („Wyprodukowana rzeczywistość”), „Useful Idiots” („Pożyteczni idioci”), „Admit Repent” („Wyraż skruchę”), „Report Thought Crime” („Zgłoś myślozbrodnię”) i wiele innych.

Z kolei pochodzący z Moskwy Sergei Besov programowo nie wystawiał się w oficjalnych galeriach, a swoje druki pokazywał na ulicach oraz Instagramie jako „galerię dla każdego”, co miało potężny efekt. Zwrócił na siebie uwagę, gdy na początku rosyjskiej ofensywy militarnej na Ukrainę wydrukował plakaty z hasłem „Nie dla wojny”. Wprowadzone surowe przepisy, będące faktyczną cenzurą, pod groźbą więzienia zakazały jednak nazywania agresji wojną. Wypuścił więc plakat: „Wszyscy potrzebują pokoju”. Co spowodowało zatrzymanie jego dwóch pracowników, zamknięcie firmy i emigrację do Słowenii. Jak tłumaczy Piotr Bernatowicz, w totalitarnym świecie opisanym przez Orwella druk okazuje się nie tylko podporą ideologicznej propagandy, lecz także ma potencjał rewolucyjny. Słowo okazuje się niebezpieczne.

„Orwell meets Оруэлл”, Stephen Kenny, Sergei Besov, S7 Art Project, ul. Senatorska 7 w Warszawie.
Czas trwania: 8 października – 22 grudnia 2024 r.



Maciej Walaszczyk

Muzyka dawna to taka, która zachowała się w jakimś zapisie nutowym, ale nikt nie pamięta już jej brzmienia – wyjaśnia prof. Thomas F. Kelly. Dlatego nie jest utracona. Muzyka baroku, renesansu, a przede wszystkim średniowiecza intryguje więc wszystkich chcących nawiązać do przerwanych tradycji. Może być też wyrazem buntu wobec uznanych form i konwencji, ucieczką od teraźniejszości. W dziejach muzyki na przemian jednak odrzucano i przyśwajano na nowo twórczość sprzed wieków. Było tak choćby z operą, traktowaną jako sposób na odzyskanie siły wyrazowej tragedii antycznej, dziełami Palestriny uznanymi w XIX-wiecznych Niemczech za wzór muzyki sakralnej, a w końcu samym Bachem, którego przywrócił nam Mendelssohn. Choć nie ma powrotu do dawnego sposobu ich wykonywania. Brak tamtych klawesynów, niżej strojonych skrzypiec z jelitowymi strunami, ówczesnych kamertonów, przestano kastrować utalentowanych wokalnie chłopców. Badacze często muszą się w ogóle dowiedzieć, jaki był rytm np. pieśni śpiewanej przez trubadura, o którym nie informuje dawna notacja. A przypisana do nut wysokość dźwięków była określana dość swobodnie.

Czytając tę niewielką publikację, znajdziemy więc wiele praktycznych informacji o tym, czym jest *cantus firmus*, imitacja, zasada ritornelu czy dyminucji. Już setki lat temu położono bowiem teoretyczne fundamenty

Dźwiękowa archeologia

pod sztukę improwizacji, której schematy dla basu cyfrowanego okazują się podobne do bluesa, a umiejętność przekształcania melodii w czasie występów śpiewaków przypominała pod pewnymi względami improwizację jazzową. Autor pisze też o wciąż tak

popularnym chorale gregoriańskim – anonimowym, niezmiennym i istniejącym tak długo, jak trwa chrześcijaństwo. Nigdy bowiem nie zaniknął, choć jego pierwotny styl, naznaczony technikami wokalnymi Bliskiego Wschodu, podlegał licznym mutacjom. W końcu to tylko my, ludzie zachodniej kultury, zostaliśmy w pewnym momencie oczarowani harmonią dźwięków, wielogłosowymi chórami, technikami kontrpunktu czy po prostu brzmieniem instrumentów wydobywających z siebie akordy. Jej znakiem rozpoznawczym jest polifonia, a repertuar wokalnego organum z katedry Notre Dame jest tak jak i ona sama, jednym z zabytków naszej cywilizacji.

Thomas Forrest Kelly, „Muzyka dawna. Bardzo krótkie wprowadzenie”, Fundacja inCanto 2024



Przewodnik po Wildsteinie

Wildstein – pisarz, który chce wpłynąć na człowieka, by ten porzucił nihilizm i doszedł do momentu przemiany. Pisarz moralista, który w imię sprawiedliwości jest gotowy na przemoc

Gdy na początku lat 90. XX w. Bronisław Wildstein wrócił do Polski, uwierzył we wszystko, co niesły z sobą idee „końca historii”. Przyznaje, że opozycja demokratyczna latami tkwiła w paradygmacie walki z totalitaryzmem, nawet wtedy gdy ten się dawno skończył. Otoczyła się kordonem zakazu pisania źle o sobie samej, przez co latami była bezkrytyczna wobec siebie i nowej rzeczywistości. On także przyznaje się do pomyłki, choć jak twierdzi, swoje ówczesne wątpliwości opisywał w napisanej wówczas powieści „O zdradzie i śmierci”. Osadzonej po śmierci Aleksandra Wielkiego, w innym „końcu historii”, po którym gwałtownie ożyły konflikty i natura polityki.

Dziś nie ma wątpliwości, że wojna na Ukrainie czy pandemia to nie tyle skandal, ile właśnie brutalny powrót do normalności. Nasza kultura zawsze była strukturą cywilizowanej przemocy tworzącą społeczną dyscyplinę i ład. Niestety jej rozbiście za pomocą liberalizmu i marksizmu będących rodzajem nowej gnozy uwalnia żywoły prowadzące do jej upadku i tworzy przestrzeń dla nihilizmu. Nowa gnoza obiecuje pokonanie zła i samozbawienie człowieka przez politykę. Rzeczywiście, zachodni świat opanowali wyznawcy politycznych utopii wierzący w całkowite zapanowanie nad naturą, w wychowanie nowego człowieka.

Te rozmowy to jednak całościowa suma opinii Wildsteina o polityce, oczywiście pojętej najszerzej, jak się da. Dlatego tworzy prozę, przekonany, że nigdy nie nastąpiła „śmierć powieści”, że fikcja zawierająca w sobie skondensowane doświadczenia autora to wciąż najlepszy sposób na konfrontowanie się z rzeczywistością. „Ten świat jest po to wymyślony, żeby był głębszą prawdą” – podkreśla. Wiele z jego powieści dotyczy właśnie współczesnej Polski. Przypomina, że Michnik, konstruując ideologię III RP, nazwał i wyznaczył zasady jej funkcjonowania oraz określił granice obowiązujących w niej tabu. To nie wzięło się znikąd, co wyjaśnia na przykładzie postaci prof. Bruna Kleina z książki „Czas niedokonany”. Ogniskuje ona w sobie całą formację polityczną żydowskiego pochodzenia

zaangażowaną w budowę komunizmu, a która potem stała się wyznawcami liberalnego relatywizmu, rozbijającego tożsamość narodową i religijną, podającego w wątpliwość wszelkie pewniki i kodeksy etyczne. „To archetypiczna postać wcielająca drogę życia i mentalność najbardziej dziś wpływowej grupy” – wyjaśnia.

Jak zresztą przyznaje, liberalizm jest nie tylko nieporozumieniem, lecz także stał się niebezpieczny dla wolności, ma utopijne ambicje niosące w sobie pierwiastek totalitarny. Nie jest fizycznie opresyjny, stosuje jednak wyrafinowane środki kontroli. Jego narzędziem jest prawo i interpretujące go sądy, a do tego, co jest paradoksem, III RP posiada propagandę skuteczniejszą niż PRL. Wildstein jest po prostu obrońcą narodowego ideału republikańskiego. Nie jest on ani demokratyczny, ani liberalny, ale ma możliwość ograniczania oligarchicznych tendencji i obrony wolności. Jedyne w jego realizacji widzi jakąkolwiek przyszłość dla naszej wspólnoty. Przywołuje więc klasyków – Platona i Arystotelesa, a także Voegelina i Kołakowskiego. Jak twierdzi, Baudrillard, Bourdieu czy Bauman mogą mieć sensowne intuicje, ale całościowo są nie do zaakceptowania. Przede wszystkim polemizuje z Kantem, Kartezjuszem, Rousseau, demaskuje Hegla i Marksa. Przyznaje rację diagnozom Nietzschego, ale jak podkreśla,

zupełnie się z nim nie identyfikuje. Przenikliwie opisał skutki „śmierci Boga”, ale niestety nie rozumieją ich skupieni na hedonizmie i konsumpcji „ostatni ludzie”, którymi pogardzał.

Wildstein nie podziela jednak pesymizmu twierdzącego, że człowiek się skończył. Choć nie godzi się też na „dyktaturę optymizmu” i bierze pod uwagę, że „w naszym ziemskim bytowaniu nie będzie dobrze”. Identyfikuje się jako konserwatysta, ale często porywa go pasja rewolucjonisty. „Bardzo chcę być moralistą” – deklaruje, przyznając otwarcie, że do wyjścia z komunizmu potrzebna była przemoc, ale sprawiedliwa. Bo aby egzekwować sprawiedliwość, potrzebna jest przemoc.

„Kultura w czasach zamętu. Rozmowy z Bronisławem Wildsteinem”, red. Maciej Mazurek, Ośrodek Myśli Politycznej 2024



Zagadkowe „Krucjaty”

Miałem zamiar pisać o serialu TVP „Krucjata 2. Znak bliźniąt” na jego koniec. Ale jestem po dziewiątym odcinku (mamy ich 13), więc nie czekam na finał. I wszystkich zachęcam, aby odnaleźli całość na platformie VOD.

Pierwsza „Krucjata” z podtytułem „Prawo serii” to produkcja poprzedniej ekipy rządzącej TVP. Łukasz Ostalski wykreował wielowątkową, miejscami zaskakującą opowieść kryminalną, a zakręty jej akcji przekraczały nieraz granice prawdopodobieństwa. Oto kilku młodych ludzi dokonywało w Warszawie brawurowych zamachów na przedstawicieli elit, nadając temu postaci tajemniczej zemsty. Ginęli bankier, posłanka na Sejm czy celebryta. Ba, ci sami osobnicy dokonywali dziwacznych zamachów terrorystycznych. Np. wysadzali oczyszczalnię ścieków, co było nawiązaniem do prawdziwej awarii, którą prawica obciążała Rafała Trzaskowskiego.

Było jedno ale. Uwielbiam twórczość scenarzysty Wojciecha Tomczyka. Kilka jego dramatów to arcydzieła. Seriale „Oficer”, „Oficerowie” i „Trzeci oficer” błyskotliwie opowiadały o policjantach i przestępcach w III RP. Mam jednak wrażenie, że w pierwszej „Krucjacie” próbował powiedzieć za wiele rzeczy równocześnie. Uboczne wątki stawały się czymś nie do ogarnięcia, za to końcowe rozstrzygnięcie pozostało chaotycznym strumieniem świadomości. Choć po drodze z pomocą reżysera i świetnych aktorów Tomczyk poczynił sporo celnych obserwacji o świecie, w którym żyjemy.

Drugą „Krucjatę” Tomczyka–Ostalskiego łączy z pierwszą część policyjnej ekipy śledczej. Poza krótkim momentem (na razie?) zniknął Mandżaro grany przez Juliana Świeżewskiego. Ale są jego przyjaciel Luizjana, czyli Tomasz Schuchardt, i jego szef zwany Matką (Michał Kaleta). Tym razem, choć akcja czasem skacze na boki, dyscyplina opowieści jest większa. Mamy dziwne, spektakularne morderstwa na ludziach zajmujących się handlem narkotykami. Wiele wskazuje, że to znowu zemsta – ludzi skrzywdzonych

przez narkotyki. Ale może to być intryga biznesmena, który robi w tej branży. Obie serie łączy demoniczna postać ze służb – jak zawsze perfekcyjny Mariusz Bonaszewski.

Tu wszystko się składa. I intryguje okrucieństwem obserwacji, rozmiękczaną jednak empatią, z jaką są rozkładowane niektóre wątki. O policji można opowiadać skrajnie naiwnie albo drażniąco cynicznie, gdy ów cynizm usiłuje się zaszczyć widzowi. Tu otrzymujemy sporo profesjonalnych chropowatości, a jednak kupujemy bohaterów. Obok Luizjana mamy młodego policjanta Bronka (Sebastian Dela), którego dramat rodzinny jawi się jako jeden z kluczy do historii. Jego i Luizjana dzieli pokoleniowa rywalizacja przeplatana zawodową solidarnością. Między nimi próbuje mediuwać młoda policjantka grana przez Martę Stalmierską.

Aktorstwo to główny czynnik uwiarygadniający opowieść. Kiedyś zrywałem się na Schuchardta, że wygląda z każdej filmowej łódki. Dziś uważam, że poza wszystkimi sprawnymi zawodowymi ten z wyglądu „zwykły facet” jest po prostu prawdziwy. To kategoria wykraczająca poza ocenę



warsztatu. Ale prawdą i wielką charyzmą emanuje też Dela – Bronek Jamróży, ze swoimi grymasami na twarzy, które przyprawiają nas o wieczny niepokój. No i cała galeria: świetna Stalmierska, znamomici Karol Pocheć, Paulina Gałązka i Michał Kaleta jako bardzo różni policjanci, Monika Pikula jako nieszczęsna prokurator Różycka – chciałoby się wymienić wszystkich.

Czujemy, że wrócą demony z serii pierwszej i może wreszcie lepiej ją zrozumiemy. Na razie nadal nie wiem, czego się tak naprawdę spodziewać.

Piotr Zaremba

Najstarsza przygoda Z psem

*Prawie 2 tys. lat temu
Pliniusz Starszy pisał
w „Historii naturalnej”:
„Na poznanie zasługuje
także wiele z tych
zwierząt, które żyją
w naszej bliskości,
a przede wszystkim
najwierniejsze
człowiekowi: psy i konie”.
Na początek przyjrzyjmy
się psom, pierwszym
zwierzętom, które
udomowił człowiek*



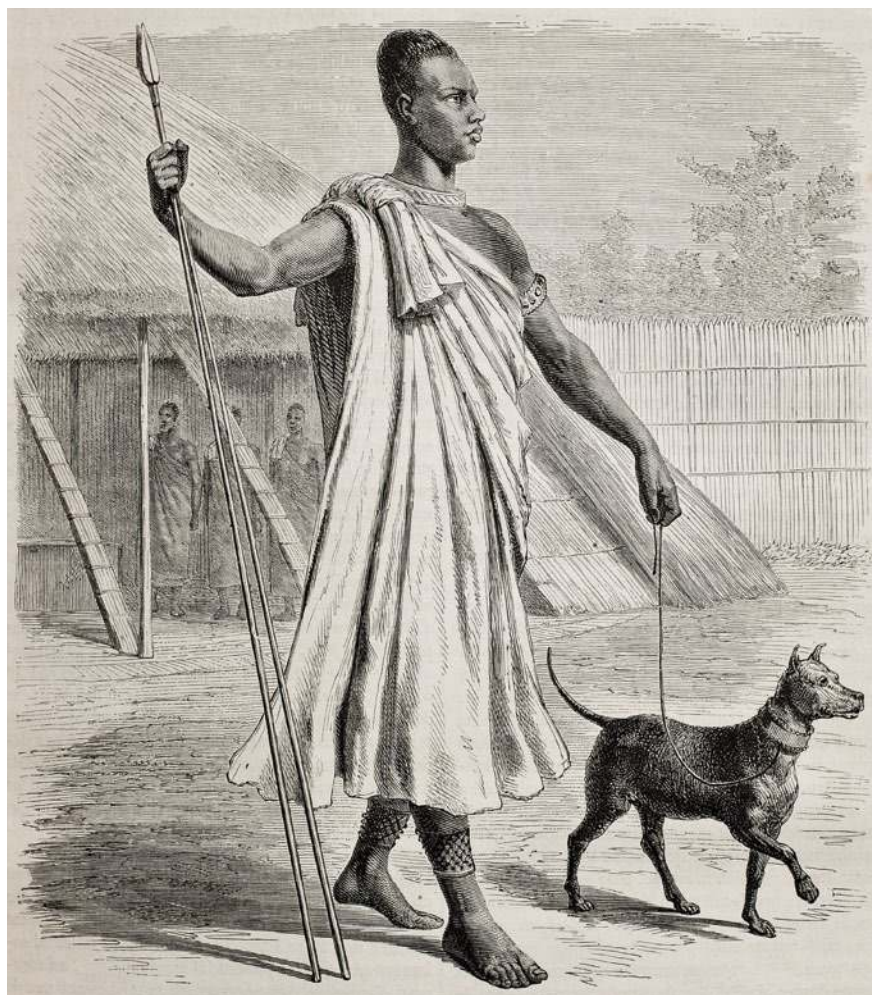
PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na temat udomowienia psa istnieje wiele teorii. Trzeba dodać, że nie tylko w szczegółach, lecz także w fundamentalnych kwestiach wzajemnie się one wykluczają. Podobnie jest w przypadku ustalenia prostego i oczywistego zagadnienia, czyli przynależności gatunkowej. Proste i oczywiste tylko pozornie.

Punktem wspólnym teorii próbujących odkopać proces udomowienia z pomroki dziejów jest zgodność, że pies jest pierwszym spośród zwierząt udomowionych przez człowieka. Reszta to już tylko rozbieżności.

Mamy więc teorię mówiącą, że psy stały się towarzyszami ludzi w Afryce. Tu jako psi przodek pasowałby szakal. Byłoby to też logiczne – skoro człowiek jako gatunek powstał w Afryce i stamtąd u świtu naszych dziejów rozpoczął wędrówkę na kolejne kontynenty, mógł mu towarzyszyć pies.

W każdym razie jeżeli przyjąć, że człowiek rozumny pojawił się w Afryce kilkaset tysięcy lat temu (niezależnie od tego, czy było to 200, czy 300 tys. lat temu), a część ludzi opuściła Afrykę kilkadziesiąt tysięcy lat później, to większość historii naszego gatunku rozegrała się właśnie na tym kontynencie.



Rachunek prawdopodobieństwa zdaje się przemawiać za udomowieniem psa w Afryce. Zwłaszcza jeżeli przyjąć prosty i często przewijający się schemat udomowienia, według którego psowaty przodek psa domowego i człowiek czerpali wzajemne korzyści ze wspólnych polowań. Najpierw nieplanowo. Później obie strony zaczęły dostrzegać, że wspólne działanie jest skuteczniejsze. W końcu część dzikich drapieżników stała się psami. Prosty mechanizm wymagałby tylko czasu, żeby w którymś momencie zaskoczył, a najwięcej czasu było w Afryce.

Prawdopodobieństwu, czy też logiczności, tych założeń przeczą niestety znaleziska. Najstarsze odnalezione dowody wskazujące na dokonanie się procesu udomowienia psa pochodzą bowiem z Europy i Azji. Poza tym badania genetyczne jako przodka psa wskazują raczej wilka szarego (*Canis lupus*), nie występującego w Afryce, a nie któregoś z szakali (dla zaciemnienia dodajmy, że istnieją też badania genetyczne psów wskazujące jednak na Afrykę).

Im dalej, tym ciemniej – z historią psa i jego udomowienia, tym bardziej że do tej opowieści od razu dołącza się historia człowieka. Trudno powiedzieć, czy kolejne odkrycia wszystko bardziej rozjaśniają, czy też gmatwają. Czasem wydaje się, że są kolejnymi prawdziwymi elementami trudnej

układanki, z tym jednak zastrzeżeniem, że po pierwsze, mamy bardzo niewiele tych elementów, a po drugie, próbujemy odgadnąć tworzony przez tę układankę obraz całkowicie na ślepo, łącząc części na siłę, chociaż początek mógł się znajdować w zupełnie innych miejscach.

PIES, CZYLI...

Skąd tyle wątpliwości? Pierwsza przyczyna jest oczywista. Po prostu historia udomowienia psa jako zwierzęcia bardzo bliskiego człowiekowi budzi nasze zainteresowanie. Badamy ją więc, próbując wnikać w różne szczegóły. I co krok, chcąc ją poznać szczegółowo, utykamy. Jeżeli próbowalibyśmy poznać historię naturalną np. borowca wielkiego (gatunek nietoperza) czy jeża wschodniego, z pewnością natrafilibyśmy na równie dużo niejasności. Jest tak zawsze, jeżeli zaczyna się badać coś, co rozgrywało się w niezmiernie długim i odległym czasie, i do czego mamy dostęp jedynie pośredni na podstawie oderwanych znalezisk oraz informacji z przeszłości.

Poza tym mamy drugą kluczową wątpliwość. Czy pies jako zwierzę odrębne systematycznie od swojego bezpośredniego przodka powstał na skutek udomowienia przez człowieka, czy też pies jako odrębne zwierzę powstał

wcześniej, a dopiero później nastąpiło udomowienie?

Obie wersje są możliwe. Znane są kości zwierząt, które można próbować uznać za psy, znajdowane jednak z dala od ludzi, żyjące raczej dziko i w dodatku pochodzące z czasów, kiedy za wcześnie było na udomowienie. Czyli byłby to pies powstały na drodze procesów naturalnych, który później dołączył do człowieka. Znajduje się jednak również szczątki bardziej wilcze niż psie spoczywające razem z człowiekiem, w dodatku z czasów dużo nowszych niż te psy – czyli w tej wersji najpierw byłby wilk, którego wybrane osobniki zaczęły przyzwyczajać się do obecności ludzi i dopiero wówczas stały się psami.

I kolejne wątpliwości. Trzeba dodać, że każda z możliwości ma zwolenników przedstawiających fakty (czyli wspomniane luźne, przypadkowe kawałki układanki), które ją potwierdzą.

Czy pies domowy to osobny gatunek, *Canis familiaris*, czy może podgatunek wilka szarego, a więc *Canis lupus familiaris*? Wilka szarego, ponieważ ostatnio najczęściej wywodzi się psa od wilka. Nie przeszkadza to jednak istnieniu teorii, w której niektóre psy to żaden z wymienionych gatunków czy podgatunków, ale jeszcze inny.

Nie wiemy również, od kiedy można mówić o pojawieniu się psa domowego jako gatunku czy podgatunku. Istnieją znaleziska np. z Wielkiej Brytanii, gdzie obok śladów obozów i szczątków ludzkich są szczątki psowatych. Powiedzmy, że wilków, ale o trochę innej budowie czaszki. Wymarły podgatunek wilka? Pies (osobny gatunek albo podgatunek?), który stał się psem przed udomowieniem i dopiero rozpoczął bardzo długi proces udomawiania?

Dorzućmy do tego, że brytyjskie szczątki pochodzą sprzed 400 tys. lat, czyli sprzed wyjścia *Homo sapiens* z Afryki. Jakiemu człowiekowi towarzyszył więc ten pies czy też psopodobny wilk? Tę niespójność czasową można próbować wyjaśnić tłumaczeniem, że nie był to *Homo sapiens*, lecz *Homo heidelbergensis*. Niestety jeżeli ktoś chciałby tu kopać dalej, zobaczy, że człowiek heidelberski jest uważany przez niektórych naukowców za przypadkowy zbiór kości, których nie udało się



przyporządkować do innych gatunków ludzi. Inni przypuszczają natomiast, że heidelberczyk był ostatnim wspólnym przodkiem neandertalczyka i człowieka rozumnego z Afryki. Są tu luki w danych (bardzo duże) i rejonach świata (czasem zupełnie wykluczające taką możliwość). Czyli do nieznanej historii psa dochodzi nieznana historia człowieka.

A MOŻE JESZCZE INACZEJ?

Podsumowując w dużym uproszczeniu – jeżeli mówimy o udomowieniu psa przez człowieka, po pierwsze, nie wiemy, jakie zwierzę podlegało procesowi udomowienia: wilk czy pies, który już wcześniej stał się gatunkiem odrębnym od wilka.

Po drugie, kto udomowił psa? Człowiek – ale jaki czy też który? I w której części świata? A może niezależnie w kilku miejscach?

Być może wszystkie teorie zawierają ziarno prawdy. Może część dzisiejszych psów pochodzi od zwierząt, które najpierw stały się psami i dopiero później zostały udomowione. Inne grupy ludzi, widząc płynące z tego korzyści, zaczęły przysposabiać sobie wilki, bo akurat nie mieli do dyspozycji psów, a wilk wyglądał bardzo podobnie. A później wszystko to się przemieniło i wymieszało przez krzyżowanie niezliczonych pokoleń, sprawiając, że obraz jest tak zagmatwany. Taka teoria, o różnych miejscach i różnych przodkach, których potomstwo później łączyło się ze sobą, zawiera równie dużą dawkę prawdopodobieństwa, co inne. A do tego można przyjąć, że udomawiającymi – w różnych miejscach na świecie i w różnych czasach – były różne gatunki ludzi.

PRÓBA UPROSZCZENIA

Żeby nie mieć zupełnego mętliku, często przyjmuje się, że do udomowienia doszło kilkanaście tysięcy lat temu. To znaczy zakłada się, że wtedy na pewno pies był z grubsza takim zwierzęciem, jakie dziś pod tą nazwą towarzyszy ludziom.

Wyróżnia się też cztery grupy psów (co ciekawe, w niektórych opracowaniach wszystkie cztery mają tę samą nazwę łacińską – *Canis lupus familiaris*, co budzi pewne wątpliwości, bo nie



wiadomo, czym się różnią, ale nie powiększajmy zamętu).

Pierwszą grupą są psy wywodzące się z Europy i okolic, które można nazwać grupą zachodnią. Obejmują większość ras i dominują zwłaszcza w Holarctyce, czyli krainie łączącej Europę, północną część Azji, północną część Afryki i Amerykę Północną. Psy zachodnie z dalszej północy Azji i Ameryki mają więcej cech wilczych.

Drugą grupą są psy określane jako pariah. Należą do nich niektóre amerykańskie

lego w bardzo odległej przeszłości lub niekiedy w ogóle za osobny gatunek. Wyróżnia się dingo australijskie i tajskie.

Śpiewający pies z Nowej Gwinei to czwarta grupa. Podobnie jak dingo jest uważany za bardzo starą grupę pochodzącą od psów przywiezionych tysiące lat temu na Nową Gwineę i zdziczałych. Śpiewające psy nowogwinejskie są na tyle oryginalne, że nie wiadomo, czy stanowią podgatunek dingo, osobny gatunek czy po prostu niezmiennie starą grupę, która żyła w izolacji tysiące lat. Są tym

bardziej zagadkowe, że o populacji żyjącej w naturze nie wiadomo niemal nic, a bardzo nieliczne osobniki w hodowli (na całym świecie kilkadziesiąt, może 100) pochodzą od kilku osobników schwytanych w latach 50. i 70. XX w.

Zagadnienie udomowienia psa jest niezmiennie ciekawe, ponieważ dotyczy bliskiego nam zwierzęcia, a jednocześnie pozwala zagłębić się w historię ludzi i dowiedzieć się wiele o nas samych. Kwestia udomowienia psa przez człowieka, a może obłaskawienia człowieka przez psa – kto wykonał pierwszy krok?

Dodatkowo pojawia się arcyciekawe zagadnienie, jakie zmiany przez tyle pokoleń zaszły w psach. Poznanie ludzkiej psychiki, wykształcanie coraz skuteczniejszych sposobów komunikowania się, wreszcie rozwój połączeń mózgowych wykształcanych przez stałą współpracę z człowiekiem. Wszystko to, a także wiele więcej, po prostu musiało nastąpić i czeka na zbadanie oraz poznanie.

I wreszcie fakt, że mamy do czynienia z procesem, który rozpoczął się niezmiennie dawno temu i trwa.

Kiedy nastąpiło udomowienie psa? Może nawet 60 tys. lat temu. To raczej bajki. Ten okres trzeba skrócić co najmniej o połowę. Ale precyzyjnej daty nie ustalimy. Nie wiadomo też, czy los połączył nas z wilkiem, szakalem, czy psem

skie rasy prekolumbijskie, afrykańskie, bliskowschodnie, a także niektóre rasy ze wschodniej Azji i wysp Nowej Gwinei, Polinezji oraz Hawajów. Być może pariah stanowi reliktową grupę psa dzikiego (wtórnie zdziczałego?). Takie dzikie, najprawdopodobniej bardzo dawno temu zdziczałe populacje są znane – lub były znane, gdyż część z nich prawdopodobnie wyginęła – z Ameryki, Jawy i południowo-wschodniej Azji.

Dingo to trzecia z grup. Uważany czasem za podgatunek wilka, psa zdzicza-



EWA SZCZESNA*

Prosto i z serca

Wydawca nazywają „królową kulinarnego TikToka”. Ona sama, wspominając udział w 7. edycji programu MasterChef, przedstawia swoją debiutancką książkę „Gotuj prosto i z serca” (Znak Jednym Słowem). Opowiada w niej o drodze zwykłej dziewczyny do Rzymu na medialne fora i o kulinarniej pasji.

„Dzieciństwo upłynęło mi na polskiej wsi w latach siedemdziesiątych” – pisze we wstępie, wspominając czas spędzany w grupie żywiołowych rówieśników. „Zdarzało się, że wysyłano nas na pola po warzywa na zupe, a wtedy wykorzystywaliśmy okazję, by zabrać ich trochę więcej i schrupać ledwo otarte z ziemi marchewki w drodze do domu. Pomagaliśmy też przy wykopkach – ich najlepszą częścią było palenie ognisk na zakończenie i pieczenie własnoręcznie wykopanych ziemniaków”.

W kryzysowych latach 80. odkryła z rówieśnikami, że do zrobienia cukierków

wystarczy rozpuszczony cukier i to, co uda się znaleźć w kredensie, np. śmietana czy soki owocowe. Poznała też smakszarlottki, która nie daje się upiec i budyniu ugotowanego przez młodszą siostrę z jednej szklanki mleka i dwóch szklanek cukru.

W latach 90. przeniosła się do Rzymu, bo „wszyscy młodzi wyjeżdżali wtedy za granicę”. W pewne wakacje zdecydowała z kuzynką: „Jedziemy!”. Potem kuzynka wróciła do Polski, a ona została, wyszła za mąż, urodziły się dzieci...

Gdzie w tej historii gotowanie? Jak mówi: „Na długą drogę od nieudanych szarlotek do MasterChefa i gotowania na TikToku” złożyło się wiele doświadczeń. Jednym z nich była hemofilia syna, którego pasją stało się pływanie. A wiadomo, że aby osiągać wyniki w sporcie, oprócz talentu i treningów potrzebna jest nie tylko jak najlepsza, lecz także najbardziej różnorodna dieta.

Inspirujące były też programy kulinarne. I codzienne rozmowy.

„We Włoszech [...] niemal wszyscy żyją jedzeniem: każdy zaczyna dzień, wymyślając, co dziś ugotuje, wszyscy mówią o tym, co jedli i jak. Wiele prze-

pisów, które stosuję do dziś, poznałam w kolejce po świeże zioła na rynku albo w sklepie rybnym” – zdradza.

Z kolei polska kuchnia wyrosła z jej rodzinnych wspomnień. „Na każdym spotkaniu rodzinnym jadłam pyszne dania z najróżniejszych zakątków Polski (wszędzie mam wujków i ciocię)” – tłumaczy. „Ciocia Zosia spod Goldapi robiła kartacze, ciocia Stasia z Poznania bułki na parze, a ciocia z Bytomia kluski śląskie i modrą kapustę. Naszą etatową cukierniczką była ciocia Halina z Ostrołęki, która piekła ciasta na każdą uroczystość”.

„Gotując, łączę własne wspomnienia z oryginalnymi przepisami rodzinnymi. Wychodzi pysznie, z sercem, domowo” – deklaruje autorka.

Odkrywanie i ciągle poznawanie kuchni doprowadziło ją sześć lat temu do telewizyjnego programu MasterChef. Po pandemii z pomocą syna założyła kulinarny profil na TikToku. I ta przygoda trwa do dziś.

Jolanta Gajda-Zadworna

*Kulinarna TikTokerka, autorka książki „Gotuj prosto i z serca. Przepisy na komfortowe dania kuchni włoskiej i polskiej”



ŻEBERKA W SOSIE Z SURÓWKĄ Z BURACZKÓW



Surówka: 4 buraki, 1 cebula, sól, pieprz, 1 łyżeczka cukru, sok z cytryny, 3 łyżki oleju i do smażenia cebuli.

Żeberka: 3 łyżki oleju, 1 kg żeberka, 2 marchewki, 1 cebula, 100 g selera, 2 ząbki czosnku, sól, 5 ziarenek pieprzu, 3 liście laurowe, 3 zioła angielskie, 1,5 l wywaru warzywnego lub gorącej wody.

Nie obieraj buraków, umyj je tylko dokładnie, przełóż do garnka, zalej zimną wodą i gotuj pod przykryciem do miękkości, ok. 45–50 min. Wyjmij bulwy z wody, przestudź, obierz i zetrzyj na tarce o dużych oczkach. Na patelni z rozgrzanym olejem zeszklij drobno posiekaną cebulę i dodaj ją do startych buraczków. Dopraw do smaku solą, pieprzem, cukrem, sokiem z cytryny oraz olejem. Dokładnie wymieszaj, aby składniki dobrze się połączyły. Przejdź do przygotowania żeberka. Na rozgrzaną patelnię wylej olej, wyłóż żeberka i zacsmaż je dokładnie z każdej strony na brązowy kolor. Tymczasem pokrój marchewki, cebulę i seler w drobną kostkę. Po obsmażeniu żeberka dodaj na patelnię pokrojone warzywa i smaż ok. 10 min na średnim ogniu, od czasu do czasu mieszając. Dodaj posiekany czosnek i smaż kolejne 2 min. Dopraw całość solą, ziarnami pieprzu, liśćmi laurowymi oraz ziołami angielskimi. Zalej wywarem warzywnym lub gorącą wodą, przykryj patelnię pokrywką, zmniejsz ogień i gotuj żeberka przez 1,5–2 godz., od czasu do czasu mieszając. Tak przygotowane żeberka z buraczkami najlepiej smakują z ugotowanymi ziemniakami.



SŁODKO-SŁONY

Zanim kupisz rybę

ANNA MONICKA

Hodowcy zalecają, by spojrzeć jej głęboko w oczy – po ich wyglądzie najłatwiej poznać, czy jest świeża. Powinny być przejrzyste, a nie zmętniałe. Warto też zajrzeć w skrzela. Jeśli są wycięte, to znak, że z ryby została usunięta krew, więc będzie się wolniej psuła.

O tej porze roku powinniśmy jeść ryby przynajmniej 2–3 razy w tygodniu, zwłaszcza tłuste, takie jak lososie, śledzie, sardynki, węgorze, bo są najbogatsze w witaminę D. Z kolei dorsze czy dorady mają dużo kwasów Omega 3 chroniących przed chorobą wieńcową czy zawałem. Dietetycy zachwalają zwłaszcza tę ostatnią – drapieżnika z Morza Śródziemnego spokrewnionego z okoniem, wyposażonego w kłaczaste pletwy i ostre zębiska, żywiącego się skorupiakami i małżami. Ma soczyste, delikatne białe mięso, cenione w Hiszpanii, Francji, Włoszech, Chorwacji, a także w starożytnej Grecji (była poświęcona Afrodycie, bogini miłości) czy Rzymie (była ponoć przysmakiem cesarzy). Jej wielką zaletą jest to, że łatwo oddzielić duże i dobrze widoczne ości.

To bardzo ciekawe stworzenie – wszystkie dorady są hermafrodytami. Przychodzą na świat jako samce, a w wieku 2–3 lat zaczynają przeobrażać się w samice. Mają wtedy ok. 30 cm długości, czyli są najlepsze do zjedzenia. Mimo że potrafią znosić nawet 8 tys. jaj dziennie, są już gatunkiem zagrożonym. W sprzedaży raczej nie spotkamy dzikich, lecz hodowane w wielkich morskich sadzach.

Jest wiele sposobów przyrządzania tych ryb, bo świetnie smakują w każdej postaci, ale najlepsza jest po prostu zgrillowana nad ogniem (natarta uprzednio oliwą z solą i ziołami) lub upieczona na blasze z czosnkiem, podana z cytryną i pachnącym masłem.

Można też pokusić się o bardziej oryginalne pieczenie – to efektowna i mało pracochłonna metoda. Sprawioną półkilogramową doradę z głową, ale bez kłujących pletw, układamy w podłużnym naczyniu na 2–3-centymetrowej warstwie gruboziarnistej soli. Smarujemy ją w środku oliwą z solą i pieprzem, napychamy pietruszką, rozmarynem lub tymiankiem, kilkoma cienkimi plasterkami cytryny i rozgniecionymi ząbkami czosnku, a potem zasypujemy resztą soli, uklepujemy i spryskujemy wodą. Powinna całkowicie pokrywać rybę. Pieczemy w nagrzanym na 220 st. piekarniku ok. pół godziny. Rozłupujemy słoną skorupę, zdejmujemy skórę i zjadamy.

Fot. Archiwum prywatne Moniki Słuszyńskiej



WILCZYM OKIEM

Wolemia

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wolemia szlachetna (*Wollemia nobilis*) to australijskie drzewo iglaste z rodziny araukariowatych. Takie drzewa znano z wykopalisk i uważano za dawno wymarłe. Rosły na Ziemi już przed stu kilkudziesięciu milionami lat, a rozkwit osiągnęły kilkadziesiąt milionów lat temu.

W 1994 r. ekipa badawcza penetrowała trudno dostępne rejony Parku Narodowego Wollemi w australijskich Górach Błękitnych. Park nosił tę nazwę już od powstania, czyli od 1979 r. Wolemia była wówczas znana tylko ze skamieniałości z czasów dinozaurów. Słowo to pochodzi z aborygeńskiego i oznacza „miej się na baczności” – być może dlatego, że park narodowy jest dzikim, bezludnym obszarem o powierzchni niemal 5 tys. km². Pradawny piaskowcowy płaskowyż jest porożciniany głębokimi kanionami o stromych ścianach, na dnie których płyną rzeki. Dużą część pokrywają lasy eukaliptusowe z bujnym runem paproci, część lasów ma charakter wilgotnych lasów podzwrotnikowych. Żyją tam dziobaki, lotopalańki, wiele gatunków kakału i oczywiście mnóstwo zwierząt z rozmaitych grup systematycznych obdarzonych silnym jadem.

Niedługo po pierwszej wyprawie botanik David Noble powrócił do jednego z kanionów i natrafił na nieznane sobie drzewa. Były to wolemie, które uważano za wymarłe od czasów, kiedy tyranozaury polowały na hadrozaury. Wolemia jest klasycznym przypadkiem tzw. efektu Łazarza, kiedy gatunek uważany za od dawna wymarły jest ponownie odnajdowany.

W sumie w naturze odnaleziono nieco ponad 100 osobników. Największy okaz, już powalony, miał 40 m wysokości i 3 m obwodu. Dokładna lokalizacja tych arcyrzadkich drzew jest utajniona. Okazy wolemii rosną już w ogrodach botanicznych (w Polsce np. w Ogrodzie Botanicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i ogrodzie Polskiej Akademii Nauk w Powsinie). Można też kupić sadzonkę z limitowanych i numerowanych serii.

Ciekawie czyta się *Encyklopedię Biologiczną* wydaną w 2000 r.: w opisie parku narodowego nie ma nic o wolemii (poza nazwą parku pochodzącą od skamieniałości). Mimo że odkrycie żywych okazów miało miejsce kilka lat wcześniej, nie było jeszcze powszechnie znane.

Kolejna ciekawostka jest związana z nazwą gatunkową: *nobilis* oznacza „szlachetna”, a jednocześnie upamiętnia nazwisko odkrywcy – Davida Noble’a.

OGNIEM NA WPROST

Jaszczurka też człowiek



Andrzej Rafał Potocki

Czas na przegląd sytuacji na froncie. Choć jest ciężko i sytuacja jest poważna, przy wszystkich ukraińskich problemach uprzejmie informujemy, że informacje o załamaniu się frontu są mocno przesadzone. To po kolei. Północny wschód, obwód kurski. Moskałe próbują odbić terytorium i metr po metrze posuwają się do przodu. Jednak na tyle wolno, że odbicie zajętych przez ukraińskie wojsko obszarów zajmie im miesiące. Sytuacji nie zmieniło przysłanie na front Koreañczyków, a po pierwszym laniu pojawiły się informacje, że zaczęli współpracować z... Ukraińcami, co niewątpliwie jest szokującą informacją. Jeżeli „jaszczurki” (nazwa skośnookich Azjatów nadana mieszkańcom Wietnamu przez chłopców z US Army podczas konfliktu w Indochinach) wykażą się rzeczywiście chęcią współdziałania z Tryzubami, to wycofujemy określenie pół ludzie, pół roboty. Widać Koreañczyk z Północy też człowiek.

i faktycznie postępy Moskale na tym odcinku były umiarkowane. Ale i tak nie zmieniało to sytuacji, bo Moskale z rejonu Wuhłedaru wychodzą na tyły ukraińskich oddziałów. Ruski idzie klinem Żłota Niwa–Szachtarskie–Jasna Polana i dochodzi do Konstantynopola (nad Wółczą, nie nad Bosforem). Widać było gołym, nieuzbrojonym okiem, że żadne ukraińskie umocnienia nie uratują Kurachowego, a całemu zgrupowaniu grozi okrążenie. Na razie pod wsią Kurachówka został zlikwidowany pierwszy miniworek, a kacapy atakują na południe od Selidowego, odpuszczając Pokrowsk i koncentrując się na odcięciu oraz okrążeniu wojsk broniących Kurachowego i okolic. W ciągu pierwszego tygodnia listopada Moskale zajęły największy obszar od początku inwazji. Wszystko trzeszczy w szwach, ale front się trzyma. Póki co.

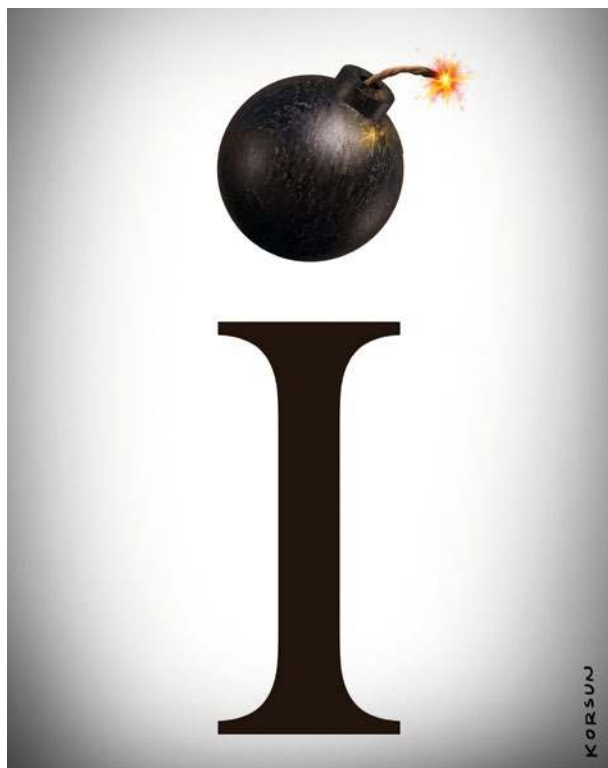
Schodzimy na mapie nieco niżej, na południe. Mamy tam Wółczańsk oraz Kupiańsk. W Wółczańsku bez zmian, a pod Kupiańskiem Kacap poszerza wyłom w ukraińskich pozycjach na wschodnim brzegu rzeki Oskil. Miasto jest pod ostrzałem. Ukraińcy chyba chcą odpuścić przyczółek i zbudować obronę na rzece, ale nie oddadzą terenu za frajer. Grupa rozpoznawcza bojów wparowała na chwilę do wschodniej części Kupiańska, ale jak widać na filmach, kolejna szarża skończyła się kolejną masakrą. W okolicach Bachmutu trwają działania pod Czasiw Jarem. Tam z kolei nastąpiła próba obejścia pozycji ukraińskich tym razem od północy. Jednak stojący na przeszkodzie kanał Doniec–Donbas jest jak na razie przeszkodą nie do przebycia.

Ruski system uderzeniowy Lancet to niezłe paskudztwo. Te drony kamikadze kosiły m.in. zachodnie czołgi i armatohaubice, w tym zaliczyły jednego polskiego kraba. Ale „w ostatnim czasie zaobserwowaliśmy znaczny spadek wykorzystania przez wroga dronów kamikadze Lancet. Wiąże się to zarówno ze zniszczeniem operatorów, jak i zestrzeliwaniem kierujących dronów Żała” – pisze aktywista i wolontariusz Serhii Sternenko, który jest znany z działania na rzecz ukraińskich zdolności bezzałogowców. To on był autorem akcji „Niebiański Rusoriz” (Rozcinacz Rosjan), która polega na wyposażeniu ukraińskich jednostek w zdolności do zwalczania rosyjskich bezzałogowców rozpoznawczych z wykorzystaniem dronów FPV (operator widzi na swoim wyświetlaczu obraz z kamery pilotowanego przez siebie drona). Dzięki dronom rozpoznawczo-naprowadzającym armia Federacji Moskiewskiej była w stanie wykonywać dalekie uderzenia na ukraińskie zaplecze logistyczne oraz bazy lotnicze za pomocą m.in. pocisków balistycznych Iskander, nie wspominając o lancetach i innych dronach uderzeniowych. W wyniku zastosowania przez Ukrów dronów FPV do zwalczania rosyjskich bezzałogowców rozpoznawczych (strącono ich w ostatnim czasie ok. 1 tys.) znacznie zmniejszyła się częstotliwość uderzeń na tyły ukraińskich wojsk. Zlikwidujesz przyczynę, znika skutek.

Odcinek Toreck–Nju-Jork. Ukraińska 12. Brygada Azow została przerzucona spod Białogórowki do Torecka, gdzie czuści ulice z Moskali. Jednak Ruski powoli posuwa się do przodu. Z akcentem na powoli. Nieco dalej na południowy zachód dochodzimy do rejonu Doniecka. Tam sytuacja rozwija się tak, jak przewidywaliśmy. Kurachowe wydawało się dobrze przygotowane do obrony

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje: „Kropka nad i...”,
czyli brzydko się bawią w TVN



Wycinki z przeszłości

Ze starego pawlacza u babci wypadły dwie rolki tapet, pieczołowicie odłożone na wszelki wypadek. Tapeta jak tapeta, ale zwracają uwagę etykiety – siermiężne, potwierdzające, iż wtedy, a była to druga połowa lat 80., zdecydowanie mieliśmy do czynienia z rynkiem producentów, a nie klientów. Stan wojenny wpełchnął Polaków w biedę szokującą nawet na tle komunistycznej szarzyzny. Świat tonął w dobrobycie, a Polacy musieli walczyć w kolejkach o kawałek żyłastego mięsa.

Wielu historyków w ogóle pomija odczuwalne do dziś społeczne konsekwencje tamtej dekady – schamienie wielu ludzi, zdżyczenie obyczajów, utracone szanse rozwojowe. Jednym z wyjątków jest prof. Wojciech Roszkowski pokazujący pełną prawdę o komunizmie w każdym wymiarze i pewnie dlatego jest tak straszliwie atakowany. (mk)



Z WOLEJA

Naim Süleymanoğlu i Adam Musiał...



Ryszard
Czarnecki

W dniu, w którym ten numer „Sieci” będzie już dostępny, mijają rocznice śmierci dwóch sportowców: jednego o znaczeniu globalnym, a drugiego ważnego dla polskiego sportu. O pierwszym z nich nakręcono poruszający film. Nazywał się... No, właśnie. Urodził się jako Turzek, obywatel Bułgarii. Był wtedy Naimem Sulejmanowem. Po „reformie” polegającej „zbułgarszczeniu” tureckich nazwisk został Naumem Szalamanowem. Gdy uciekł do Turcji, występował już jako Naim Süleymanoğlu.

Gdy pod koniec ub.w. ogłoszono listę dziesięciu najlepszych sztangistów w dziejach podnoszenia ciężarów, zajął na niej pierwsze miejsce. Nic dziwnego. Jako reprezentant Turcji 3 razy był mistrzem olimpijskim, 7 razy wywalczył mistrzostwo świata (w tym 2 razy jako reprezentant Bułgarii), prawie 50 razy bił rekordy świata. Miał zaledwie 148 cm wzrostu, stąd jego pseudonim „Kieszonkowy Herkules”. Jako drugi w dziejach swojej dyscypliny podniósł ciężar... trzykrotnie większy od własnego. Aby komunistyczna Bułgaria zezwoliła na występ uciekiniera Süleymanoğlu na igrzyskach olimpijskich w Seulu jako reprezentanta muzułmańskiej Turcji, Ankara musiała przekupić władze w Sofii gigantyczną jak na owe czasy kwotą 1 mln dol. Jego ucieczka do ojczyzny przodków mogłaby być scenariuszem filmu sensacyjnego.

Drugim bohaterem tego tekstu jest zmarły też 18 listopada, tyle że 2020 r., legendarny dla mojego pokolenia piłkarz, obrońca Adam Musiał. Grał bardzo ostro. Powiedzmy wprost: był boiskowym brutalą. Jak sam mówił o zawodnikach drużyn przeciwnych: „Po moich stronach bali się grać”. 34 razy występował w reprezentacji Polski. Był jednym z „orłów Górskiego”, którzy wywalczyli trzecie miejsce na mistrzostwach świata w NRF w 1974 r. Przez wiele lat grał w Wiśle Kraków, zdobywając z Białą Gwiazdą mistrzostwo Polski, a z jego drugim i ostatnim polskim klubem Arka Gdynia Puchar Polski (w finale pokonując Wisłę Kraków). Grał jeszcze w Anglii i USA. Gdy wrócił do ojczyzny, zajął się pracą trenerską, z czasem zostając szkoleniowcem „swojej” Wisły i doprowadzając ją, mimo niewielkiego budżetu, do trzeciego miejsca w lidze, dzięki czemu w plebiscycie „Piłki Nożnej” został trenerem roku.

Gdyby nie oberwanie chmury w półfinałowym meczu na mundialu równo pół wieku temu z gospodarzami – Niemcami, kiedy okazało się, że stadion we Frankfurcie jest pozbawiony systemu irygacyjnego, może Adam Musiał sięgnąłby z Białą-Czerwonymi po mistrzostwo świata. Gdyby... (mk)

OD A DO ZYBERTOWICZA

Dorośli dziennikarz?

Dorośli ludzie wiedzą, jak zawile są ludzkie motywacje i ich źródła. Zdają sobie sprawę z tego, że nie mamy żadnego bezpośredniego wglądu w umysły innych, dostępu do ścieżek, którymi podążają ich emocje. Że nasze wyobrażenia tego, co rozgrywa się w głowach innych ludzi, są nader zawodne. Czy może tego nie wiedzieć doświadczony dziennikarz?

Przeglądam „Tygodnik Powszechny”, numer wydany przed świętem Wszystkich Świętych. Na stronie ósmej krótki tekst „Smoleńsk: kilka prostych prawd”. Zaczyna się tak: „Antoni Macierewicz już od 2010 r. wiedział, jaka jest prawda o katastrofie smoleńskiej. Jarosław Kaczyński również. Jednak obaj zdecydowali się przez całe lata propagować kłamstwo na ten temat.”

Trzy krótkie zdania. Trzy mocne tezy. Pierwsze pytanie, jakie od razu mi się nasuwa, brzmi: skąd autor tekstu Piotr Śmiłowicz to wie? Jakimi metodami ustalił, że już od 2010 r. obaj politycy znali prawdę o przyczynach tragedii smoleńskiej?

Rosyjski raport komitetu Tatiany Anodiny ogłoszono w styczniu 2011 r., a polski komisji Jerzego Millera pół roku później. Wcześniej zobaczyliśmy film Anity Gargas pokazujący, jak już kilka dni po tragedii wrak był niszczone. Dowiedzieliśmy się też, jak bardzo przemawiająca z trybuny sejmowej Ewa Kopacz rozmijała się z prawdą, informując o pieczołowitości, z jaką Rosjanie jakoby zbierali szczątki na miejscu katastrofy. Ale na te okoliczności autor „Tygodnika Powszechnego” w ogóle nie zwraca uwagi.

Śmiłowicz po prostu psychologizuje, czyli przedstawia swoją subiektywną interpretację tego, co wedle jego wyobraźni jest sposobem rozumowania Macierewicza i Kaczyńskiego. Pisz: „Można nawet zrozumieć ich motyw”. Kaczyński nie mógł się jakoby zgodzić na to, że jego brat Lech, który zdaniem Śmiłowicza był tzw. głównym



Dziennikarz użył języka stwierdzającego rzekome „fakty” (Macierewicz wiedział), na co nie przedstawił żadnych dowodów. I nie sędzę, by w ogóle mógł je posiadać

dysponentem lotu, zostałby obciążony odpowiedzialnością za bałagan, łamanie procedur i nieszczęśliwy splot okoliczności, które łącznie doprowadziły do tragedii. Zdaniem Śmiłowicza: „To główna przyczyna, dla której przez całe lata Kaczyński świadomie propagował kłamstwo na temat katastrofy”.

Dla mnie psychologicznie jest to całkiem niewiarygodne. Ale wiem, że moje odczucie tej wiarygodności jest subiektywne i jako takie nie ma wartości dowodowej. Tak samo jak odczucia np. czytelników niniejszego felietonu oraz wyobrażenia redaktora Śmiłowicza. Tyle że nie pisze on uczciwie w formule interpretacyjnej: „Moim zdaniem

prawdopodobna wydaje się następująca interpretacja” podejścia dwóch polityków PiS do tego, co się wydarzyło pod Smoleńskiem. Nie. W krótkim felietonie (a nie rozbudowanej analizie), którego tytuł zapowiada „kilka prostych prawd”, Śmiłowicz przedstawia swoją brutalną, kontrowersyjną spekulację. Nic więcej.

Jeśli już redaktor Śmiłowicz bardzo potrzebował podzielić się z czytelnikami swoimi przemyśleniami, mógł napisać np. tak: „Sądzę, że jeśli chcemy zrozumieć znane publicznie zachowania Macierewicza i Kaczyńskiego, warto rozważyć przypuszczenie, że w tle mogły być takie oto ich motywacje”. I potem je przedstawić.

Ale dziennikarz użył języka stwierdzającego rzekome „fakty” (Macierewicz wiedział), na co nie przedstawił żadnych dowodów. I nie sędzę, by w ogóle mógł je posiadać. Gdyby jakiegoś miał, pewnie już dawno by o tym napisał.

O jakości warsztatu pracy redaktora Śmiłowicza oraz redakcji, która ten tekst przepuściła, niedobrze świadczy fakt, że oto można komuś zarzucać cyniczne, złowrogie zachowanie na podstawie jedynie swoich subiektywnych interpretacji. I najwyraźniej bez świadomości tej sytuacji.

Gdybym chciał działać w takim samym stylu, to bym napisał: „Piotr Śmiłowicz wie, że kłamie, robi to cynicznie. A motywem jest to, by, wpisując się w nagonkę na PiS, na JK i AM utrzymać się w niecnym, środowiskowej quasi-dziennikarskiej rozgrywce”.

Ale po co miałbym tak postępować? Wolę przełożyć kolejne dwie kartki „Tygodnika Powszechnego”, by znaleźć piękne zdjęcie grupy osób na jesiennym, złocistością liści ozdobionym polskim cmentarzu, które wprowadza do wartościowego eseju Tomasza Stawiszyńskiego „Wspólnota Wszystkich Świętych”.

Andrzej Zybertowicz



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)



„Ojczyzna
to wielki zbiorowy
obowiązek”

Wesprzyj
patriotyczne
media

wPolsce **24**



Konto do wpłat z Polski:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:

BIC (SWIFT): **BPKOPLPW**

PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Cyprian Kamil Norwid

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO